

An aerial photograph of a winding road through a dense forest of evergreen trees covered in snow. The road is dark and curves through the white landscape. The overall mood is cold and mysterious.

„Droga Kości jest pełna
napęcia, klimatyczna i przerażająca
jak diabli. Zabierze was w zatrważającą
podróż do miejsca, w którym nigdy
wcześniej nie byliście.”

STEPHEN KING

DROGA KOŚCI

CHRISTOPHER GOLDEN



CHRISTOPHER GOLDEN

**DROGA
KOŚCI**

PRZEŁOŻYŁ
Ryszard Oślizło



*Johnowi McIlveenowi i Tony'emu Tremblayowi,
najmilszym facetom w kręgach horroru*



Teig ocknął się nagle za kierownicą i wcisnął hamulec, ale pod oponami był tylko lód. Prentiss krzyknął, kiedy ześlizgiwali się w bok po wiecznej zmarzlinie z wrytymi koleinami. Teig wykonał kontrę kierownicą i dodał gazu; serce mu łomotało, gdy próbował zmusić pojazd, by trzymał się jezdni. Spojrzał nad barierką na ośnieżone wierzchołki drzew i góry w oddali. Upadek ze stromego zbocza by ich zabił, ale przynajmniej byłaby to śmierć szybsza niż zamarznięcie na śmierć na Trakcie Kołymskim.

Opony złapały przyczepność. Teig pchnął kierownicę i samochód odwrócił się od zbocza, ale pęd rzucił nim na barierkę. Ze zgrzytem rozdieranego metalu terenówka przebiła się przez nią i przechyliła ku stromiźnie, a Teig ryknął ze strachu i wcisnął gaz do dechy. Metal zapiszczał, gdy rozdarta barierka wbiła się w bok uaza, ale samochód skoczył do przodu.

Teig wcisnął hamulec, czując, jak mu żyły pulsują na skroniach. Wrzucił tryb parkowania, wyłączył silnik i wytoczył się z samochodu na takim adrenalinowym haju, że miał ochotę zaryczeć. Zamiast tego jednak padł na kolana, przechylił się przez barierkę i wciągał mroźne powietrze, oddech za oddechem. Widok może i spektakularny, ale ten upadek na pewno by ich zabił. Dziewięć metrów na lewo niewielki odcinek barierki był rozerwany, a jej następne trzy i pół metra powyginane i poszarpane na skutek uderzenia uaza. Jakim cudem ta barierka zatrzymała ich na drodze, nie miał pojęcia. Wziął następny głęboki oddech, głównie po to, żeby nie zwymiotować ryby sugudai, którą zjadł na lunch.

Trzasnęły drzwi. Buty zachrzęściły na śniegu. Teig usłyszał wołanie swojego imienia, ale jeszcze nie całkiem pokonał mdłości. Zimno pomagało. Lodowate powietrze parzyło mu płuca i kłuło odsłoniętą skórę. Przed jego twarzą unosiła się mgielka oddechu. Ciszę zakłócały jedynie szum wiatru, jego łomoczące serce i cykanie gwałtownie stygnącego silnika.

I ten głos. Prentissa.

– ...ty, kurwa, wyprawiasz? – Ledwie to usłyszał.

Prentiss trącił go butem i zawołał po imieniu. Teig przytrzymał się barierki, żeby nie upaść na bok, w śnieg, i wreszcie oprzytomniał. Odwrócił się do przyjaciela, ujrzał na jego twarzy furię zmieszaną ze strachem i dotarło do niego, że musi się pozbierać.

– Kluczyki, Teig! – rzucił ostro Prentiss. – Daj mi te cholerne kluczyki!

Tuż za nim Teig zobaczył bok niegdyś pomarańczowego uaza, teraz cały we wgnieceniach i zadrapaniach, a w dwóch miejscach przedziurawiony, jakby rozerwana barierka wczepiła się szponami w metal karoserii. Może i był to model podstawowy, ale wystarczył, żeby ocalić im życie.

– Teig! – warknął Prentiss. Wyciągnął rękę dłonią do góry.

W końcu mózg zarejestrował słowo „kluczyki”. Teig poderwał się z ziemi i popędził do otwartych drzwi od strony kierowcy. Zostawił kluczyki w stacyjce, ale Prentiss uznał oczywiście, że je wyjął. Teig sięgnął do środka, przekręcił kluczyk, a silnik zaterkotał i zgasł z jękiem. Próbował się rozruszać.

Ale zimno już zrobiło swoje.

– Kurwa!

Prentiss chwycił Teiga z tyłu za kurtkę i odsunął go na bok. Wspiął się na miejsce kierowcy, lekko nacisnął pedał gazu, trzymając stopę na hamulcu, i przekręcił kluczyk. Silnik zakaszłał, ale nie zaskoczył.

Prentiss odwrócił się zza kierownicy i spojrzał na Teiga szeroko otwartymi oczami.

– Felix, coś ty, kurwa, narobił?

Teig miał ochotę przerzucić go przez barierkę. Zazwyczaj on i Prentiss byli bliskimi przyjaciółmi, może nawet najlepszymi, ale jako koledzy z pracy praktycznie bez przerwy siedzieli sobie na głowie, często przebywając w ciasnych przestrzeniach albo w niebezpiecznych miejscach. Prentiss może i był od niego znacznie większy, ale Teig nigdy nie pozwalał sobą pomiatać. Nikomu.

Oczywiście zwykle nie dawał ku temu żadnych powodów. Chyba że dzisiaj.

– Spróbuj jeszcze raz!

– Nie chcę go zalać – odparł Prentiss. Był zły, ale w oczach błysnął mu strach psa oślepionego blaskiem reflektorów nadjeżdżającego samochodu.

– Odpal tego jebanego grata!

Prentiss przekręcił kluczyk. Silnik znowu zakaszłał, zaczął zgrzytać, a Teiga aż ścisnęło w dołku.

Uwielbiał swoją pracę, ale nie miał ochoty za nią umierać.

Silnik zaskoczył i z głuchym warknięciem wrócił do życia, a Teig i Prentiss spojrzeli na siebie, pełni ulgi, ale wciąż nabuzowani.

– Zasnąłeś za kółkiem – zachrypiał Prentiss o ton głośniejszy niż warkot silnika.

Teig wypuścił powietrze, jego ciało w końcu zarejestrowało przeszywający chłód. Mimo wszystkich warstw odzieży czuł, że przenika go aż do szpiku kości. Odsłonięta twarz piekła jak poparzona przez słońce, ale znał to uczucie, wiedział, że to po prostu skutek brutalnego zimna. Chmury zasłaniały to, co zimą na Syberii uchodziło za dzienne światło. Ekran w samochodzie pokazywał trzydzieści stopni Celsjusza poniżej zera, a późnym popołudniem, kiedy zajdzie słońce, miało się zrobić jeszcze zimniej. Nawet teraz to pieczenie szybko zmieniłoby się w odmrożenie, gdyby postął przez jakieś dziesięć minut na drodze z odsłoniętą twarzą. Przypomniawszy sobie, że nie powinien mierzyć się z tą pogodą, nie włożywszy balaklawy. W dzieciństwie nazywał te czapki po prostu kominiarkami, ale Prentiss zawsze go poprawiał. Jego zdaniem za kominiarkami kryli się bandyci napadający na banki w latach siedemdziesiątych, a tajni agenci i płatni zabójcy nosili balaklawy. Jakby potrzebował, żeby Jack Prentiss uczył go być cool.

Zresztą okej, może i potrzebował.

– Hej – rzucił Prentiss, wystawiając nogę z auta i trącąc Teiga butem. – Zasnąłeś za kółkiem.

Teig nie mógł zaprzeczyć. Prawie ich zabił – dwa razy. Najpierw uderzając w barierkę, a potem wyłączając silnik.

– Już się obudziłem – odparł.

– Myślisz, że po czymś takim pozwolę ci prowadzić? – zapytał Prentiss. Potarł rękawicą siwiejącą brodę. – Jezu Chryste, czemu dałem ci się namówić, żeby tu przyjechać?

Teig zignorował drugie pytanie.

– Popatrz na drogę i powiedz, że chcesz prowadzić, a chętnie się zdrzemnę na miejscu pasażera.

Prentiss westchnął. Podkręcił ogrzewanie i rzucił okiem przez przednią szybę na ciągnącą się przed nimi drogę. Po chwili przesunął się bez słowa, a Teig wspiął się na siedzenie kierowcy. Szarpnięciem zamknął drzwi, wrzucił tryb jazdy i ruszył dalej Drogą Kości.

– Nie zaśnij – powiedział Prentiss.

Teig zmusił się do uśmiechu.

– Nie zanudź mnie na śmierć, to nie zasnę.

Podróż zaczęli w Magadanie, mieście portowym nad Morzem Ochockim, w północnowschodniej części Syberii. Liczba mieszkańców wynosiła poniżej dziewięćdziesięciu tysięcy i wciąż się zmniejszała, bo starsi wymierali, a młodzi wyjeżdżali. Migracja odbywała się tu tylko w jednym kierunku, co nikogo nie powinno dziwić. Nikt nie przyjeżdżał na Syberię w poszukiwaniu nowego życia.

Teig sporo poczytał o zdradliwej pogodzie, zwłaszcza na Trakcie Kołymskim, ale naprawdę zaczął to rozumieć dopiero po pierwszych trzystu dwudziestu kilometrach, gdy jego wzrok przenosił się ze wskaźnika poziomu paliwa na pobocze i z powrotem. Stacje benzynowe znajdowały się co dwieście pięćdziesiąt kilometrów, ale wiatr i śnieg, chrzęst opon na wiecznej zmarzlinie oraz rozciągająca się wokół biała cisza sprawiały, że myśl o tych stacjach przypominała marzenie o pustynnej oazie.

Jeśli w zimie na Trakcie Kołymskim skończy ci się paliwo, masz spore szanse, że zamarzniesz na śmierć.

Z Magadanu wyruszyli z pełnym bakiem poprzedniego dnia o ósmej rano, godzinę przed świtem, i pokonali nieco ponad połowę szesnastogodzinnej drogi, zanim dotarli do kwatery załatwionej przez Teiga. Przenocowali w domku, którego główną zaletą była obecność garażu, dzięki czemu w nocy nie zamarł silnik ani przewód paliwowy. Mieścina była tak mała, że jej nazwa już wypadła im z pamięci; przypominała raczej osadę zbudowaną wokół stacji benzynowej niż faktyczne miasteczko. Trakt Kołymski nie przyciągał rzeszy turystów, niemniej ich liczba wynosiła więcej niż zero. Mimo to stary, który wynajmował im chatę, gapił się na nich z antropologicznym wręcz zainteresowaniem.

Kiedy wyjechali dziś rano i skierowali się na północny zachód, powietrze było już zabójczo zimne. Temperatura wciąż spadała i Teig zaczął się zastanawiać, czy aby pomysł tej wyprawy nie był wyrazem beznadziejnej głupoty. Nie podzielił się tą obawą z Prentissem, który zgodził się wziąć w niej udział tylko z przyjaźni oraz dlatego, że Teig był mu winien prawie osiem tysięcy dolarów. Prentiss wiedział, że wielkie plany przyjaciela raczej nie wypalą bez jego pomocy, więc się przyłączył, żeby chronić swoją inwestycję.

Teig powtarzał sobie, że Prentiss wciąż jeszcze trochę w niego wierzy, choć wszyscy inni położyli na

nim krzyżyk. Słaba pociecha, ale jednak pociecha.

Uaz jechał z turkotem naprzód. Teig siedział wyprężony i zdeterminowany, by nie dać się ukołysać do snu. Liczący ponad dwa tysiące kilometrów Trakt Kołymyjski biegł przez zamrożone serce Syberii od Magadanu aż do rozległego Jakucka z portem rzeczny. W grudniu to położone czterysta pięćdziesiąt kilometrów od koła podbiegunowego miasto miało dostęp do pięciu godzin światła słonecznego dziennie, a przez większość tych dni słońce chowało się za chmurami. Przy średniej temperaturze czterdziestu stopni poniżej zera – jeszcze niższej odczuwalnej – nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby tam mieszkać. A jednak populacja Jakucka trzykrotnie przewyższała populację Magadanu – żyło tam blisko trzysta tysięcy ludzi. Miasto szczyciło się muzeami, teatrami i nocnym życiem; stanowiło ostoję cywilizacji pośród zamarznętego pustkowi. Najwyraźniej ludzie są jak karaluchy. Przy dostatecznej determinacji rozplenią się wszędzie.

Teig i Prentiss nie jechali do samego Jakucka. Zmierzali do miejsca o wiele mniej zaludnionego i jeszcze zimniejszego, a mówiąc ściślej, do najzimniejszego zamieszkanego miejsca na ziemi.

– Co nas, kurwa, opętało? – rzucił Teig ze śmiechem.

Prentiss się wyprostował i potrasnął głową, jakby chciał oczyścić umysł.

– Nie śpisz?

Teig rozprostował palce na kierownicy.

– Jeden z nas musi mieć oczy otwarte.

Prentiss zmarszczył brwi, obrażony.

– Przy takim niebie jak tutaj ciągle mi się wydaje, że powinienem być w łóżku.

– Przynajmniej byłoby cieplej.

W zasadzie był dzień, ale tutaj oznaczało to tylko wieczny półmrok i sinoniebieskie, jakby zasnute gazą niebo. Choć ogrzewanie w samochodzie było włączone na maksa, Teig czuł chłód przenikający przez jego buty i dwie pary skarpet. Bolały go palce u stóp. Zaciśnięte na kierownicy dłonie drętwiały pomimo termicznej podszewki rękawic.

– Ale to nie pora na sen – dodał Teig. – Raczej na lunch.

– Jak myślisz, kiedy dojedziemy do następnej stacji benzynowej? Mamy odebrać przewodnika za... – zerknął na zegar na desce rozdzielczej – ...pół godziny.

– Spóźnimy się – odparł Teig. – Ale tylko o jakieś dwadzieścia minut. Dojazd tą drogą dokądkolwiek zajmuje wieki.

Prentiss sarknął pod nosem, ale wymościł się w fotelu niczym niedźwiedź w swoim legowisku. Jako Anglik nie rozumiałby nawiązania do futbolu amerykańskiego, lecz Teigowi zawsze się wydawało, że jego przyjaciel wygląda jak emerytowany ofensywny liniowy. Metr osiemdziesiąt osiem, silny jak byk, z beczkowatą klatką piersiową i dumnym mięśniem piwnym. I jego włosy, i krzaczasta broda wymagały przycięcia, ale takimi drobiazgami Prentiss nigdy się nie przejmował. „Nie muszę być ładny – mawiał. – Nie ja stoję przed kamerą”. Poznali się przed czterema laty. Prentiss okazał się gderliwym, brutalnie szczerym i pracowitym facetem. Jednak tym, co przypieczętowało ich przyjaźń, była świadomość Teiga, że znalazł w nim znośnego towarzysza podróży. Żaden z nich nie próbował udawać, że wszystko gra, gdy akurat nie miał humoru. Obaj wyznawali filozofię, która dopuszczała wahania nastroju – właśnie ta filozofia ich połączyła.

Jednak tym, co połączyło ich jeszcze mocniej, były siedem tysięcy osiemset czterdzieści dwa dolary, które Teig był winien przyjacielowi. Prentiss nie był jedyną osobą z rewersem od Feliksa Teiglanda w kieszeni, ale dług zaciągnięty u niego był zdecydowanie największy. Teig miał gadane i zawsze jakiś plan na podorzędziu, o którym trąbił z niepohamowanym entuzjazmem – pełnometrażowy film dokumentalny od czternastoletniego reżysera z Argentyny; prawa do wraku hiszpańskiego galeonu; serial telewizyjny o twórcach komiksu z czasów drugiej wojny światowej, którzy byli tajnymi szpiegami; mockument badający historię Scooby’ego-Doo i jego ekipy, jakby istnieli naprawdę.

Teig piał się po szczeblach kariery. Zaczął latem przed ostatnim rokiem studiów jako pracownik obsługi planu *Sprzedawców duchów*, serialu reality o trójce badaczy zjawisk paranormalnych, których specjalnością jest „oficjalna” weryfikacja nieruchomości reklamowanych jako nawiedzone. Były to głównie hotele i pensjonaty wykorzystujące swoją upiorną reputację jako wabik na turystów, ale niektóre odcinki poświęcono domom i innym budynkom na sprzedaż, których właściciele sądzą, że jako nawiedzone przyciągną większe zainteresowanie kupców. Teig pracował z tą ekipą przez dwa sezony, zanim serial został skasowany, i był bardzo zawiedziony zarówno rzekomymi nawiedzeniami, jak i tak zwanymi badaczami.

Chciał znaleźć duchy, miał swoje powody, ale nigdy żadnego nie zobaczył, choć w trakcie jego pracy w programie potwierdzono dwadzieścia siedem „oficjalnych” nawiedzeń.

Tak czy owak zaczepił się w telewizji. Od tamtej pory ugruntował swoją pozycję, pracując na różnych stanowiskach. Robił research, był asystentem, a od czasu do czasu „talentem” ekranowym. Siedem lat temu założył własną firmę, Teigland POV, i po czterech latach jazdy bez trzymanki nawiązał stałe kontakty z kierownictwem Discovery i Nat-

Geo. W krótkim czasie sprzedał dwa dokumenty i dwa seriale, z których najnowszy – *Służba publiczna* – przedstawiał historię pracy seksualnej na całym świecie.

Kiedy ostatnia z zaprzyjaźnionych grubych ryb opuściła Discovery i pozostał mu tylko jeden sojusznik w National Geographic, Teig zaczął się pocić. Potrzebował czegoś wielkiego, programu, który mógłby zareklamować każdemu, a nie tylko tym, których przychylność już sobie zdobył. Chciał własnej *Stawki wartej tuńczyka*, *Ice Road Truckers* albo – nie daj Boże – *Dynastii kaczorów*. Prawdziwej bomby, czegoś ekscentrycznego, a jednocześnie komercyjnego. Czegoś, co można by kręcić latami i co utrzymałoby jego firmę na powierzchni. Bez wielkiego hitu jego kariera wylądował na telewizyjnym śmietniku najdalej za parę miesięcy.

Sukcesy Teiga przyniosły mu dość pieniędzy, żeby utrzymać firmę na chodzie i spłacić większość ludzi, którzy na niego postawili i przegrali. Spłacał ich kolejno, rekompensując poniesione przez nich straty. Ale wciąż miał długi, a sprawy znowu szły gorzej i Teig zaczął się martwić.

Gdy wpadł na pomysł z Traktem Kołymskim, pomyślał, że to mógłby być jego wielki hit. Wiedział jednak, że nikogo do niego nie przekona bez koncepcyjnego materiału wideo, czegoś, co przyniosłby ze sobą na spotkanie z potencjalnym inwestorem, aby dowieść, że tam był, i opowiedzieć, jak to jest przebywać w miejscu tak zimnym, że jeden twój błąd albo kaprys losu może cię zabić.

No i właśnie się tam znaleźli. Teig i Prentiss na Drodze Kości. Od czego są przyjaciele, jeśli nie od wspólnego ryzykowania życia?

To nie odludność, mrok ani nawet klimat tego miejsca przekonały go do zainwestowania w tę wyprawę. Przesądziła nazwa: Droga Kości. Na oficjalnych mapach widniała jako R504. Była kiepska. Od obu stron zaczynała się utwardzoną nawierzchnią, którą wkrótce potem zastępował ubity żwir przykrywający wieczną zmarzlinę na znacznej długości Traktu Kołymskiego. W wielu punktach droga była tak wąska, że mijające się samochody zdrapałyby sobie nawzajem lakier. Krajobraz składał się ze śniegu, szkieletów drzew, z gór i od czasu do czasu kawałka barierki oraz osad uznawanych za obszary miejskie, choć wiele z nich tworzyło kilkadziesiąt budynków wraz z mieszkającymi w nich twardzielami.

W czasach, kiedy Stalin budował Związek Radziecki, odkryto tu olbrzymie złoża złota i uranu, co oznaczało okazję do zarobienia wielkich pieniędzy. Teig rozumiał, dlaczego wówczas przesiedlano się do tego regionu – pieniądze zawsze były potężnym bodźcem – ale ludzie mieszkali tu już całe wieki przedtem i ich motywacje pozostawały dla niego zagadką. Jakuci przybyli tu w trzynastym stuleciu, a jeszcze przed nimi region ten zamieszkiwały ludy rdzenne.

Teig rozumiał, że tamci osadnicy prawdopodobnie dotarli tu latem, ale po pierwszej zimowej nocy, w czasie której temperatura spadła tak bardzo, że człowiekowi mogły zamarznąć gałki oczne, większość rozumnych istot rozważyłaby przeniesienie się na południe.

W każdym razie te, które miały wybór.

– Znowu w tym drążysz – odezwał się Prentiss.

Teig westchnął. Zwykle zaprzeczał, ale teraz pokiwał głową.

– Nic na to nie poradzę.

– To tylko program, który chcesz zrobić, chłopie. Jeśli tak cię to męczy, to nie wiem, po cośmy tu przyjechali. Mógłbym teraz leżeć w cieple. Z kimś ciepłym.

– Wiem. Masz rację.

Prentiss prychnął.

– Zawsze mam rację, Feliksie.

– Wiesz, że nie znoszę tego imienia.

– To twoje imię! Nie ja ci je dałem. Zadzwoń do matki i nawrzeszcz sobie na nią.

Teig rzucił mu spojrzenie z ukosa.

– W porządku, Johnie.
– Tylko moja babcia mówi do mnie John, i to dlatego, że nie mam serca wybić jej zębów.
– Więcej wiary w siebie, brachu. Zdecydowanie wyglądasz mi na takiego, co by się nie zawahał wybić babci zębów.

Prentiss zatrzepotał rękami.

– Cóż za komplement!

Samochód się zatrząsał, kiedy Teig brał zakręt, a opony zgrzytnęły na zamrożonym gruncie. Przez jakąś pierwszą godzinę odgłos silnika wwierał mu się w czaszkę, ale potem się do niego przyzwyczaił.

Jednak te koleiny w drodze, grzechotanie terenówki na tych nierównościach... do tego Teig nie potrafił przywyknąć.

– Masz rację. Ciągle o tym myślę – przyznał. – O tych kościach.

Prentiss westchnął.

– Wiedziałem, cholera, że znów się w tym babrzesz.

Pierwszy rok studiów Teig spędził w łóżku z dziewczyną imieniem Miranda, która uwielbiała dwie rzeczy: opowieści o duchach i jego język, właśnie w tej kolejności.

Musiał obejrzeć chyba setki odcinków programów o wyraźnie spiętych łowcach duchów udających, że słyszą dziwne odgłosy albo wyczuwają zmiany temperatur w starych domach. Wtedy był zdecydowanym sceptykiem, choć to właśnie ten czas z Mirandą doprowadził go w końcu do *Sprzedawców duchów*. Teig zatrzymał wątpliwości dla siebie, a Miranda mocno się w niego wtulała, gdy oglądała te wszystkie programy, zakrywając oczy i podskakując we właściwych momentach. Teig nigdy jej nie powiedział, co o tym myśli, po części, żeby nie obrazić dziewczyny, ale głównie dlatego, że nie chciał wyjaśniać swojej pałacej niechęci do tych bezwstydných oszustów.

Bo co niby miałby powiedzieć?

„Czekałem na ducha mojej siostry, ale się nie pojawił”.

Oddałby wszystko za choćby mignięcie ducha Olivii, aby wiedział, że jakoś, gdzieś jej śmiech wciąż istniał.

Teig miał dwanaście lat, kiedy srebrny minivan zatrzymał się na rogu ulicy obok ich domu i przez uchylone okno od strony kierowcy zaczął entuzjastycznie jazgotać cynamonowy szczeniaczek. Ośmioletnia Olivia zaklaskała podekscytowana i promieniejąc radością, podbiegła do vana. Kierowca w ciemnej bluzie z kapturem i okularach przeciwsłonecznych wyskoczył z auta, podbiegł do bocznych drzwi i otworzył je, cały czas trzymając w rękach szczeniaczka.

Cholerny szczeniaczek.

To Teig miał jej pilnować tamtego dnia. Mama była w szpitalu, a tata pracował w domu, w gabinecie. Olivia zawsze ciąg-

nęła brata za włosy i próbowała rozstawić go po kątach, ale też umiała go rozśmieszyć jak nikt inny. Była odważnym dzieciakiem, nie bała się zeskakiwać z huśtawki i ciągle szukała nowych sposobów na rozbić swojej hulajnogi. Za każdym razem, kiedy któreś z rodziców mówiło: „Pewnego dnia się zabijesz”, Olivia zwięzła oczy z szelmowskim uśmiechem.

– A wtedy wrócę i będę codziennie straszyla Feliksa aż do końca świata!

Van znaleziono za opuszczoną niewielką galerią handlową, czarny i zniekształcony od ognia.

Ciało Olivii znaleziono dwa miesiące później, w takim samym stanie.

Teig czekał latami na obiecaną pojawienie się ducha, ale się nie doczekał. Nim wylądował w akademikowym łóżku z Mirandą i jej obsesją na punkcie łowców duchów, jego nadzieja na życie pozagrobowe dawno się wypaliła.

Ale po całym roku szkolnym z Mirandą i obejrzeniu tych wszystkich programów zainteresował się bliżej nawiedzeniami i zaczął się zastanawiać. Wmawiał sobie, że to nie jest nadzieja, a on wcale się nie spodziewa, że duch Olivii pojawi się nagle w drzwiach jego pokoju w akademiku albo w którymś odcinku *Nawiedzonej Ameryki*, a jednak w ciągu tego roku zatliła się w nim maleńka iskierka czegoś i odtąd już nigdy tak całkiem nie zgasła. Pewnego dnia, kiedy pracował przy *Sprzedawcach duchów*, poproszono go o podwiezienie Dei Madison, jednej z gwiazd programu, na miejsce najnowszego „nawiedzenia”. Teig wykorzystał okazję, żeby ją spytać, bez ogródek, czy wierzy w to, co robią. Przypuszczał, że się rozżłości, może nawet go zwolni albo zwierzy mu się i przyzna, że to wciskanie kitu. Nie spodziewał się tylko, że oczy

jej się zaświecą i przytaknie z takim zapalem. Owszem, przyznała, przynajmniej dziewięćdziesiąt procent tego, co pokazują w telewizji, to teatrzyk, zwykła ściema ku uciesze widzów i stacji telewizyjnej.

– Ale te dziesięć procent – dodała – to jest coś!

Opowiedziała mu o miejscach, w których była, o rzeczach, które tam zobaczyła, usłyszała i poczuła, a to, co mówiła, było tak niepokojące, że parę razy Teig złapał się na wstrzymywaniu oddechu. Spędzili w samochodzie dwie godziny, a Deja nawet przez chwilę nie była zmęczona ani jego pytaniami, ani mówieniem z wielką pasją o duchach, na które w swoim przekonaniu się natknęła. Teig nie czuł się do końca przekonany, ale już nie był tak radykalny w swoim sceptycyzmie.

Chciał wierzyć.

Zawsze chciał wierzyć.

Jeśli nawiedzenia są faktem, jeśli duchy mogą się ukazywać, to być może pewnego dnia Olivia dotrzyma obietnicy i wróci, a Teig będzie mógł w końcu powiedzieć jej, jak bardzo mu przykro z powodu tego, co ją spotkało. Może wreszcie będzie mógł błagać ją o przebaczenie.

Mijały lata. Pochłonęła go praca. Sukcesy i porażki były niczym jazda rollercoasterem, który teraz znalazł się o włos od wykolejenia. Przestał uganiać się za duchami wiele lat temu, ale gdyby miał być ze sobą szczerzy, to nigdy tak całkiem. Kiedy po raz pierwszy przeczytał o Drodze Kości, coś to w nim obudziło, napełniło go strachem i przerażeniem. Jeszcze nie był w miejscu o równie mrocznej i smutnej historii.

Choć tyle czasu przepracował z tak zwanymi badaczami zjawisk paranormalnych, nigdy wcześniej nie natrafił na coś, co sprawiałoby wrażenie tak bardzo nawiedzonego jak to.

Teig zadrżał, ale nie z zimna.

Przetarł oczy.

– To chyba niedaleko. Jak już zabierzemy przewodnika, to może ty trochę poprowadzisz.

Prentiss poprawił się na skrzypiącym fotelu.

– Dobrze się czujesz?

– Niełatwo to ogarnąć. To miejsce... – przyznał Teig. – Czytać o tym to jedno. Widzisz słowo „gułag” w tekście i masz niejasne pojęcie, co to znaczy, ale potem przyjeżdżasz w to miejsce i dociera do ciebie, że te obozy koncentracyjne były właśnie tutaj.

Rzucił okiem za okno, popatrzył na mijane martwe drzewa i krajobraz tak jałowy, że równie dobrze mogłaby to być inna planeta. A jednak to była Ziemia, świat ludzkich istot, których okrucieństwo nie miało granic.

– Nie chcę o tym myśleć – powiedział Prentiss, wyglądając przez okno po swojej stronie. – Ale wiesz, jeśli uda ci się ruszyć ten projekt, to będziemy o tym wszystkim myśleli bez przerwy, i to bardzo długo.

Teig westchnął.

– Ludzie powinni wiedzieć. O najbrzydszych fragmentach historii trzeba pamiętać przede wszystkim.

Prentiss skinął głową i obaj na chwilę wsłuchali się w dudnienie silnika. Teig naprawdę tak myślał. Uważał za ważne, aby nie pozwolić odejść w zapomnienie potwornościom, które się tu wydarzyły. Przez całe życie nigdy nie słyszał o budowaniu Traktu Kołymskiego, a kiedy zapytał o to zaufanych przyjaciół, okazało się, że nikt z nich nie ma o tym pojęcia. Na Syberii już wcześniej istniała sieć obozów koncentracyjnych – gułagów – ale kiedy Sowieci odkryli złoża złota i uranu, Stalin rozkazał zbudować drogę łączącą Magadan i Jakuck. Wzdłuż trasy powstało przynajmniej osiemdziesiąt nowych obozów, które były źródłem łatwo dostępnej siły roboczej. Więźniowie polityczni, przestępcy, pechowi niewinni, mężczyźni, którzy ośmielili się spojrzeć na żony radzieckich dostojników –

wszyscy oni zasilali gułagi. Do pracy przy budowie Traktu Kołymskiego zmuszono setki tysięcy ludzi, a na przestrzeni lat pochłonęła ona aż sześćset tysięcy ofiar, z których większość zamarzała na śmierć.

Ich ciała grzebano tam, gdzie upadli, pod wieczną zmarzliną.

Pod Drogą Kości leżały setki tysięcy zamarzniętych zwłok. Jechali po wyboistych, pokrytych koleinami, zlodowaciałych mogiłach – od samego początku tej wyprawy – a mieli do przebycia jeszcze setki kilometrów.

Stacja nie miała żadnego szyldu, ale nikomu z przejeżdżających nie byłby on potrzebny. Trzy rdzewiejące pompy paliwowe stały pod ogrodzeniem z siatki drucianej, za którym znajdowały się cztery ogromne zbiorniki z benzyną. Gdzie indziej te zbiorniki tkwiłyby pod ziemią, ale ktokolwiek był właścicielem tych wyblakłych zasobników na końcu świata, dał sobie spokój z zakopywaniem ich w wiecznej zmarzlinie.

Teig zmarszczył brwi, podjeżdżając pod jedną z pomp i patrząc na niewielki, przysadzisty budynek, w którym musiała mieścić się kasa. Wyglądał bardziej jak schron przeciwbombowy, stuletni relikw po diabli wiedzą której wojnie. Ktoś wysmarował sprejem kilka liter cyrylicą, co kazało Teigowi zrewidować założenie, że stacja jest pozbawiona szyldu. Niezrozumiały dla niego napis mógł głosić: „stacja benzynowa”, „tylko gotówką” albo „zagrożenie biologiczne”, w każdym razie na pewno coś znaczył. Wrzucił tryb parkowania. Silnik cyknął i zadudnił. Prentiss wyglądał, jakby przysnął, ale on zwykle chrapał jak niedźwiedź ze skrzywioną przegrodą nosową, a teraz wydawał się zbyt spokojny, więc chyba udawał.

– Przeszła się wydurniać – powiedział Teig. – Idź tam po przewodnika. I dowiedz się, czy mamy sami zatankować.

Prentiss otworzył oczy i przybrał żalostną minę.

– Ale jest strasznie zimno.

– Nie mogę zgasić silnika. Zresztą obaj wiemy, że musisz się wysikać. Bo musisz co chwila.

Z ciężkim westchnieniem Prentiss pchnięciem otworzył drzwi. Do wnętrza wdarło się zimno, szokujące i brutalne.

– Wiesz, że nie lubię nowych ludzi, Teig. To dlatego ty jesteś producentem, a ja facetem za kamerą. Zresztą chciałeś, żebym przejął kierownicę, więc mogę to zrobić teraz. A ty się zajmij kontaktami z miejscowymi.

Nie czekając na odpowiedź, Prentiss wyostał się z samochodu i zatrzasnął drzwi. Obszedł uaza z przodu, przecinając blask reflektorów, który w lodowatym powietrzu dziwnie podświetlił jego rysy twarzy. Prentiss wygłosił swoją uwagę typowym dla siebie zabawnie zrzedliwym tonem, ale Teig wiedział, że on wcale nie żartuje. Dobry przyjaciel musi mieć kilka kluczowych cech, takich jak lojalność, wspólna filozofia życia i gotowość do poświęceń, lecz Teig przekonał się, że najważniejszą z nich jest wycucie, kiedy się odezwać, a kiedy milczeć. Był w tym raczej kiepski, ale się starał, a to już coś.

Lekko wcisnął gaz i posłuchał ryku silnika, po czym wysiadł z samochodu i pozwolił przyjacielowi wgramolić się na miejsce kierowcy.

Prentiss rzucił mu szelmowski uśmiezek.

– Jak sprzedają przekąski, to kup coś.

Teig parsknął śmiechem.

– Popatrz na tę norę. Wygląda jak po przejściu hordy zombiaków. Wątpię, czy mają tu te twoje ukochane flamin' hot cheetos.

– Jeśli mają coś, co je przypomina, to będę w siódmym niebie. Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

Teig ruszył truchtem do bunkra, zerkając ze zmarszczonymi brwiami na sprejowe graffiti. Jedyne okno w budynku było zarośnięte brudem nagromadzonym przez dziesiątki lat. Ktoś palcem nabazgrał na nim po angielsku OPEN i Teig zastanawiał się, czy nie zrobiono tego na jego użytek.

Pchnął drzwi i wszedł do środka, prosto w chmurę gryzącego dymu papierosowego. Większość świateł pod sufitem była przepalona, ale cztery żarówki wystarczały, aby w ich blasku zobaczyć dwoje ludzi w tym pomieszczeniu przypominającym kwadratowe pudło. Krępa kobieta w wełnianych spodniach i grubym, poplamionym swetrze siedziała w niedbałej pozie na pluszowym fioletowym fotelu i głąskała lśniąca sierść rosyjskiego spaniela. Pies powęszył w kierunku Teiga i odwrócił wzrok, elegancki i wyniosły niczym książę zmuszony żyć wśród pospólstwa. Kobieta spojrzała w stronę spaniela, unosząc brew, zaciągnęła się śmierzącym tureckim papierosem i odwróciła do swego ludzkiego towarzysza.

– To pewno ten twój Amerykanin – odezwała się kaleczonym angielskim, uśmiechając się przy tym z wyższością, jak gdyby samo mówienie jego językiem było oznaką jej pogardy dla Teiga. Jakby wiedziała,

że on nie może się zrewanżować, i chciała mu o tym przypomnieć. Miała rację.

Młody mężczyzna, do którego się zwracała, siedział na stołku za niewielkim kontuarem uginającym się pod ciężarem kasy. Na półce za nim wystawiono różne torebki chipsów i innych przekąsek, ale z tego co Teig się orientował, to mogły być suszone płatki rybne albo nachosy. Ani śladu cheetosów. Na najniższej półce stał rząd puszek coca-coli. Prentiss byłby zadowolony.

– Spóźniłeś się, panie Teigland – powiedział mężczyzna za ladą.

– Tym bardziej przyda mi się przewodnik. Ty pewnie jesteś Kaskił?

Przewodnik pochylił głowę w czymś, co przypominało ukłon, po czym ześliznął się ze stołka i wyszedł z za lady. Teig kontaktował się z nim przez mejla, a raz rozmawiali na Zoomie, ale teraz, na żywo, wydawał się rażąco nie na miejscu. Solidne buty z renifera – stare i zdarte – najwyraźniej towarzyszyły mu od wielu lat, ale gruby sweter był nowiuteńki, jaskrawoczerwony. Spodnie też sprawiały wrażenie nowych, a kiedy sięgnął po kurtkę i długi, gruby szal, okazały się nie tylko świeżo kupione, lecz także stylowe. Wzdłuż Traktu Kołymskiego nie było żadnych butików ani domów towarowych, a jednak Kaskił ubierał się jak człowiek, który ma i pieniądze, i gust. Wysoki i szczupły, z przyciętymi włosami i wąsami, wyglądał jak hollywoodzki aktor z lat czterdziestych, a raczej wyglądałby, gdyby nie wytatuowany na szyi czarny pajak skierowany w dół. Teig wiedział, że ten tatuaż coś oznacza, możliwe, że chodziło o coś kryminalnego, związanego z więzieniem.

Kaskił zauważył, że mu się przygląda.

– Jakies pytanie?

– Będę miał wiele pytań, ale nie to, o którym myślisz.

Przewodnik skinął głową.

– Powinniśmy się zbierać. – Kaskił wskazał na drzwi. – Przypuszczam, że potrzebujesz benzyny.

– I łazienki – dodał Teig. – I trochę tych przekąsek dla mojego kamerzysty.

Kaskił wyterkotał polecenie do grubej kobiety, ale nie po rosyjsku – Teig uznał, że po jakucku – a potem wyjął tureckiego papierosa z jej palców i włożył go sobie do ust. Zaciągnął się mocno i oddał jej, a wówczas kobieta wstała, cmoknęła go w policzek i poszła zapakować przekąski z za lady.

Teig zamrugał ze zdumieniem, a Kaskił się uśmiechnął.

– Moja babcia. – Zapiął kurtkę i owinął szal wokół szyi, zasłaniając pajaka. – Chodźmy. Zatankujemy i pokażę ci, gdzie jest toaleta. A potem zabiorę was do najzimniejszego miejsca na ziemi.

Godzinę później Kaskił zdawał się już mniej miły niż na stacji benzynowej. Siedzący za kierownicą Prentiss zabronił mu palenia w samochodzie jego tureckich śmierdziuchów. Teigowi było wszystko jedno, ale ponieważ z Kaskilem miał się pożegnać, choćby chwilowo, za dzień lub dwa, a z Prentissem zamierzał jeszcze współpracować przez wiele lat, wiedział, czyją stronę powinien trzymać.

Z głośników lecieli Dead Kennedys. Prentiss ściszył, co zmieniło muzykę w buczący łomot, prawdziwą mękę dla czaszki. Siedzący z tyłu Kaskił westchnął teatralnie. Teig stłumił śmiech. Przewodnik najwyraźniej nie miał w zwyczaju się ceregielić, więc powinien być z niego dobry kompan, o ile Prentiss go nie zamorduje.

– To było do mnie, co? – rzucił Prentiss, odwracając się do Teiga i piorunując go wzrokiem.

– No chyba. Masz talent do wkurzania ludzi.

– Pierdol się, Felix.

Na tylnym siedzeniu Kaskił wymamrotał coś w swoim języku, co jednak zlało się z cichym dudnieniem muzyki.

Prentiss łypnął z wściekłością w lusterko wsteczne.

– Jak będziesz chciał się zatrzymać i zrobić przerwę na dymka, to daj znać, zjadę na pobocze.

Kaskił błysnął zębami, ale Teig wątpił, że ktokolwiek uznałby ten wyraz twarzy za uśmiech. W szarym świetle wnętrza samochodu Kaskił siedział w bańce potencjału, która emanowała energią dwojakich możliwości – mogła eksplodować agresją bądź jowialnością. Teig pomyślał o wujku Franku, który dla podrastającego Teiga zawsze miał jakąś nieproszoną radę. „Cokolwiek dostajesz od ludzi, odpłacaj im tym samym razy dziesięć – mawiał wujek Frank. – Zawsze bądź gotów przejść na wyższy poziom. Ktoś jest dla ciebie miły, to zrób, co w twojej mocy, żeby uprzyjemnić mu dzień, roześmiej się albo poklep go po plecach. Ale jak ktoś ci załazi za skórę albo szuka guza, to zwał mu na łeb jebane plagi egipskie. Tak czy siak bądź zawsze gotowy”.

Energia emanująca z Kaskiła była tym, co Teig nazywał „energiją wujka Franka”. Można by pomyśleć,

że Kaskił jest jego dawno zaginionym kuzynem.

Przewodnik wycofał się cicho w cień tylnego siedzenia.

– Panie Teigland – rzekł – twój kolega nie jest tak czarujący, jak mu się zdaje.

Prentiss chrząknął z rozbawieniem.

– Nie martw się, stary, ja dobrze wiem, że jestem mało czarujący. I mam to gdzieś.

Teig odwrócił się i uśmiechnął do Kaskiła.

– Fakt, ma to gdzieś. Jeśli szukasz na tej wycieczce uroku, to obawiam się, że musi ci wystarczyć mój.

– Mieszkam w Akucku, przyjacielu. Urok to towar deficytowy.

Teig zamrugał, zdumiony.

– Zaraz, mieszkasz w Akucku?

– Moja rodzina to pasterze reniferów. Dorastałem, doglądając tych bestii.

– Nie wyglądasz mi na pasterza reniferów – wtrącił Prentiss.

Kaskił zaśmiał się cicho i całe napięcie wyparowało.

– Chyba nie. Trochę podróżowałem, ale już wróciłem na dobre.

– I teraz doglądasz turystów – uzupełnił Teig.

– Z reniferami jest znacznie łatwiej – odparował Kaskił. – Turystów nie ma zbyt wielu, ale jak już przyjeżdżają, to lubią mieć przewodnika. Są ciekawi, żądni przygód, chcą odkrywać i się uczyć. Głównie latem oczywiście. Ziemia jest błotnista i paskudna, ale przynajmniej nie próbuje cię zabić.

– A kiedy nie ma turystów? – spytał Teig.

– No cóż... – Kaskił się uśmiechnął. – Renifery są przynajmniej bardziej czarujące niż pan Prentiss.

To rozbawiło nawet Prentissa, ale Teig wciąż skupiał się na Kaskile. Najniższa zanotowana temperatura w Akucku przekraczała minus siedemdziesiąt stopni. Nie był w stanie stłumić swych bezpodstawnych wyobrażeń o ludziach, jakich spotka podczas podróży Traktem Kołymskim. Kaskił w ogóle ich nie spełniał, choć jego babcia wpisywała się w nie znakomicie.

– Poprosimy cię o wywiad przed kamerą – oznajmił Teig. –

Twoją rodzinę też.

Kaskił sprawiał wrażenie, że tego nie słyszy. Prentiss przejechał przez serię głębokich wybojów i wszyscy trzej aż podskakiwali na siedzeniach, ale Kaskił nawet nie mrugnął. Teig wyjrzał za okno, żeby zobaczyć, co go tak zahipnotyzowało, i ujrzał betonowy mur wznoszący się piętnaście metrów od drogi, zwieńczony drutem kolczastym. Widoczne za nim dachy budynków przemysłowych, spłowiełe do białości od wielu dekad działania letniego słońca, prawie zlewały się ze śnieżnobiałymi górami w tle. Patrząc na te brzydkie pudła z długimi rzędami okienek, Teig poczuł falę mdłości, bo nagle sobie uświadomił, że ma przed oczami gułag.

Trzej mężczyźni jechali w milczeniu, dopóki opuszczony obóz koncentracyjny nie zniknął z pola widzenia. Terenówka znowu zadudniła na głębokich koleinach i Teig wyobraził sobie kości pod oponami. Ludzkie czaszki. Może niektóre należały do krewnych Kaskiła sprzed kilku pokoleń. Czyli z czasów wcale nie tak odległych.

Parę kilometrów dalej minęli opuszczony kościół stojący po drugiej stronie drogi. Połowa jego przedniej części zawałiła się, a barierka zatrzymała zwałowisko kamieni przed zasypaniem drogi. Teig zastanawiał się, czy kościół ten zbudowano dla pracujących więźniów, aby modlili się o uwolnienie od cierpień, czy dla ich nadzorców, by mogli w nim błagać o przebaczenie.

Zerknął na tylne siedzenie. Posępność zza okien najwyraźniej przeniknęła do wnętrza samochodu, bo panujący w nim mrok zdawał się pogłębiony. Rozjaśniał go jedynie szal przewodnika.

– Myślisz, że urządzali pogrzeby dla robotników, którzy zmarli podczas budowy drogi?

Oczy Kaskiła błysnęły w ciemności. Zaślniły.

– Więźniowie pamiętali o swoich zmarłych. Modlili się za nich, odprawiali nabożeństwa żałobne, robili, co mogli.

W jego głosie było więcej nadziei niż pewności, jakby nie chciał wyobrażać sobie niczego innego.

Prentiss przybliżył twarz do okna i zerknął w dół, na drogę pod kołami. Samochód gwałtownie skręcił, więc mocniej chwycił za kierownicę i wyprostował kurs.

– Nienawidzę myśli o tych wszystkich ludziach zakopanych pod tą drogą – odezwał się. – To nie jest poświęcona ziemia.

Teig zwalczył pokusę przewrócenia oczami. Prentiss miał pewną skłonność do przesądów – skutek religijnego wychowania – którą nieczęsto ujawniał. Jasne, to miejsce było przerażające, ale Teig nie martwił się tym, czy umarłych pochowano w poświęconej ziemi. Odwiedził dość nawiedzonych miejsc, żeby nie spodziewać się zjaw. Życie tych, którzy tu zmarli, było wystarczająco straszne i bez domieszki zaświatów. Ale upiorny klimat świetnie się sprawdzi w telewizji.

– Właściwie to kilka odcinków tej drogi zostało pobłogosławionych – oznajmił Kaskił. – Jeśli wierzyć opowieściom.

Teig się ożywił.

– Jakim opowieściom?

Wciąż pograżony w cieniu tylnej części uaza, Kaskił odwrócił się w stronę okna.

– Na pewno szukaliście jakichś informacji przed przyjazdem. Tu zawsze opowiada się o duchach, ale od kilku lat sporo

się mówi o duchu Ludmiły. Błąka się przy drodze i modli za zmarłych w nadziei, że tak pobłogosławione dusze odnajdą spokój. Warto poświęcić jej odcinek waszego programu.

Mimo napływającego z nawiewów gorącego powietrza Teig zadrżał. Nie wierzył, ale chciał. Iskierka nadziei, że pewnego dnia jeszcze zobaczy Olivie, wciąż się w nim tliła. Widział, że Prentiss zeszywniał za kierownicą, a jego samego przeszył chłód i włoski zjeżyły mu się na karku.

– Chcesz powiedzieć, że w to wierzysz? W tego ducha?

Kaskił pochylił się do przodu. Światelka z deski rozdzielczej zalały jego rysy niebieską poświatą. Uśmiechnął się.

– Czy wierzę? Widziałem ją, przyjacielu. I wcale bym się nie zdziwił, jeżeli też ją zobaczycie.

Gdy Prentiss zastąpił go za kierownicą, Teig miał nadzieję się zdrzemnąć, ale obecność Kaskiła sprawiła, że nie było na to szans. Narracja podróży była jednym z zadań przewodnika, lecz Kaskił nie opowiadał im tylko o kulturze Jakucji. Jak dotąd uraczył ich opowieściami o wzdęciach swojego ojca, obsesji babci na punkcie filmów o japońskich samurajach i samobójstwie współwięźnia z celi. Wszystko to jednak bledło w porównaniu z przygodami szwagra Kaskiła. Mąż jego starszej siostry Tujaary, niejaki Ałdyn, codziennie wychodził z domu, udając, że idzie do pracy, a w rzeczywistości szedł do pewnej chatki za miastem, żeby tam sypiać ze starą kobietą, która mu za tę przyjemność płaciła. Wiedziała o tym cała rodzina – i całe miasto – ale przynosił pieniądze do domu i pomagał go utrzymywać, więc nikt nawet słowa nie powiedział. Kobieta pochowała trzech mężów, z czego dwóch, jak podejrzewano, mogła zamordować, lecz Kaskił sądził, że dopóki jego szwagier nie ożeni się z tą wesołą wdówką, jest bezpieczny.

Ponad dziesięć lat temu jego matka zginęła w wypadku z udziałem skutera śnieżnego i sarny syberyjskiej. Teig pomyślałby, że to bujda, gdyby nie autentyczny ból w oczach Kaskiła, kiedy opowiadał tę historię. Wiedział, że brzmi to idiotycznie, nawet uśmiechnął się, mówiąc o tym, ale z jego słów wycierał ból. Po śmierci matki zbliżył się do siostry. Tujaara i Ałdyn mieli dziewięcioletnią córkę, którą Kaskił nazywał swoim małym słoneczkiem. Powiedział to najpierw po jakucku, a potem po angielsku, ale Teig nawet nie próbował powtórzyć wersji w miejscowym języku. Wiedział, że wyszłoby mu to beznadziejnie.

Kaskił kierował tę papkę strumienia świadomości na Teiga, jakby Prentiss stał się niewidzialny i samochód prowadził się sam. Wielki Anglik trzymał ręce na kierownicy, a wzrok na tym czymś, co podobno było drogą. Od czasu do czasu wzdychał, choć się nie odzywał, wdzięczny, że nie on jest docelowym słuchaczem.

Czaszka Teiga pulsowała, a szyja bolała od tego podskakiwania na wybojach. Sam nie wiedział, czy Kaskił go bawi, czy budzi w nim chęć mordy, ale Prentiss stracił cierpliwość prędzej niż on.

– Muszę się odlać – mruknął, rzucając okiem na tylne siedzenie. – Znajdzie się jakieś miejsce, gdzie da się to zrobić bez odmrożenia sobie jaj?

Kaskił wycelował w niego palcem.

– Załatwimy to. Za jakieś piętnaście minut zobaczysz światła po lewej stronie.

– Miasto? – zapytał Teig.

– Nie nazwałbym Ołoncho miastem. Nawet według standardów kołymskich. Ale znajdziecie tam łazienkę. I bar, jeśli macie ochotę na burgera i wódkę.

Teig miał ochotę na jedno i drugie.

Prentiss znów zerknął do tyłu na Kaskiła.

– Świetnie. Słuchaj, wydajesz się całkiem miłym gościem, ale zrób mi przysługę i zamknij się, dopóki tam nie dojedziemy, dobra? Chciałbym trochę posiedzieć w ciszy.

Teig rzucił spojrzenie z ukosa na swojego kamerzystę. Co, do cholery, ten Prentiss sobie myśli? Mógł nie zauważyć tatuażu z pajakiem na szyi Kaskiła, ale chyba słyszał, jak ten facet gadał o współwięźniu z celi? Mimo aury nieprzewidywalności otaczającej ich przewodnika Teig uznał, że go lubi, ale przecież nie znali Kaskiła na tyle dobrze, by go drażnić.

Przewodnik podniósł ręce w geście poddania.

– No to się zamykam.

Toczyli się przez to dziwnie szare światło dzienne w ciszy zaburzonej tylko odgłosami silnika i podskakujących na drodze kół. Na wzgórzu, w głębszym mroku za linią drzew, Teig dostrzegł kilka ciemnych kształtów biegnących nisko przy ziemi, jakby próbowały dotrzymać im kroku. „Wilki”, pomyślał, przyglądając się, jak błyskawicznie przemykają między drzewami, silne, zwinne i bezgłośne. Zadrżał na myśl, że te drapieżniki mogłyby uznać mijający je samochód za zwierzyńcę, ale wtedy ujrzał łosia, który wystrzelił pomiędzy drzew jakieś pięćdziesiąt metrów przed nimi.

Prentiss zaklął i przyhamował, gdy łoś sadził susami przez ponad półmetrową warstwę śniegu, przeskoczył skarpe i śmignął przez drogę. Samochód wpadł w poślizg, ale lekki. Nie stracił przyczepności i zatrzymał się z łagodnym kołysaniem, a oni siedzieli oniemiały, patrząc, jak sznur wilków przecina drogę,

ścigając zdobycz.

Łoś dotarł do drzew po drugiej stronie jezdni, lecz jego przewaga nad pogonią zmniejszyła się o połowę. Było jasne, że nie zdoła uciec, i ta świadomość sprawiła, że Teig poczuł ciężar na sercu. To były dzikie stworzenia, jasne, i taka jest natura, ale łoś nie miał dokąd uciec.

– No, wreszcie – odezwał się Prentiss. – Dzięki Bogu. Bo zaraz pękne.

Dojechali do wąskiej, odśnieżonej drogi po lewej stronie. Prowadziła w bok od Traktu Kołymskiego, wchodziła między drzewa, a potem pięła się w górę niewielkiego wzniesienia, gdzie przyzywało ich niewielkie skupisko świateł.

Wahania Kaskiła, czy nazwać to miejsce miastem, okazały się w pełni uzasadnione. Było czymś niewiele więcej niż przydrożnym zajazdem dla ciężarówek i nawet nie miało swojej nazwy, więc miejscowi posługiwali się nazwą baru –

Ołoncho. W oknach migotał neon, ale oprócz knajpy było tam jeszcze ze dwanaście innych obiektów, w tym wielki, brzydki garaż postojowy i mniejsze budynki, które mogły być domami mieszkalnymi lub warsztatami. Głównym punktem, nie licząc baru, było coś w rodzaju warsztatu naprawy samochodów ze stojącym przed nim pojedynczym dystrybutorem paliwa.

– Mamy dotankować do pełna? – zapytał Prentiss.

Spojrzał na Kaskiła, który uśmiechnął się i uniół ręce w tym samym geście co poprzednio, a potem podjął, jakby nigdy nie przestał trajkotać:

– Następną stacja będzie za sto sześćdziesiąt kilometrów, więc na pewno nie zaszkodzi. Jak zatankujesz, możesz zaparkować w garażu. Nie ma ogrzewania, ale nie jest tam tak zimno jak tutaj. Nie musisz zostawiać silnika na chodzie, żeby później odpalił.

Wysiedli, a Prentiss podjechał pod dystrybutor. Teig poczuł mocne uderzenie chłodu. W samochodzie, gdy siedział na miejscu pasażera, ziąb przyczaił się jak nieustanny ból w kościach, ale teraz, na zewnątrz, ciepło w uazie wydawało się tropikalnym wspomnieniem. Z ust wydobywał się kłęb oddechu. Dłońmi w grubych rękawicach Teig naciągnął szal na usta i nos. Pamiętał daną sobie przysięgę, że włoży balaklawę, ale przecież mieli tylko przejść od auta do baru. Pomimo zimna uśmiechnął się pod szalem.

Burger i shot wódki wydawały się idealnym lekarstwem na to, co mu dolegało.

– Nie do wiary, że tu mieszkasz – powiedział, myśląc na głos.

Kaskił wybuchnął śmiechem.

– Słyszę to od wszystkich klientów. Chyba nie zdają sobie sprawy, jakie to obraźliwe.

Teig zamrugał. Zapiękła go słuszność tych słów.

– Przepraszam. Masz rację – stwierdził, dygocząc. – Po prostu nie umiem sobie wyobrazić, że tak może wyglądać zwyczajne życie.

– Panie Teigland – rzekł Kaskił, jakby napominał małe dziecko – nie chciałbyś kręcić o nas programu, gdybyśmy prowadzili tu życie w twoim pojęciu zwyczajne.

Szybko ruszyli w stronę baru. Odgłos silnika uaza ucichł w garażu i teraz Teig słyszał trzeszczenie śniegu pod nogami, jakby ktoś odpukiwał w niemalowane drewno. Nagle jego uszu dobiegły podniesione głosy – jakieś śpiewy. „Pewnie muzyka z baru”, pomyślał, dopóki nie usłyszał, jak Kaskił klaszcze dłońmi w grubych rękawicach, i nie spojrzał na zasypane śniegiem pole obok baru, gdzie czterech mężczyzn w futrzanych parkach poruszało się w klasycznym numerze tanecznym niczym jakiś jakucki boysband. Muzyka grzmiała z czyjegoś telefonu albo głośników. Jeden z mężczyzn miał na sobie jaskrawozieloną kurtkę i grube futrzane spodnie. Pozostali wyglądali jak myśliwi, ale tańczyli doskonale zsynchronizowani, podczas gdy piąta osoba, chyba młoda kobieta, sądząc po jej długich czarnych włosach, nagrywała ich telefonem. Muzyka była znajoma – jakiś ostatni przebój popowy – ale tekst nie był po angielsku.

– Co oni, do diabła, wyprawiają?

– Kręcą teledysk – odparł Kaskił.

– Zamarzną na śmierć.

Kaskił spojrzał na niego jakby z politowaniem.

– Oni się bawią. Myślałeś, że wszyscy tu jesteśmy jak moja babcia?

Przewodnik pchnął drzwi i zniknął we wnętrzu baru, nie mówiąc ani słowa więcej, a Teig znowu poczuł się jak dupek. Skoro miał zamiar nakręcić serial o życiu przy Trakcie Kołymskim, powinien się bardziej postarać, żeby nie zrażać do siebie ludzi, którzy tu mieszkają.

Ale najpierw musiał się napić.

Wszedł za Kaskilem do baru. Widok jasnego wystroju i uśmiechniętych twarzy już go nie zaskoczył. W jego odczuciu ci ludzie mieszkali w nawiedzonym, zamarzniętym piekle. W ich odczuciu... to był po prostu dom.

Właściciel – wielki, niechlujny facet o imieniu Timur – stał za poplamionym drewnianym barem, napawając się ciepłem i śmiechem w tym małym królestwie, które dla siebie stworzył. Teig pomyślał, że emanuje z niego poczucie dumy, zanim zdał sobie sprawę, że ten blask w oczach Timura przypomina raczej zwykłe zadowolenie. Jego policzki i czoło znaczyły bruzdy, nie zmarszczki, a twarz wyglądała jak wyprawiona skóra, którą namoczono i odłożono, by wyschła w ciemności.

– To żenujące – powiedział do niego Teig, opróżniając resztę zamówionego piwa.

– Chyba tak – zgodził się Timur, z zapałem kiwając głową.

Teig zaśmiał się cicho. Dziwiły go tutaj nie tylko język i zwyczaje, ale też sposób myślenia tych ludzi. W Stanach albo w Wielkiej Brytanii, gdyby wyraził skłębowanie lub zawstydzenie faktem, że zna tylko kilka słów w miejscowym języku, podczas gdy tak wielu tutejszych przynajmniej trochę mówi po angielsku, każdy zareagowałby tak, żeby mu dodać otuchy. „Ależ skąd, wszystko w porządku. Nie można umieć wszystkiego. Amerykańska edukacja”. Amerykanie i Brytyjczycy raz-dwa wymyśliliby w jego imieniu jakieś wymówki albo zapewniliby go, że niczego od niego nie oczekują. A w Jakucji przytakiwali, że słusznie czuje się zażenowany.

Timur sięgnął po jego szklankę i zaczął napełniać piwem z kraniku, ostrożnie ją przechylając, żeby piana nie przelała się przez krawędź. Ledwo Teig i Kaskil weszli do baru, Teig zaczął się rozgrzewać. Zapach mięsa na grillu i przypraw w garnku ożywił go natychmiast i już nie potrzebował wódki. Cokolwiek tak smakowicie pachniało na grillu, chciał do tego piwa. Ale nie zamierzał wypić drugiego.

Co nie znaczy, że odmówił.

Okazało się, że na grillu pachnie burger z renifera, ręcznie zmielony i wymieszany z rozdrobnionym bekonem. Teig zamówił jednego, kierując się wyłącznie aromatem, od którego aż ślinka mu pociekła. Timur podał mięso z cheddarem robionym w Sizayi, odległej wiosce syberyjskiej, i z importowanym truflowym aioli. Teig zorientował się, że właściciel baru niechętnie opowiada o sobie, ale wyglądało na to, że o swoich daniach albo o wódce, którą robi jego brat, może mówić, dopóki klient ma ochotę słuchać.

Teig odgryzł kolejny kęs burgera, rozkoszując się smakami na języku. Z każdym kąskiem coraz bardziej błędne wyobrażenia, które powstały w jego głowie, kiedy planował wyprawę Traktem Kołymskim. „Guy Fieri byłby tym miejscem zachwycony”, pomyślał. Odległy, prawie zaginiony świat, który może odkryć tylko ten, kto podróżuje Drogą Kości i nie zatankował na poprzedniej stacji albo musi skorzystać z toalety. A jednak właśnie tutaj mieli chyba najwspanialszego burgera, jakiego Teig kiedykolwiek skosztował.

Renifer. Jego dziecięce ja wzdygnęło się na tę myśl. Ale smakował wręcz zajebiście dobrze.

Timur postawił przed nim szklankę piwa. Teig podziękował mu gestem, przełykając następny kęs burgera.

– Mówisz, że chcesz tu robić telewizję – powiedział Timur. Już rozmawiali o planach Teiga dotyczących odcinka o barze. –

To trochę zabawne.

– Zabawne? – powtórzył Teig.

Właściciel baru wyszczerzył zęby.

– Amerykanie czasem tu przyjeżdżają. Zawsze zaskoczeni, ci Amerykanie, gdy mówię do nich po angielsku. Wiem, że myślą, że cały świat uczy się angielskiego, bo podziwiamy wasz kraj albo chcemy w nim mieszkać, albo inne głupie rzeczy. – Lekko prychnął i pokręcił głową w tę i w tę. – Oczywiście, że tak myślicie. Ale większość tutejszych wcale nie chce mieszkać w Ameryce. Uczą się angielskiego z filmów i seriali. Robicie mnóstwo świetnych filmów. Ja prawie wszystkiego nauczyłem się ze *Słonecznego patrolu*. Znasz *Słoneczny patrol*? Davida Hasselhoffa?

Sączący piwo Teig o mało się nie zakrztusił.

– Jasne – odparł, śmiejąc się. – Znam *Słoneczny patrol*. Ale mam nadzieję, że oglądałeś też lepsze amerykańskie seriale.

– Oczywiście. Mój ulubiony to *Breaking Bad*. Moja żona lubi *Żony Beverly Hills*. Coś takiego powinieneś nakręcić. *Żony Jakucji*.

Teig podniósł burgera do ust.

– Dziwniejsze rzeczy się działy...

– O, brzmi jak *Stranger Things*. Ten serial też lubię.

Ktoś przy drugim końcu baru zawołał Timura, a gdy ten poszedł obsłużyć klienta, odkrzykując coś po jakucku, Teig zamyślił się nad tym, co przed chwilą usłyszał. Miliony ludzi na całym świecie uczyło się angielskiego jako drugiego, trzeciego albo i szóstego języka i władało nim płynnie. Zawsze mu się zdawało, że zazdrościli jego krajowi, a może chcieli w nim mieszkać, ale teraz przyszło mu do głowy, że może po prostu lubili anglojęzyczne filmy i seriale. I może – tylko może – uczyli się angielskiego, bo większość rodzimych użytkowników tego języka była za leniwa albo zbyt arogancka, żeby biegle opanować inne języki.

Pomyślał, że gdyby w Jakucji kwitła branża telewizyjna, to może, według logiki Timura, znałby trochę tutejszy język. „Jesteśmy do bani – pomyślał. – Ale przynajmniej robimy dobrą rozrywkę”.

Zaśmiał się z własnej małostkowości i wziął jeszcze jeden kęs burgera.

Usłyszał chrząknięcie nad lewym ramieniem, po czym Prentiss niezgrabnie zwałił się na stołek, z jawną poządlivością wbijając wzrok w na pół zjedzonego burgera w dłoniach Teiga.

– Powiedz, że mi takiego zamówiłeś.

– Jasne, stary, załatwione. Powinien zaraz wjechać.

– Gdzie się podział nasz przewodnik?

Teig pokazał na tył baru, gdzie Kaskił rozmawiał z ożywieniem z kilkoma osobami. Ze sposobu, w jaki się do nich zwracał, można by wywnioskować, że to jego starzy przyjaciele, ale ten młody człowiek miał w sobie coś takiego, co kazało Teigowi podejrzewać, że być może jeszcze przed kwadranssem w ogóle się nie znali.

– Ale ten młodziak ma gadane... – mruknął Prentiss.

Timur podsunął mu talerz, który Prentiss obrzucił podejrzliwym spojrzeniem obcokrajowca.

– No dalej. Zjedz swojego burgera – zachęcił go Teig. – Zmieni twoje życie.

Prentiss podniósł danie do ust i odgryzł kęs. Wydał jęk rozkoszy i Teig ujrzał, jak z jego ramion opada całe napięcie.

– Do końca moich dni będę szukał reniburgera, który dorównałby temu – oświadczył Teig.

Prentiss potwierdził chrząknięciem, bo znowu miał pełne usta. Obaj potrzebowali tego przystanku, zwłaszcza że był to ich ostatni postój przed dotarciem do rodzinnego miasta Kaskiła i zmierzeniem się z tamtejszą pogodą. Teig nie umiał sobie wyobrazić zimniejszego miejsca niż to, w którym znajdowali się w tej chwili, ale wkrótce mieli tam dotrzeć.

Teig spojrział na ogień buzujący w kominku w kącie sali i poczuł, jak wewnątrz jego ciała wypełnia fala ciepła wywołana jedzeniem, piwem, ogniem i radosnymi głosami; zawahał się, czy nie lepiej było zostać na dworze, w chłodzie. Im dłużej przebywali w tym barze, tym mniejszą miał ochotę wracać do samochodu. Może na tym polegał sekret ułożenia sobie życia na najdalszym końcu świata. Dostosować się do zimna, w którym przyszło ci istnieć, w jego najgorszej postaci – nauczyć się z nim żyć.

„Wpuścić je do środka”, pomyślał. Ten pomysł zakiełkował mu w głowie, zakorzenił się tam, istniała szansa, że wyrośnie z niego temat jego telewizyjnego projektu. Nie da się pokonać zimna i ono nigdy nie zostanie twoim przyjacielem, ale może uda ci się na nie otworzyć i nie walczyć z nim, zapomnieć o chęci rozgrzania się, zaakceptować lód jako część siebie. Być radosnym jak ci ludzie, ciężko pracować, dużo się śmiać, utrzymywać pogodę ducha, bo choć chłód może cię zabić, jeszcze tego nie zrobił. Za to dał ci to, czego potrzebujesz do życia.

Teig dokończył burgera, biorąc dwa ostatnie kęsy jeden po drugim, po czym wytarł usta szorstką serwetką. Popił wielkim łykiem piwa, zadowolony z siebie. Ta wyprawa była słuszną decyzją. Teraz to czuł. Rozpaczliwie potrzebował hitu i nagle błysnęła w nim iskierka nadziei. Nie, to było coś więcej niż nadzieja. Poczł pewność, że znajdzie ten upragniony hit właśnie na Trakcie Kołymskim. Tu można było się wiele nauczyć. Ten serial opowie nie tylko o miejscowych i ich stylu życia, ale także o istocie człowieczeństwa. O tym, czego potrzebujemy jako ludzkie istoty, aby osiągnąć szczęście.

Po sali barowej poniosł się śmiech. Teig rozejrzał się, szukając jego źródła, i dostrzegł dwie obejmujące się kobiety. Jedną z nich była kelnerka, którą widział już wcześniej, jedyna osoba pracująca w tym miejscu,

nie licząc właściciela baru. Uznał, że to pewnie żona Timura; mówił, że ma na imię Sajaara. Druga kobieta miała na sobie wysokie do kolan mukluki i futrzaną czapę z kolorową, tradycyjną opaską. Ufarbowane na głęboką czerwień czeremchy, loki wymykały się spod niej i opadały kobiecie na oczy. Oswobodzona z uścisku, wetknęła niesforne włosy z powrotem pod czapę, po czym wśliznęła się w futrzany płaszcz, który upodobnił ją do yeti, i zapinając go, kontynuowała rozmowę z Sajaarą. Nagle jej uśmiech zbladł, może na skutek czegoś, co właśnie usłyszała, i kobieta ujęła dłoń przyjaciółki jakby w wyrazie wdzięczności.

Potem zamaszystym krokiem ruszyła do drzwi.

– Już nigdy nie spojrzę na Rudolfa tak samo – odezwał się Prentiss.

Teig wybuchnął śmiechem i na chwilę przeniósł na niego wzrok. Kiedy znów spojrzął w stronę drzwi, kobiety już nie było. Przez bar przebiegł lodowaty podmuch, ale Teig odniósł wrażenie, że tylko on to zauważył. Wszyscy inni byli przyzwyczajeni. To była Syberia.

– Nie chce mi się wracać na dwór – dodał Prentiss, biorąc kolejny kęs swojego reniburgera.

– Znam ten ból. Ale nie możemy tu dzisiaj nocować – odparł Teig.

– Mam nadzieję, że po noclegu, który załatwił nam nasz przewodnik, nie będziemy wyglądać jak Jack Nicholson na końcu *Lśnienia*.

Teig sięgnął po szklanekę z piwem, ale zaraz ją odstawił, uznając, że dość już wypił.

– Mam drobne wątpliwości co do zakwaterowania, ale chyba nie zamarzniemy tam na śmierć.

– Nie brzmi to pocieszająco.

Teig poprawił mankiety kilku warstw koszul i swetrów, które miał na sobie.

– Ubiór mamy odpowiedni do terenu i pogody. Damy radę. Po prostu chciałbym już być na miejscu.

– No dobra. Idź się odlać. I zgarnij naszego młodego przyjaciela Kaskiła. Potem możemy zasuwąć dalej.

Drzwi znowu się otworzyły, ale najwyżej na pół metra. Do środka wpadło zimne powietrze, lecz nikt nie wszedł. Po chwili jakiś mężczyzna wstał od najbliższego stołu, pchnięciem zamknął drzwi i upewnił się, że tym razem zatrzask chwycił.

– Hej, Prentiss – powiedział łagodnie Teig. – Dzięki, bracie. Że ze mną przyjechałeś. Że mi zaufałeś.

Prentiss wytarł usta serwetką i spojrzął na swego towarzysza z lekkim powątpiewaniem. Przełknął kęs burgera.

– Wiesz, że jesteśmy przyjaciółmi, Teig...

– Ja zawsze...

– Czekaj – wtrącił ostro Prentiss, unosząc rękę. – Nie przerywaj. Jesteśmy przyjaciółmi. Ufam twoim intencjom, nawet jeśli wątpię w słowa, i naprawdę uważam, że jesteś mądry i masz talent. Ale jestem tu, bo poświęciłem sporo czasu na twoje przygody, a one nie zawsze wypalają. Jesteś mi winien kupę kasy. Więc tak, chcę pomóc, żeby ci się udało, ale nie robię tego dla ciebie. Tylko dla siebie. Jeśli tobie się uda, to i mnie.

Teig skinął głową.

– Przyływ podnosi wszystkie łodzie.

– Więc niech ten cholerny przyływ się wreszcie zacznie.

– Zacznie się, Prentiss. Wiem, że tak. Dostaniesz, co ci się należy.

Cokolwiek świeciło w grudniu na syberyjskim niebie, zdążyło zejść, kiedy posilali się w barze. Zegar wskazywał trzecią dwadzieścia siedem po południu, a na Drodze Kości zrobiło się ciemno jak w grobie. Sierp księżycy wisiał upiornie za cienką zasłoną z chmur, ale dawał wystarczająco dużo światła, by śnieg po obu stronach drogi mógł połyskiwać.

Teig usiadł za kierownicą, zadowolony, że reniburger rozgrzał go od środka, ale żałując, że zamiast piwa nie wypił kubka herbaty bądź kawy. Chłód, buczenie opon na jezdni i piwo sprawiały, że znów zrobił się senny, ale dobrze wiedział, że lepiej nie prosić Prentissa, aby dalej prowadził. Teraz była jego kolej, a wyjechali zaledwie kwadrans temu.

Mocniej chwycił kierownicę i wyprostował się. Myślami wrócił do baru i widzianych tam ludzi, poczynając od Timura, a skończywszy na młodzieży kręcącej teledysk na parkingu. Przed oczami pojawił mu się obraz kobiety o włosach w kolorze czeremchy i w kolorowych muklukach. Nie wiedział, gdzie mieszka, ale jeśli przyszła z jednej z tych małych miejscowości przy trasie, z których większość była ledwo wioskami, to ciekawiło go, jak wyglądają jej perspektywy na romantyczny związek. Na swój sposób była piękna, nie aż tak oszałamiająco, żeby faceci rozbijali rowery albo samochody, oglądając się za nią – co kiedyś widział na

własne oczy – ale z pewnością atrakcyjna. A te czeremchowe włosy wskazywały, że dba o wygląd, nawet jeśli tylko dla własnej satysfakcji.

– Kaskił – powiedział Teig, zerkając w lusterko wsteczne. –
Masz dziewczynę?

– Miałem, gdy byłem młodszy. – Wciąż się uśmiechał, choć w jego oczach pojawił się jakiś smutek. – A ona miała ciotkę w Japonii. Tego lata, kiedy skończyła dziewiętnaście lat, pojechała ją odwiedzić i nigdy nie wróciła. Teraz studiuje na uniwersytecie w Osace. Tęsknię za nią, ale znam wiele osób w moim wieku, które nie mają chłopaka ani dziewczyny.

– Dlaczego tak jest? – zapytał Prentiss.

Siedzący z tyłu Kaskił wzruszył ramionami. Wykonany pod kilkoma warstwami ubrań ruch wywołał jakby uciszający dźwięk.

– Dorastamy razem, rozumiesz? Bawimy się razem, bijemy... aż w końcu czujemy się jak bracia i siostry, więc kiedy pewnego dnia zaczynamy się nawzajem zauważać, to czasem jest już za późno. Myśl, żeby się przespać z taką osobą, wydaje się zbyt dziwna. Problem w tym, że ludzi tu niewiele, więc nie mamy... jak wy to mówicie? Szerokiej gamy do wyboru. A kogoś, kto nie spędził dzieciństwa na doglądaniu reniferów ani nie mieszkał w takim miejscu jak to, niełatwo skusić, żeby się tu osiedlił.

– Przynajmniej dzięki pracy masz okazję spotykać ludzi z różnych części świata – powiedział Prentiss.

– Może poznasz kogoś miłego z Karaibów i resztę życia spędzisz na jakiejś tropikalnej wyspie.

Kaskił wybuchnął śmiechem.

– Spotykam kobiety w tej pracy, owszem. Tyle że nie takie, które liczą na romans z pasterzem reniferów albo byłym więźniem. Ale spokojna głowa, ja wcale nie chcę mieszkać na tropikalnej wyspie.

Teig spojrział za okno na dziwne rusztowanie z nagich drzew na tle śniegu i białe góry w oddali.

– Myślę, że dom jest zawsze tam, gdzie czujesz się jak w domu. W tej części świata spędziłem tylko dzień i noc,

a już wiem, że będę potrzebował tygodnia w tropikach, żeby znowu poczuć trochę ciepła w kościach.

– A ty, panie Teigland? – spytał Kaskił. – Masz dziewczynę? A może żonę?

Teig pokręcił głową, znowu skupiony na drodze przed nimi.

– Rzadko zostaję w jednym miejscu tak długo, żeby umówić się na drugą randkę. O życie miłosne lepiej spytaj pana Prentissa.

Kaskił już zaczął zadawać pytanie, ale Prentiss wycelował w niego wyprostowany palec.

– Ani się waż. Miałem trzy żony. On tylko chce mnie wkurzyć.

Teig się roześmiał i zerknął w lusterko wsteczne.

– Dwie z nich były piękne.

– A trzecia? – spytał Kaskił.

Prentiss westchnął i szturchnął Teiga w ramię.

– Pojeb.

Teig zбочzył z kursu, tylko odrobinę. Opony zadudniły, ale obyło się bez poślizgu.

– Dupek – rzucił, pocierając sobie biceps. – Przez ciebie znowu się rozbijemy.

– Przeze mnie? – spytał Prentiss, lecz nie zamierzał wypominać przyjacielowi, że to on przysnął dzisiaj za kierownicą.

– No dalej, Prentiss – ponaglił go Teig. – Nasz przewodnik zadał ci pytanie. – Teraz nawet Kaskił miał na twarzy uśmiech.

Prentiss zachichotał pod nosem.

– Moja trzecia żona. Też piękna, tylko trochę bardziej z wiejska niż dwie pierwsze. Ruthie kochała mnie jak żadna inna i można powiedzieć, że gdy ją poznałem, dotarło do mnie, że nigdy wcześniej nie rozumiałem, o co chodzi z tym „zakochaniem”. Inteligentna jak diabli, zabawna, a do tego naprawdę wie, czego chce, i dąży do celu.

Teraz Kaskił przysunął się do przodu.

– Oboje byliście tak zakochani? To dlaczego jest byłą żoną?

Prentiss miał melancholijny wyraz twarzy.

– Innego pokochała bardziej niż mnie.

– O nie. Tak mi przykro. – Kaskił wyglądał na przygnę-

bionego.

– Niepotrzebnie, młody – mruknął Prentiss. – Kiedy Jezus wyciąga po kogoś swoje paluchy, nie wygrasz z nim.

Teig zaśmiał się miękko, wpatrzony w światło reflektorów penetrujące ciemność, jakby przed nimi uciekała.

– Ona wciąż cię kocha, bracie.

– I dlatego zwróciła się do Kościoła o unieważnienie.

Teiga dobiegło z tyłu ciche „och”, kiedy Kaskił uświadomił sobie, o co właściwie chodzi. Na początku Prentiss traktował ich młodego towarzysza podróży trochę obcesowo, ale cała trójka już się ze sobą oswoiła. Pogadali i pośmiali się, tak jak chciał Teig. Prentiss podchodził z rezerwą do nowo poznanych ludzi i trzeba było mu pomóc przełamać lody. Jego żona Ruthie jak nikt umiała nakłonić go do uczestnictwa w spotkaniach towarzyskich. Czasami udawało jej się nawet wciągnąć go w jakieś błahe pogawędki z nieznanymi, ale ich związek był już historią. Bóg tego dopilnował. I teraz Teig musiał przypominać Prentissowi, że odrobina uprzejmości go nie zabije. A tutaj, w tej zimnicy, posiadanie przyjaciela wydawało się nie tyle przyjemnością, ile raczej koniecznością.

Teig przynigdy nie chciałby zostać na tej drodze sam.

Za nic.

Przez ponad godzinę nie spotkali na drodze żadnego samochodu. Ciemność zapadła tak wcześnie, że czas zdawał się rozmywać, jakby noc wyszła im na spotkanie. Jeszcze zanim zegar na desce rozdzielczej wskazał porę kolacji, Prentiss miał wrażenie, że cały świat już poszedł spać i że snują się po nim tylko lunatycy i grzesznicy. Nawet Kaskił uległ wpływowi kojącego szumu silnika i kół, najpierw milknąc, a potem przysypiając na tylnym siedzeniu.

Prentiss obejrzał się przez ramię.

– Młody z tyłu śpi jak niemowlę. Pewnie miło tak pospać.

– Ciebie by nie zmorzyło w takiej ciszy, co? – spytał Teig.

Prentiss wyjrzał za okno, żeby przyjaciel nie zobaczył, jak przewraca oczami. Zdrzemnął się wcześniej i Teig o tym wiedział, ale ten wyraz zniecierpliwienia znaczył coś innego. „Tak, Feliksie – chciał powiedzieć Prentiss – wybaczyłem ci twoje zaśnięcie za kierownicą”. Mimo całego swego entuzjazmu, okazjonalnej błyskotliwości i szczerej życzliwości Teig bywał czasami niewiarygodnie irytujący. Prentiss uważał go za brata i zawsze chętnie obdarzał kredytem zaufania, ale czasami przez pasywno-agresywne zachowania Teiga jego emocje oscylowały między frustracją a rozbawieniem.

– Jeśli jesteś śpiący, mogę znowu poprowadzić – zaproponował.

– Nic mi nie jest. Została nam jakaś godzina – odparł Teig. –

Potem coś na ząb, kawa i spać.

– Nareszcie. Ta droga działa mi na nerwy – wyznał Prentiss.

Czegokolwiek szukali w tej dziczy, miał nadzieję, że to znajdą – ze względu na Teiga, ale i na siebie. Prentiss wciąż pamiętał, jak się poznali: pierwszego dnia zdjęć do materiału promocyjnego *Złotego wraku*, jednego z projektów, które Teig przygotowywał dla Discovery tylko po to, aby w przededniu podpisania umów dowiedzieć się, że odcięto mu fundusze. Sponsorzy się wycofali, nieprzekonani, że na pokładzie leżącego na dnie Atlantyku hiszpańskiego galeonu naprawdę będzie złoto. Nie pomogły żadne „dowody” przedstawione przez Teiga. Pięć z tych prawie ośmiu tysięcy, które Teig był winien Prentissowi, wzięło się właśnie z tego zlecenia. Jak na ironię ten dług sprawił, że zostali przyjaciółmi. Teig upierał się, że znajdzie pieniądze, by w końcu spłacić Prentissa, a do tego czasu załatwi mu więcej zleceń... i załatwiał. Z większości były pieniądze, ale zdarzało się, że jakiś projekt nie wypalał i obiecana zapłata nie dochodziła do skutku.

Kilka razy, kiedy wspólnie pili i Prentiss poczuł siłę łączącej ich więzi, proponował Teigowi, że mu odpuści, ale Teig nie chciał o tym słyszeć. Taki już był Felix Teigland. Miał w sobie dość entuzjazmu, żeby zarazić nim wszystkich wokół i namówić ich do pracy za darmo albo za obietnicę zapłaty w bliżej niesprecyzowanej przyszłości. Nigdy nikogo nie wystawiał umyślnie – tak się po prostu działo. W końcu wszyscy, których rozczarował, poczuli, że mają dosyć jego niespłaconych długów i złamanych obietnic, i urok entuzjazmu Teiga przygasał. Wierzyńcy wściekali się na samych siebie tak samo jak na swego dłużnika.

Prentiss doskonale to wszystko rozumiał. Sam nie odzywał się do Teiga tygodniami, blokował go w telefonie, kasował mejle, nawet ich nie czytając. Ale tęsknił za przyjacielem i za każdym razem wracał, wynajdując dla niego usprawiedliwienia, podobnie jak dla byłej żony Ruthie.

– Teraz będzie inaczej, stary. Przysięgam – mówił Teig, błagając Prentissa, żeby pojechał z nim na Syberię. Identyfikując obietnicę składał i łamał już wielokrotnie.

Ale co tam, kurwa! Prentiss potrzebował tej kasy i tej przyjaźni, a w towarzystwie Teiga zawsze czuł się lepiej, wiedząc, że przynajmniej jedna osoba w jego życiu jest mniej ogarnięta od niego. W podjęciu decyzji pomogło też to, że ostatnia fucha mu nie wyszła, miał niewielu innych przyjaciół, został bez forsy, a żona rzuciła go dla Jezusa. Syberia? A czemu nie, do diabła? Tam czy gdzie indziej, co za różnica?

Znowu odwrócił się do okna.

– Chyba przed chwilą widziałem coś między drzewami.

– Jak to „coś”?

Prentiss wydał z siebie głuchy chichot.

– Wyśmiejesz mnie.

– I tak to zrobię. – Teig zerknął na niego. – Wiesz, że tu żyje pełno dzikich zwierząt, nawet mimo

zimna. To mógł być niedźwiedź. Renifer. Łoś.

Prentiss wciąż wyglądał przez okno.

– Tygrysy prowadzą nocny tryb życia?

Teig wybuchnął śmiechem.

– Co ty wygadujesz, do diabła?

– A nie mówiłem?

– Tygrys? Myślisz, że widziałeś tygrysa?

Przez parę sekund panowała cisza.

– Potrzebuję muzyki – odezwał się Prentiss, znowu zerkając przez ramię na drzemiącego Kaskiła. –

Ale nie chcę obudzić młodego.

– Dopiero osiemnasta. Możesz go śmiało obudzić.

– Niezbyt to miłe. Najwyraźniej to ja jestem tym dobrym rodzicem. – Prentiss podrapał się po brodzie i sięgnął do pokrętki na desce rozdzielczej.

– On nie jest naszym synem.

Prentiss podkręcił głośność, ale rozległy się tylko zakłócenia. Rzucił Teigowi urażone spojrzenie.

– Ty potworze, wypierasz się odpowiedzialności za naszego kochanego chłopca. Żądam badania na ojcostwo.

– A skąd mam wiedzieć, gdzie jeszcze wsadzałeś swoją kamerę?

Zaśmiali się cicho. Przez chwilę Prentiss starał się znaleźć jakąś stację radiową, ale wysiłek był bezowocny, więc spróbował sparować swój telefon z bluetoothem w uazie. Gdy ucichły zakłócenia radiowe, usłyszał szelest na tylnym siedzeniu.

– Nie jestem dzieckiem – powiedział Kaskił. Mówił uprzejmie i rzeczowo, ale jego słowa były podszyte złością.

Prentiss obrócił swoje cielsko i usiadł bokiem, aby poświęcić Kaskiłowi całą uwagę.

– Hej, stary, wybacz. Nie chciałem cię urazić. Wiem, że jesteś świetny w tym, co robisz. Po prostu każdy poniżej trzydziestki wydaje mi się dzieckiem.

Blask bijący z deski rozdzielczej ubrał twarz Kaskiła w maskę cieni.

– Poluję. Pomagam rodzinie przetrwać. Opiekuję się siostrzenicą, kiedy jej rodzice są nieodpowiedzialni – ciągnął przewodnik. – Nie jestem dzieckiem.

– Nie mieliśmy nic złego na myśli – zapewnił go Teig. – To się już nie powtórzy.

Kaskił usadowił się wygodnie na swoim miejscu i zamknął oczy.

– Są rzadkie – powiedział – ale owszem, istnieje coś takiego jak tygrys syberyjski.

Prentiss spojrzał na Teiga i połączyło ich milczące porozumienie. Kaskił nie tylko znał ten region od podszewki, ale też był częścią jego kultury, urodził się tu i wychował, a siła jego perswazji mogła zadecydować o tym, czy uda im się przekonać miejscowych do współpracy przy serialu, czy zostaną wyśmiani i spławieni. Potrzebowali tego dzieciaka.

Nie, nie dzieciaka. Kaskiła.

– Mówiłem ci, że to był tygrys – powiedział cicho Prentiss.

W końcu znalazł i włączył jakiś oldskulowy punk, który Teig zwykle ledwo znosił, ale teraz muzyka pomogła przełamać chwilę niezręczności i trochę jakby rozwiać mrok. Prentiss z zaskoczeniem ujrzał, że jego przyjaciel kiwa głową w rytm utworu grupy Buzzcocks. Cuda się zdarzają.

Nabrał powietrza, żeby wyrazić zdumienie, kiedy nagle Teig wdepnął hamulec. Prentiss odwrócił się i spojrzał w ciemność przed nimi. Światło reflektorów uaza odbijało się od czerwonego SUV-a, którego przód tkwił w zaspie. Stojąca na drodze kobieta machała rękami i Prentiss natychmiast ją rozpoznał. Widzieli ją w barze. Kolorowe mukluki, frymuśna futrzana czapa, włosy o barwie czerwieni tak ciemnej, że graniczącej z czernią.

– Hamuj – zakomenderował Kaskił. – Szybko, panie Teig-land. Zatrzymaj...

– Zatrzymuje się, kolego – mruknął Prentiss.

Samochód nie zdążył jeszcze całkiem wyhamować, a Kaskił już otworzył gwałtownym ruchem tylne drzwi i popędził w stronę kobiety. Otoczył ją ramieniem, całkowicie ignorując SUV, jakby był niewidzialny. Błyskawicznie przyprowadził ją do drzwi, które zostawił otwarte, i zaczął wpychać ją na tylne siedzenie.

Prentiss nie znał ich języka, ale bez trudu zrozumiał nagłący ton w głosie Kaskiła i widział, jak kobieta dygocze, wślizgując się na tylne siedzenie. Wciągała przez zęby małe porcje powietrza, kuląc się w pozycji embrionalnej na siedząco.

– Co się stało? – spytał Prentiss, uważnie się jej przyglądając. Widać było tylko jej oczy, ale po chwili odsunęła szal z twarzy i ujrzał, że jej skóra zrobiła się ziemistoszara. – Zasnęła za kierownicą?

Kaskił zatrzasnął drzwi, ignorując obu mężczyzn i rozmawiając z przemarzniętą pasażerką. Prentiss miał więcej pytań. Czy jej samochód się zepsuł? Rozbiła go, wjeżdżając w śnieg? Może uda się odpalić go z kabli?

Wreszcie Kaskił zdjął kobiecie rękawice i przyjrzał się jej palcom, szukając śladów odmrożeń. Chuchał na jej dłonie i zbadał je jeszcze dokładniej, zanim zaczął je rozmasowywać.

– Miała problem z silnikiem – powiedział w końcu. – Próbowwała go na nowo uruchomić, kiedy samochód jeszcze jechał, i wylądowała w zaspie. Silnik padł...

– Ale mamy kable – przypomniał mu Prentiss.

Teig pokręcił głową.

– Nie, brachu. Już tu trochę stoi. Przewody paliwowe zdążyły zamarznąć.

– Właśnie – potwierdził Kaskił. – Jutro tu kogoś przyślemy, żeby odholował samochód do warsztatu. Dzisiaj najlepiej będzie zabrać ją do Akucka i pozwolić jej się rozgrzać.

Prentiss patrzył, jak kobieta chucha sobie w dłonie. Podniosła wzrok, a gdy ich oczy się spotkały, skinęła na znak podziękowania.

– Ma jakieś imię? – spytał Teig.

– Ma na imię Narijaana – odparła kobieta. Wetknęła czeremchowe włosy pod czapę i westchnęła. – Nari, proszę. Angielscy mają problem z moim imieniem. Więc Nari jest lepiej.

Prentiss zamrugał ze zdumieniem.

– Dobrze mówisz po angielsku.

– On mówi lepiej – powiedziała, wskazując na Kaskiła. Przez chwilę walczyła z niesfornym lokiem, a w końcu zdjęła czapę i machnęła ręką w kierunku Teiga. – Proszę zrobić bardziej ciepło.

– Ciepłej – poprawił Teig, podkreślając ogrzewanie.

Prentiss wątpił, aby Nari była w nastroju do lekcji gramatyki, ale nie zamierzał o tym dyskutować.

– Co by się stało, gdybyśmy tędy nie przejeżdżali? Nawet siedząc w samochodzie, musiałyby zamarznąć.

– Tak – zgodził się Kaskił. – Na śmierć.

Nari nie wyglądała na zmartwioną tą perspektywą.

– Mam telefon, ale... – Machnęła ręką w powietrzu. – Brak zasięgu.

Prentiss wpatrywał się w nią, w jej błyszczące inteligencją oczy, i uświadomił sobie, że uratowali jej życie tylko dzięki temu, że przejeżdżali tędy akurat teraz. Nari wydawała się nieporuszona, jakby śmierć z powodu awarii silnika należała do zagrożeń drogowych tego samego kalibru co przebita opona.

„Przebita opona oznaczałaby równie pewną śmierć”, pomyślał Prentiss.

– Cieszę się, że mogłem pomóc – powiedział, zafascynowany tą kobietą i jej podejściem do zagrożenia życia na Trakcie Kołymskim.

Teig wrzucił tryb jazdy i ruszył powoli, przyglądając się mijanemu czerwonemu SUV-owi. Prentiss docenił jego ostrożność. Nagle zaczął się obawiać problemów z samochodem bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Zawsze, kiedy dopadał go niepokój albo skrępowanie, tym, co uspokajało go najszybciej, była kamera. Robiąc zdjęcia albo nagrywając jakiś materiał, nabierał dystansu do realnego świata, zyskiwał pewną perspektywę.

Siedzący za kierownicą Teig coś wymamrotał.

– Co mówisz?

– Chyba mam tytuł.

– Który to już będzie? Trzydziesty siódmy?

Teig powoli skinął głową, wpatrzony w drogę przed nimi.

– Właśnie wpadł mi do głowy. Ale myślę, że ten już zostanie. Chcę nazwać ten projekt *Życie i śmierć na Drodze Kości*.

Prentiss znów zerknął na tylne siedzenie.

– To faktycznie brzmi zajebiście.

Spojrzał na wizjer kamery. Postanowił nagrać Nari i zbeształ się za to, że nie sfilmował jej rozbitego samochodu. Uniósł kamerę i wycelował ją w tylne siedzenia, ale Teig chwycił go za nadgarstek i łagodnym ruchem ściągnął jego rękę w dół.

– Daj jej odetchnąć.

Prentiss wbił w niego wzrok.

– Ale pamiętasz, po co tu jesteśmy?

Teig nie spuszczał oczu z trasy.

– Przywlokłem cię tutaj ze sobą, więc tak, pamiętam. Co nie znaczy, że musimy być dupkami.

Prentissa zapiekły policzki i kark. Rumienił się, kiedy ogarniała go złość, i był pewny, że teraz jest czerwony jak burak.

Ściszył głos i zwrócił twarz do przodu, żeby dwoje miejscowych rozmawiających z tyłu nie usłyszało go w hałasie silnika.

– Słuchaj, stary. Nie pierdol mi teraz. Dałem się namówić na ten wyjazd nie dla twoich pięknych oczu i słodkich dołeczków, tylko dla kasy, którą mi obiecałeś. Tej, którą mi wisisz, i tej, którą mamy zarobić. Wiem, że wszystkie twoje obietnice są szczerze, ale obaj wiemy, jak często zdarza ci się ich nie dotrzymywać. Więc jeśli widzę coś, co moim zdaniem podniesie wartość tego materiału w oczach kupujących, to zamierzam to sfilmować niezależnie od twoich nagłych objawień etycznych.

Czekał, aż Teig zacznie zadzierać nosa i zrobi mu wykład na temat tego, kto tutaj rządzi, albo o zbyt przedmiotowym traktowaniu ludzi, ale chyba właśnie uświadomił sobie własną hipokryzję, bo zamknął gębę, aż zęby stuknęły.

„I dobrze”, pomyślał Prentiss.

Fotel ugiął się pod nim, kiedy odwrócił się i zaczął filmować cichą rozmowę Kaskiła i Nari, podczas której kobieta obejmowała się ramionami, jakby mogła w ten sposób przywrócić ciału utracone ciepło. Jeśli wystawienie na mróz wywołało u niej jakieś komplikacje, nie dała tego po sobie poznać. Nie przerwali rozmowy, ale błysk w ich oczach zdradził Prentissowi, że zauważyli kamerę. Filmował ich przez jedną czy dwie minuty, gdy nagle Nari odwróciła się w jego stronę z takim uśmiechem, jakby znali się od wielu lat.

– Teraz będę sławna, proszę pana? – spytała.

Prentiss wyłączył kamerę, opuścił ją i też się uśmiechnął.

– Świat bywa dziwny. Wszystko jest możliwe.

To był jeden z najdłuższych dni w życiu Prentissa. Teraz marzył tylko o tym, żeby wysiąść z auta i znaleźć się gdzieś, gdzie są cztery ściany, łóżko i piec. Ta wyprawa to był pomysł Teiga i wiele od niej zależało, ale w tej chwili Prentiss bardzo chciał, żeby już byli w domu.

Na razie Akuck będzie musiało wystarczyć. Wkrótce tam dotrą. Opuszczą ten ziąb i mrok.

Będą bezpieczni.

Niebo się przejaśniło, gdy Teig przejeżdżał przez peryferie Akucka. W bladej poświacie półksiężyca widział różne budynki, wszystkie pokryte śniegiem i obramowane lodem. Minęli cerkiew tak oblepioną bielą, że wydawała się wyrzeźbiona w śniegu.

– Jak tu cicho – powiedział Prentiss.

– Prawie zawsze – odparł Kaskił. – Przynajmniej po zmroku.

Terenówka przejechała z dudnieniem obok małego placu zabaw – zbudowanego na letnie miesiące – na którym zewnętrzny termometr wskazywał minus pięćdziesiąt trzy stopnie. Teig domyślał się, że była to skala Celsjusza, ale przy takim zimnie nie było sensu przeliczać na stopnie Fahrenheita.

Na szczycie słupa z termometrem znajdował się wiatrowskaz w kształcie sierpa i młota z epoki Związku Radzieckiego. Naprawdę znaleźli się w innym świecie.

– Prentiss, wyjmij kamerę. Upamiętnijmy nasz przyjazd.

Dziwna historia tego miejsca ukazywała się im stopniowo, kiedy Teig jechał główną, jak przypuszczał, ulicą. Stało tam parę szarych budynków zbudowanych w starym radzieckim stylu – betonowych prostopadłościanów bez żadnej wartości estetycznej – ale reszta miasteczka składała się z niewielkich domków oraz nielicznych sklepów i biur, a także małej szkoły, kilku warsztatów samochodowych, garaży i przysadzistych budynków, które mogły mieścić ubojnię albo skład drewna.

Nitka bólu wwiercała się Teigowi w mózg za lewym okiem niczym najcieńszy z robaków. Mocno zacisnął powiekę, a z jego ust wyrwało się ciche stęknienie. Prentiss musiał je usłyszeć, bo rzucił przyjacielowi ciekawskie spojrzenie, które Teig zbył machnięciem ręki.

– Lekki ból głowy – wyjaśnił. Żadne tam zaskoczenie po podróży, która ich tu doprowadziła.

Ale nie chodziło tylko o głowę. Drugi robał wwiercał mu się w bebech, tyle że to nie był ból, lecz coś bliższego mdołściom.

Teiga zalało lepkie gorąco, takie jak w chwili, gdy ciało ogarnia pulsująca, gorączkowa potrzeba opróżnienia żołądka. Jak wtedy, gdy już jest za późno. Kiedy sztywniejesz, a fala kwaśnej żółci szybko wzbiera w gardle niczym krzyk.

Zdjął stopę z pedału. Wziął drżący oddech, czując połysk potu na czole. I nagle wszystko minęło.

– Teig? – odezwał się Prentiss.

Przyhamował, spowalniając uaza, i zamrugał, aby oczyścić pole widzenia.

– Nic mi nie jest. Tylko przez moment... poczułem się, jakbym miał wymiotować. Już minęło.

Cała trójka pasażerów przyglądała mu się w milczeniu, jakby szykując się na strumień wymiocin, który za parę sekund wytryśnie na kierownicę. Ale ku zaskoczeniu Teiga to uczucie naprawdę minęło. Wziął kilka głębokich oddechów, aby przewietrzyć umysł. Silnik zakaszlał raz czy dwa, przypominając, że lepiej nie pozwalać mu zgasnąć na dworze, bo potem może już nie dać się odpalić.

– Wszystko dobrze, panie Teigland? – zapytał Kaskił niezwykle uprzejmie. Jakby nigdy w życiu nie siedział w więzieniu.

Teig skinął głową, ale oddychał miarowo, spokojnie, nie chcąc ryzykować buntu żołądka.

– Kurwa – powiedział Prentiss. – Mam nadzieję, że to nie przez tego reniburgera. Też go jadłem.

Teig zamierzał mu wytknąć egoizm, jednak Prentiss miał rację. Byłoby źle, gdyby jeden z nich się rozchorował, ale gdyby wirus zmógł ich obu, projekt by się opóźnił, a może nawet padł całkowicie. Bez względu na wszystko Teig nie chciał zachorować tak daleko od własnego łóżka.

– Nic mi nie jest – powtórzył. Chwycił za kierownicę i ruszył dalej przez miasto. Okna mijanych domów wydawały się ciemniejsze, a lekki cień mdołści utrzymywał się w tle na tyle, żeby Teig wciąż czuł się spięty.

Z tym miejscem coś było nie tak. Nie dziwiło, że w takim zimnie i po zmroku ludzie siedzą w domach i grzeją się w towarzystwie najbliższych. Ale ta pustka na ulicach sprawiała, że Akuck wydawał się wręcz opustoszały. Teig zawsze czuł się samotny, odkąd zniknęła Olivia. Od tamtej pory nigdzie ani na chwilę nie poczuł się jak w domu. Ale jeszcze nigdy nie miał wrażenia, że jest tak daleko od jakiegokolwiek namiastki przypominającej dom. Do teraz.

– Ilu, mówiłeś, ludzi tu mieszka? – zapytał Prentiss, unosząc kamerę, żeby filmować przez przednią

szybę.

– Czterystu – odparł Teig. Pochylony nad kierownicą, chłonął ten dziwny, niesamowity bezruch. Śnieg pokrywał wszystko wokół, jakby przed chwilą przetoczyła się tędy burza, oblepiając bielą każdą powierzchnię, ale Teig miał świadomość,

że równie dobrze ten śnieg mógł spaść miesiąc temu i od tamtej pory nie ociepliło się na tyle, żeby zaczął topnieć.

– Nieprawda – wtrącił się Kaskił. – Mój ojciec mówi, że obecnie jest tu pięciuset trzydziestu dwóch mieszkańców. Łącznie ze mną, choć ja nie mieszkam tu na stałe.

Przez ostatnie pół godziny albo i dłużej, zanim dotarli do Akucka, Nari prawie wcale się nie odzywała. Teig przypuszczał, że zastanawiała się, na ile ta określona droga namiesza jej w planach. Teraz jednak oparła głowę o szybę i spojrzała w dal.

– To jest jak... – zaczęła i urwała, szukając właściwych angielskich słów. – Wieczność. – Niezadowolona, przycisnęła palce do szklanej powierzchni, wskazując na drzewa i białe góry, od których odbijał się blask księżyca. – Jak ostatni przystanek przed wiecznością.

Teig się wzdygnął, zaskoczony tym echem własnych myśli.

Kaskił przeszedł na jakucki, być może prosząc ją o wyjaśnienie, ale Teig pomyślał, że ujęła to idealnie. Pochylił się nad deską rozdzielczą i spojrzał na te same góry, na dzikość roztaczającą się poza granicami miasteczka, i zrozumiał. Tutaj, w tym niewielkim skupisku ludzkich konstrukcji, mogli jeszcze sobie wmawiać, że przebywają w świecie człowieka, ale po wkroczeniu w te lasy nie będzie można udawać, że mają kontrolę czy władzę nad czymkolwiek. Gdy myśliwi i pasterze z Akucka zapuszczali się w te ostępy i góry, poddawali się pierwotnej naturze świata. Akuck stanowił cierpkie przypomnienie tego, jak niewiele znaczy bycie człowiekiem.

Teig doceniał tę rzeczywistość, tę estetykę i okazję, aby przekazać innym własne uczucia, które przepełniały go w tej chwili, pozwolić widzom ich posmakować. Miał tylko nadzieję, że nie odczują niepokoju, który to miejsce w nim wzbudza, bo inaczej nikt nie obejrzy drugiego odcinka.

„A może jednak – przemknęło mu przez głowę – a może będą chcieli się tak czuć”.

Gdyby widzowie pokochali to uczucie, Teig mógłby zarobić kupę forsy.

– To jest to – wymamrotał pod nosem. – To naprawdę wypali.

Prentiss skierował na niego kamerę.

– Oby.

„Na pewno”, pomyślał Teig. Ale nie powiedział tego na głos. Nie do kamery. Zamiast tego przyhamował i odwrócił twarz w stronę obiektywu.

– Po tej podróży jakby przez inny świat, jakąś planetę, na której panuje wieczna zima, wreszcie wjeżdżamy do Akucka... – obejrzał się na siedzącego z tyłu Kaskiła – ...o ile wymawiam to poprawnie.

– Mówi się Akuck – odparł Kaskił.

– Czy nie tak powiedziałem? Akuck.

– Akuck – poprawił go jeszcze raz Kaskił.

Teig wyjrzał przez przednią szybę, uśmiechając się z zakłopotaniem.

– W końcu się nauczę. Po drodze poznaliśmy parę osób i to w dość przerażających okolicznościach. Ale cóż, tutaj samo wyjście z domu może być przerażające. Teraz zamierzamy coś zjeść, rozgościć się na noc, a rano zaczniemy naprawdę badać, jak to jest mieszkać w najzimniejszym miejscu na ziemi.

Prentiss zrozumiał ten niemy sygnał i wyłączył kamerę.

Gdy tylko to zrobił, Kaskił pochylił się do przodu.

– To był tamten skręt po prawej. Nie chciałem przerywać nagrania.

Teig podziękował mu z uśmiechem i nacisnął hamulec. Ich przewodnik może i za dużo gadał, ale jeśli miał dość rozumu, żeby nie zepsuć ujęcia, to zapewne okaże się bardziej użyteczny dla ich programu, niż Teig mógł przypuszczać.

Gdy robił zawracanie na trzy, poczuł, że ktoś klepie go po ramieniu. W lusterku wstecznym napotkał wzrok Nari.

– Dziękuję za pomoc – powiedziała. – Myślę, że umarłabym w moim samochodzie, gdybyście się nie pojawili.

Teig skręcił w szeroką, słabo zabudowaną ulicę, którą wskazał mu Kaskił.

– Cała przyjemność po naszej stronie, Nari. Mam wrażenie, że tutejsi ludzie muszą bardzo na sobie nawzajem polegać i jest w tym coś wspaniałego. Naprawdę się cieszę, że mogliśmy pomóc.

Powiedziałby to samo każdemu i w każdym przypadku mówiłby szczerze, ale jeszcze raz zerknął na nią w lusterku. Za parę minut Nari wysiądzie z ich samochodu. Rano, a może nawet dzisiaj wieczorem zniknie i nigdy więcej jej nie zobaczą. Teig poczuł żal. Owszem, była atrakcyjna, ale chodziło o coś więcej – biła od niej jakaś nieujarzmiona energia, która go intrygowała. Naprawdę żałował, że będą musieli się pożegnać, choć dopiero się poznali.

Kaskił nachylił się i wskazał na niewielki dom, nieco większy niż górską chatka, w którym paliło się pojedyncze światło.

– Tu się zatrzymacie. Nic specjalnego, ale będzie wam ciepło.

– Czyj to dom? – spytał Prentiss.

– Należał do mojego wuja. Już nie żyje, a kuzyni wyjechali wiele lat temu. Zatrzymuję się tam, kiedy tu przyjeżdżam, więc można powiedzieć, że dom jest mój. Ale tak naprawdę uważam, że jest niczyj. Wiele tu takich. Domów pełnych nikogo. Ale dopóki będziecie w nim mieszkać, jest wasz.

– Doskonale – powiedział Teig, parkując auto przed domkiem. Głębszy śnieg zachrząścił pod kołami. Na razie nie gasił silnika; nie byłoby to bezpieczne przed odprowadzeniem samochodu do garażu. Spojrzał przez przednią szybę na dom i to pojedyncze, ciepłe światło w oknie.

– Dziękuję, Kaskił. Naprawdę. Nie jestem pewien, czy dalibyśmy sobie radę bez ciebie.

Kaskił klasnął w dłonie.

– Proszę, pamiętaj, co powiedziałaś, kiedy zapytam o podwyżkę.

Prentiss wybuchnął śmiechem.

– Ludzie naprawdę są wszędzie tacy sami.

Teig odwrócił się do przewodnika.

– Nie zapomnę, przyjacielu. Obiecuję.

Wzdłuż listwy przypodłogowej ciągnęły się elektryczne kaloryfery, ale okna w tym niewielkim domku drżały przy każdym podmuchu wiatru i do środka wślizgiwał się ziąb. Teig nieraz nocował w domach bądź zajazdach nad oceanem i zwykle nie zamykał okien w pokoju, bo wszechobecny szum fal działał na niego kojąco. W tym domku to wiatr zapewniał nieustanne tło dźwiękowe, czasem szepcząc, innym razem wyjąc jak potężniac. Dom skrzypiał i trzeszczał niczym zar-dzewiały gwóźdź wyciągany młotkiem ze starej deski.

Teig rozpiął zamek walizki. Prentiss poszedł do kuchni, żeby sprawdzić, czy Kaskił zadbał o możliwość zaparzenia kawy albo herbaty, czegokolwiek ciepłego, i Teig rozkoszował się tą chwilą samotności. Otworzył walizkę i wygrzebał z niej zestaw podróżny. Chciał umyć twarz i zęby, a potem włożyć czysty podkoszulek i sweter.

Nie chciał natomiast dłużej wsłuchiwać się w porywy wiatru. Wśród jego świstów i jęków zdawały się kryć jakieś głosy.

– Sukces! – oznajmił gromko Prentiss, wkraczając do pokoju.

Teigowi serce podskoczyło w piersi.

– Nie rób tak!

Prentiss się roześmiał.

– Wybacz, stary. Od kiedy to jesteś taki strachliwy?

– Odkąd przyjechaliśmy na skraj wieczności, jak to nazwała Nari, a tobie wpadło do głowy, żeby podkraść się do mnie po ciemku.

Prentiss klapnął na jedyny wygodny, rozłożysty fotel. W pokoju stało pojedyncze łóżko, ale była też mata typu futon, którą Kaskił rozwinął na podłodze. Jeszcze się nie pokłócili o to, który z nich dostanie łóżko.

– Mówiąc szczerze – wyznał Prentiss – to był długi, dziwny dzień. Kompletnie surrealistyczny. I chyba nie mam siły, żeby się tym przejmować.

Teig znowu pomyślał o Nari. Poszła z Kaskilem poszukać kogoś, kto mógłby jej pomóc.

– Ciekawe, czy uda się jeszcze dzisiaj przyholować tu jej samochód i go odpalić – zastanowił się. – Nie chciałbym być tym, kto miałby teraz wyruszać w ten ziąb i mrok.

– Racja – przytaknął Prentiss. – Marzę, żeby zakopać się w stosie koców i doczekać dnia. Problem w tym, że o tej porze roku światła dziennego jest tu jak na lekarstwo.

Pogrzebawszy w swoich rzeczach, Teig znalazł gruby, bawełniany sweter, który niedawno, jeszcze w domu, wyprał i rozwiesił na dworze do wyschnięcia. Teraz podniósł go do nosa i głęboko wciągnął powietrze, ciesząc się zapachem świeżości. Kiedy go odsunął, pokój wypełniała inna woń. Odwrócił się do Prentissa.

– Robisz kawę.

– Nie bez przyczyny mówią na mnie Jack Cudotwórca.

– Nikt tak na ciebie nie mówi.

– Nie znalazłeś mojej mamy. Ta kobieta zawsze uważała mnie za swój mały cud. A Ruthie... – Zamrugał, jakby zapomniał, gdzie skończył czytać, i teraz szukał właściwego akapitu. Teig ujrzał przebłysk bólu w oczach starego przyjaciela i poczuł się winny, że się z nim drażnił.

– Prentiss...

– Nie, w porządku – przerwał mu. – Po prostu czasem jest dziwnie. Chyba jeszcze nigdy nie byłem tak daleko od niej jak teraz. Gdyby Ruthie wiedziała, co kombinujemy, modliłaby się za nas. Powiedziała mi, że wciąż mnie kocha, że Bóg poprowadzi nas na naszej drodze i że powinienem słuchać jego głosu, zamiast wyczyniać różne głupoty, na przykład pchać się z Feliksem Teiglandem na Syberię.

Sekundy mijały w chłodnym pokoju.

Teig się uśmiechnął.

– Ruthie zawsze miała łeb na karku.

Prentiss powoli skinął głową w zadumie.

– Wierz albo nie, ale zamierzałem o nią walczyć. Mając trzy żony na koncie, nie chcesz się łatwo poddawać. A Ruthie była jedyną, której nigdy nie przestałem kochać. Lubiła sobie wypić i się pośmiać, a klęła jak szewc. Jezus, nie Jezus, a ja wiem, że tamta dziewczyna wciąż gdzieś tam jest. – Rzucił Teigowi szelmowskie spojrzenie. – Nie uwierzyłybyś, w jakich miejscach się bzykaliśmy. W samolotowej toalecie na wysokości dwunastu tysięcy metrów. Na szlakach górskich. Na pokładzie łodzi podczas rejsu po Dunaju. W Islandii podczas wyprawy w poszukiwaniu zorzy polarnej.

– Niewiarygodne.

– Wiem – zgodził się Prentiss. – A teraz nic, tylko kościół i modły. Chce iść na pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Raczej nie będzie bzykania pod cholerną Ścianą Płaczu.

– Nie, nie – odparł Teig. – Znaczy, tak, aż ciarki przechodzą, kiedy gadasz o bzykaniu zakonnic, ale dla mnie niewiarygodne jest to, że chodzisz po górach. A tym bardziej, że dasz radę wcisnąć się do samolotowej toalety z kimś jeszcze. Więc jak się to robi?

– Ty obleśny skurczybyku – prychnął Prentiss. – Powinienem ci nastukać. Tylko że w sumie masz rację. Ta akcja w klubie erotonautów faktycznie wyszła kiepsko. Wszedłem, spuściłem gacie, zacząłem działać. Ona zapukała, otworzyłem, wepchnęła się do środka, ale nie mogliśmy całkiem zamknąć drzwi ani tym bardziej ich zablokować. I właśnie się rozkręcaliśmy, kiedy stewardesa lekko je popchnęła i zaczęła szeptać przez szparę.

Teig zwęził oczy, zaintrygowany.

– I co powiedziała?

– Zdaje się, że wcisnąłem udem przycisk do wzywania personelu. Chciała się upewnić, że jednak nie potrzebujemy pomocy, i dodała, że kapitan włączył sygnalizację „zapiąć pasy”, więc powinniśmy wrócić na swoje miejsca.

Teig wybuchnął śmiechem.

– Tak mi przykro, brachu. Jezus ukradł ci najlepszą żonę pod słońcem.

Z tęsknym uśmiechem Prentiss wstał i wrócił do kuchni. Teig zachichotał, wciąż myśląc o usłyszanym historii, ale migiem skierował myśli na własne życie. Prentiss żenił się trzy razy, a Teig nigdy nawet nie zbliżył się do ołtarza na odległość mniejszą niż sto kilometrów. Rozmawiali o tym wielokrotnie, ale on zawsze wykręcał się od tego pytania. Pewnego dnia, mawiał, zdarzy mu się związek, który zmieni jego spojrzenie na świat. Pozna kobietę, która zechce dzielić życie z kimś takim jak on – z facetem, którego wielkie marzenia czasem się spełniają, ale który nie potrafi zmusić się do stałej pracy, choćby bardzo się starał. Wiedział, że stanowi ryzyko i że kiedyś spotka kogoś, kto szczerze i chętnie to ryzyko podejmie.

Albo nie spotka.

– Do diabła – mruknął pod nosem. – Znów się rozklejasz.

Prentiss wrócił z dwoma kubkami kawy; w pokoju było tak chłodno, że nad każdym z nich unosił się gęsty obłoczek pary.

– Teig, przyjacielu – rzekł, wręczając mu kawę. – Miałem wątpliwości. Serio. Ale teraz myślę, że coś z tego będzie. I możliwe, że w końcu oddasz mi dług.

Teig z westchnieniem ulgi uniósł kubek w toaście.

– Bracie, możliwe, że dostaniesz o wiele więcej, niż ci jestem winien. Nie widzę powodu, żebyś nie mógł wyreżyserować kilku odcinków, a może i zostać współproducentem wykonawczym.

Prentiss zamarł z przystawionym do ust kubkiem i znad jego krawędzi spojrzał na przyjaciela.

– Zrobiłbyś to?

Teig poczuł chęć przemilczenia słów, które właśnie przysły mu do głowy. Nigdy nie był specjalnie sentymentalny i nie koncentrował się zbyt na ludziach istotnych w jego życiu. Następna fucha, następne marzenie, następny przekręt zawsze wydawały się ważniejsze. Tym razem jednak pozwolił sobie na szczere wyznanie.

– Często ryzykuję. Czasem wygrywam, a czasem przegrywam, ale jeszcze nigdy nie trafiłem w dziesiątkę. Zawiodłem wiele osób, bracie, a ty jesteś chyba jedynym, który mnie nie skreślił. Może jesteś tu, bo uważasz, że tylko tak masz szansę odzyskać swoje pieniądze, ale nawet jeśli to jedyny powód, to i tak oznacza, że wciąż choć trochę we mnie wierzysz. Więc nie zamierzam wybrzydzać.

Prentiss poklepał go po ramieniu.

– No proszę, Felix się nade mną rozczulił. Tak, zostało mi jeszcze trochę wiary, zwłaszcza teraz, kiedy zobaczyliśmy to wszystko na własne oczy. Ludzie będą sobie wygodnie siedzieć w domku na kanapie i oglądać cholernie wielkiego renifera zaprzęzonego do sań, opustoszałe gułagi i nas dwóch uganiających się za jakąś upiorną staruchą, którą cały kraj uważa za ducha, i wszyscy będą tym zachwyceni. Zrobimy z tego coś nadzwyczajnego, Felix. Wiem, że tak.

Teig wyciągnął ku niemu swój kubek, Prentiss zrobił to samo. Wzniesli toast za to przedsięwzięcie i za przyszłość. Chwilę później, upiwszy pierwsze łyki, skrzywili się. Kawa smakowała jak rdzawy szlam, ale przynajmniej była gorąca. Teig wziął kolejny łyk, który okazał się równie obrzydliwy jak pierwszy, ale i tak wypił trzeci.

Ktoś załomotał w drzwi.

Zanim któryś z nich zdążył się ruszyć, usłyszeli szcęk klamki i poczuli, jak owiewa ich szokująco zimny powiew.

Do środka wtoczył się Kaskił, a tuż za nim Nari. Popchnęła go lekko, żeby móc zatrzaskać za sobą drzwi. Kaskił miał na głowie naciągniętą nisko czapkę, której klapki częściowo zakrywały twarz, usta zaś osłaniał mu szal. Spod czapki wyglądały jasne, niespokojne oczy, a klatka piersiowa unosiła się i opadała w rytm szybkich, płytkich oddechów.

Nari wymówiła jego imię i chwyciła go za ramię, a on odwrócił się ku niej i wyrzucił z siebie szalony potok słów w języku, którego Teig nie był w stanie pojąć. Nie potrzebował jednak tłumacza, aby zrozumieć wyraz twarzy Kaskiła.

– Hej, uspokój się – powiedział Prentiss. – Co się stało? O co chodzi?

– Coś... dziwnego – odparła Nari, przy ostatnim słowie marszcząc brwi, jakby niepewna, czy wybrała właściwe.

Ale to było bardziej niż dziwne. Teig rzucił Prentissowi ukośne spojrzenie i obaj powoli zbliżyli się do Kaskiła. Przewodnik pocierał dłonią usta jak pijak, który marzy o butelce. Cały czas rozglądał się po podłodze, jakby myślał, że znajdzie tam jakieś odpowiedzi, a potem odwrócił się i popatrzył na drzwi, przez które on sam i Nari weszli przed chwilą do domu.

– Nikogo nie ma – stwierdził.

Teig się wyprostował. W jego trzewiach znów poruszył się robak mdłości.

– Wyjaśnij to.

Kaskił podszedł do okna. Stanął przy framudze i ostrożnie wysunął głowę, żeby wyjrzeć przez oszronioną szybę, jakby się bał, że ktoś go zobaczy.

– Tak jak powiedziałem – wymamrotał. – Nikogo tu nie ma. W ogóle nikogo.

– Więc czego tam szukasz? – zapytał Prentiss.

Kaskił odwrócił się do niego ze zwięzonymi oczami. Prychnął i wymamrotał coś po jakucku.

– Nie słyszałeś, co przed momentem powiedziałem? Zniknęli. Poszedłem do domu, w którym mieszkają mój ojciec i moja ciotka z wujem, ale jest pusty. U sąsiadów to samo. Drzwi są otwarte, jednak w środku nie ma nikogo. Poszedłem do warsztatu, żeby znaleźć kogoś, kto mógłby przyholować samochód Nari. To miejsce jest... – Zacisnęła oczy, szukając odpowiedniego słowa, aż je znalazł. – Opustoszałe.

Zerwał czapkę z głowy i jeszcze raz wyjrzał przez okno, a potem zaczął krążyć po pokoju. Chodził w milczeniu, ale Teig widział, że w głowie kłębią mu się tysiące myśli.

– Policji też nie ma – dodała Nari. – Było tu tylko dwóch policjantów, ale budynek jest pusty. Poszłam od tyłu. Tamte drzwi też są otwarte.

– Jakieś zgromadzenie – orzekł lekceważąco Prentiss. –

Oboje musicie wziąć głęboki oddech. To kwestia czasu. Sprawdziliście tylko kilka miejsc, a to małe miasteczko. Pewnie ktoś urządza urodziny albo coś w tym rodzaju, prawda, Teig?

Kaskił rzucił mu miażdżące spojrzenie. Prentiss chyba próbował kogoś uspokoić, ale Teig nie był pewien, czy chciał pocieszyć przewodnika, czy raczej siebie samego. Jeśli chodziło o Teiga, to czuł jakieś poruszenie, nie całkiem strach i nie całkiem ekscytację. Czas spędzony przy *Sprzedawcach duchów* sprawił, że zrobił się zblazowany. W zetknięciu z czymś dziwnym reagował cynizmem. Ale przypomniał sobie, jak się poczuł, gdy tu przyjechali, ten ucisk w dołku i ból głowy. Ta cisza i aura opuszczenia. Odszukał spojrzeniem oczy Kaskiła i zobaczył w nich nie tylko niepokój o rodzinę, ale też autentyczny strach. We wszystkich programach o duchach widywał żarliwą wiarę i fanatyzm albo chytrych szarlatanów. Widywał ludzi wytraconych z równowagi, lekko przestraszonych albo podekscytowanych myślą o nawiedzeniu. Ale nigdy nie widział takiego strachu.

Na cokolwiek Kaskił się natknął tu, w Akucku, przeraziło go to jak diabli.

– Chodźmy zobaczyć – powiedział Teig i sięgnął po okrycie.

– Że jak? Teraz? – spytał Prentiss.

– Bierz kurtkę – rzucił Teig. – I kamerę. Opatul się, włóż balaklawę i resztę. – Odwrócił się i napotkał wlepiony w niego wzrok Nari i Kaskiła.

– Coś jest nie tak – powiedziała Nari. – Powinniśmy natychmiast odjechać. Jak najdalej.

Kaskił z powrotem naciągnął czapkę na głowę.

– Ja nie mogę. Muszę sprawdzić dom mojej siostry.

Nari spojrzała na niego.

– Widziałeś inne domy. Wołałeś rodzinę i innych, kogokolwiek, ale nikt nie odpowiedział.

Kaskił zignorował ją mimo strachu. Postawił kołnierz, żeby ochronić się przed wiatrem, otworzył drzwi i wyszedł na straszliwe zimno. Nari zawołała za nim po jakucku, praktycznie wypluwając poszczególne słowa. Teig pomyślał, że ona chyba klnie.

Nari odwróciła się do niego.

– Samochód jest wasz. Powinniśmy odjechać.

Teig zasunął zamek kurtki, po czym zaczął zapinać guziki.

– Jeśli coś się stało jego rodzinie...

– Nie chodzi tylko o jego rodzinę. – Nari posłała niespokojne spojrzenie w kierunku okna. – To nie jest nasze miasto. Nie mamy powodu, żeby tu zostać.

– Trochę to bezduszne, nie sądzisz? – zapytał ją Prentiss. Choć była to raczej krytyka, nie pytanie. – Jeśli coś się stało w tym mieście, to powinniśmy przynajmniej powiadomić władze. A nie możemy tego zrobić, dopóki nie wiemy, co tu jest grane.

Nari znowu zaklęła.

Teig już włożył balaklawę i rękawice. Teraz ruszył do drzwi.

– Nari, zostań tu. Zaraz wrócimy. Jeśli nie znajdziemy nikogo, kto mógłby nam coś wyjaśnić, i jeśli naprawdę uważasz, że tu nie jest bezpiecznie, to wyjedziemy.

Pokręciła głową.

– Po tym, jak zrobicie... to... – Z grymasem niezadowolenia wskazała na kamerę Prentissa.

Aluzja była jasna i słuszna. Teig i Prentiss potrzebowali emocjonującego materiału filmowego z całego rejonu Drogi Kości, więc natknąwszy się na to, co się tu działo, byłiby kompletnymi głupcami, gdyby nie

sfilmowali paniki Kaskiła.

A jeśli tutejsi mieszkańcy opuścili swoje domy, nawet nie zamykając drzwi, to chyba naprawdę istniały powody do niepokoju. Teig odepchnął od siebie takie myśli. Sprawiały, że czuł się bezduszny i drapieżny. Nie lubił tego uczucia, ale nie mógł udawać, że nie przyjechał tu, aby upolować własną przyszłość, znaleźć coś, co przybliżyłoby go do życia, jakiego zawsze pragnął.

Nie mógł też udawać, że nie pociągała go aura niesamowitości. Skoro przebył całą tę drogę na sam skraj cywilizacji i znalazł tu prawdziwą zagadkę, to nie zamierzał od niej uciekać. Wmawiał sobie, że znajdują wyjaśnienie – i zaginionych ludzi. Ale w głębi ducha nie mógł się pozbyć nadziei, że w końcu trafił na coś innego.

Teig wyszedł pierwszy, okutany w kilka warstw ciepłych ubrań. Prentiss ruszył za nim, a ziąb natychmiast dopadł ich obu. Wystarczyła chwila spędzona w domu, aby zapomniał, jak bardzo zimna może być tutejsza noc. Wyrwała mu powietrze z płuc, naprężyła każdy mięsień, ścisnęła klatkę piersiową.

Nari stała w otwartych drzwiach, niepewna, jakby miała rzucić się do ucieczki.

– Idziesz czy zostajesz? – zapytał Teig.

Znów przeklinając, schyliła głowę, chroniąc się przed wiatrem i mrozem, i wyszła z domu, po czym zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Idziemy razem.

Ludzie wcale nie zniknęli – jasne, że nie. Mimo przerażenia w oczach Kaskiła i jego własnej skrytej nadziei Teig powtarzał sobie, że szybko znajdują jakieś wyjaśnienie. Nie mógł się oprzeć myśli, że może cała ta sprawa to jakiś trik – iluzja dla iluzjonisty. Dwa ostatnie dni były tak surrealistyczne, jakby cienka sieć snu zasnuła rzeczywistość, i jakaś cząstka niego czuła, że tak, oczywiście, ludzie w tym miasteczku zniknęli. Ale racjonalna część mózgu gwałtownie protestowała. Logika upierała się, że albo gdzieś tu byli i brali udział w jakiejś błazenadzie, albo wszyscy zebrali się w jednym miejscu, by uczestniczyć w ceremonii religijnej bądź szamanistycznym rytuale.

„Wesele – pomyślał. – Albo inna impreza. Pięćdziesiąta rocznica jakiejś starej pary”.

Konkretne, logiczne myśli.

Z drugiej strony był Kaskił. Teig wierzył spojrzeniu tego faceta – nikt nie mógłby tego sfingować. Nieobecność jego rodziny wystraszyła go na tyle, że gdy tylko wyszli na ulicę, popędził nią w kierunku kanciastej budowli, która wyglądała jak skrzyżowanie stodoły i warsztatu.

– Kaskił, zaczekaj! – zawołał za nim Prentiss.

Jego słowa były wręcz widoczne, bo para wydechana z ust Prentissa z każdą sylabą zawisała na chwilę w powietrzu, nim rozwiewał ją wiatr. Kaskił albo nie słyszał, albo nie słuchał, jakby po przekazaniu im Nari i pozbyciu się wszelkiej odpowiedzialności, do jakiej mógł się wobec niej poczuwać, reszta przestała dla niego istnieć.

– Idź za nim – powiedział Teig. – I filmuj.

Prentiss pobladł, patrząc na przyjaciela.

– To popieprzone, stary.

– Bez dyskusji. Pospiesz się. Jest szybki. I włóż kominiarkę.

Prentiss wymamrotał coś pod nosem, pogrzebał w kieszeni, wyszarpnął z niej balaklawę i naciągnął ją na twarz. Jego broda wyglądała idiotycznie pod materiałem.

Kaskił pokonał już prawie trzydzieści metrów i Prentiss bluznął potokiem przekleństw, ruszając biegiem za młodszym mężczyzną. Choć jego broda i postura zawsze przywoływały Teigowi na myśl niedźwiedzia, Prentiss potrafił nieźle gnać, jak się porządnie rozpędził.

Teig odwrócił się i omiół spojrzeniem te kilka domów stojących wzdłuż drogi.

Nari stanęła obok niego.

– To nie jest dobry pomysł. Wszyscy powinniśmy się trzymać razem.

Przyjrzał się uważnie jej twarzy. Wyczerpana, niezadowolona, że się ją ignoruje... może trochę przestraszona. Albo więcej niż trochę.

Teig kiwnął głową.

– Masz rację. Nie uśmiecha mi się być tu samemu. Ty i ja, okej?

Nari przytaknęła.

Rozejrzał się po tym mrocznym miasteczku na samym końcu świata. Śnieg skrzypiał i chrzęścił. Teig

wiedział, że w ekstremalnie niskich temperaturach mogą się zdarzyć trzęsienia mrozowe, powodujące głośne łoskoty przypominające wystrzał, ale nie był przygotowany na to nieustanne poskrzypywanie i chrzęszczenie, jakby ktoś podkładał się do nich w ciemności.

Ziąb zgniatał mu klatkę piersiową. Parzył płuca. Teig i Prentiss przewidywali trudne warunki. Zaopatrzyli się w odpowiednie ubrania, odpowiednie warstwy, maski na twarz i futrzane kaptury, tak że odsłonięte na bardzo długo mieli tylko oczy, ale nic nie mogło ich przygotować na coś takiego. Tutejsze zimno kpiło sobie z jego rozumienia tego słowa. Mówienie o zimnie w tym miasteczku podczas syberyjskiej zimy było jak mówienie o wodzie, kiedy masz na myśli oceaniczną głębię tysiące kilometrów od brzegu, a nie umiesz pływać.

To zimno, jak głębia oceanu, oznaczało, że jeśli nie potrafisz zrobić czegoś, co cię ocali, zginiesz. To zimno było drapieżnikiem, a oni znaleźli się na jego łasce.

– Tędy – powiedział, bo musieli się ruszyć, żeby nie zamarznąć. I dlatego że im dłużej stał na tej drodze, zastanawiając się, czy wszystkie te domy są puste, tym większej nabierał pewności, że tak, a to rodziło pytania.

Teig powtarzał sobie, że chce, aby jedynymi tajemnicami w tym miejscu były te, które sam zmyślił na potrzeby widzów. Ale to nie była do końca prawda.

W niewielkiej odległości znajdowały się trzy inne domy. Mijali je, jadąc tutaj, i w każdym z nich paliło się światło. Nari ruszyła za nim, gdy szybkim krokiem skierował się w stronę budynku bardziej przypominającego domek letniskowy niż górską chatę. Widoczne nad wejściem okno sugerowało, że było tam nawet piętro. Teig załomotał w drzwi; w tej sytuacji nie zważał na maniery. Nie zamierzał ryzykować, że przez grzeczność odmrozi sobie jaja. Tupiąc nogami, zerknął na Nari, która w ogóle nie zwracała uwagi na ten dom. Wpatrywała się uważnie w ciemną ulicę i otwarty pas śniegu oddzielający ten budynek od drugiego, stojącego za nim.

Teig znowu zadudnił w drzwi.

– Tylko pięciuset mieszkańców. To zrozumiałe, że niektóre z tych domów są już puste.

Mijały sekundy. Dwie albo trzy ulice dalej Kaskił wołał przyjaciół i sąsiadów, może też siostrę. Teig dał za wygraną. Skinął na Nari i oboje ruszyli w kierunku następnego domu. Ktoś będzie w środku.

– Idź od tyłu – powiedziała Nari.

Teig zrobił jeszcze dwa kroki, ale chwyciła go za ramię.

– Od tyłu.

Nie chciał się sprzeczać. Jeśli były tu tylne drzwi, mógłby dowiedzieć się czegoś, zaglądając do środka. Nari zrównała z nim krok i ramię w ramię brnęli przez śnieg. Wiatr smagał ich z taką siłą, że musieli walczyć o każdy ruch naprzód.

Ledwo skręcili za róg na tyłach budynku, kiedy Teig ujrzał plamę światła wylewającą się z tylnego wejścia do tego małego, piętrowego domu. Drzwi były otwarte na oścież. Wiatr nawiał śniegu przez próg i warstewka bieli już zdążyła pokryć podłogę oraz stoliczek i buty stojące na tkanym dywaniku tuż za drzwiami.

W śniegu przed wejściem ujrzał ślady stóp. Co najmniej trzy pary – dwóch dorosłych i dziecka – a te największe należały do bosego mężczyzny.

Teig zadrżał. Wiatr ciął go w twarz. Nos mu zdrętwiał.

Ślady prowadziły w stronę gęstego lasu na zachodnim krańcu miasteczka, u podnóża dalekich gór.

Zerknąwszy na zaniepokojoną Nari, Teig podążył ich tropem.

Kiedy Jack Prentiss miał jedenaście lat, mama zabrała go i jego siostrę Lucy na wakacje do Włoch. Na krótko przedtem zostawił ich tata, a wtedy mama zrobiła listę rzeczy, które zawsze odkładała na później, bo ojciec nigdy nie miał na nie czasu. Dzieciom dobitnie wyjaśniła, że to nie jest lista marzeń do spełnienia przed śmiercią. Takie listy robi się na starość, kiedy człowiek zaczyna się bać, że umrze. O nie. Sarah Hughes Prentiss postawiła sprawę jasno: ta lista miała jej pomóc żyć pełnią życia.

Zjeździli wtedy całe Włochy wraz z Sycylią. Będąc na Capri, odwiedzili Lazurową Grotę, do której wpłynęli małą łódką, i we wnętrzu tej niewielkiej, ciemnej jaskini pluskali się w błękitnej wodzie, przywodzącej na myśl magiczne jezioro. Od tego dnia Lucy nigdy nie przestała mówić o magii, sprawiała wrażenie, jakby wciąż żyła radością tamtej chwili, i Prentiss do dzisiaj jej tego zazdrościł, chociaż uczyła nastolatków literatury angielskiej, a to zajęcie w końcu musiało jego zdaniem wyssać radość i magię z każdego. Z każdego, ale nie z Lucy.

Mama zabrała ich do Werony i opowiedziała na dobranoc historię Romea i Julii. Oczywiście widzieli też Rzym oraz *Dawida* we Florencji. Prentiss i mała Lucy marzyli, by zostać w Wenecji na zawsze. W głębi ducha wciąż słyszał echa głosów gondolierów ostrzegających się nawzajem, kiedy zbliżali się do zakrętów wąskich starożytnych kanałów. Ich gondolier nosił białą, falbaniastą koszulę i mówił do Lucy, jakby był jej najprawdziwszym dziadkiem, a mama piła szampana. Tamtego wieczoru dała łyżeczka swojemu Jackowi i Prentiss nigdy tego nie zapomniał. Połączył ich sekret, za co pokochał ją jeszcze bardziej.

Jedli o wiele za dużo czekolady w Modice, a zatrzymali się w gospodarstwie agroturystycznym, którego właściciele karmili ich najświeższymi i najsmaczniejszymi produktami, jakie Prentiss jadł kiedykolwiek w życiu. Od tamtej pory próbował znaleźć podobne i stąd ten okazały obwód w pasie. Mały synek gospodarzy zaprezentował trójce Prentissów swego oswojonego strusia, a następnie uraczył ich potokiem najpaskudniejszych bluzgów, jakie kiedykolwiek wymyślili Włosi, z czego nawet Jack co nieco rozumiał. Jego matka najpierw wytrzeszczyła oczy ze zdumienia, a potem dostała takiego napadu śmiechu, że aż musiała ocierać łzy.

Wulgarny dzieciak i jego struś gapili się na klan Prentissów tak samo wściekli, jak zdezorientowani, a zapewne też urażeni.

Na weneckiej wyspie Murano podziwiali dmuchanie szkła, a następnie zdumieli się i stropili jak tamten struś, kiedy dmuchacz oświadczył się ich matce, najwyraźniej na serio. Ruiny widywali wszędzie, od Agrigento do Ostii, ale miejscem, które zostało z Prentissem na zawsze i które wciąż nawiedzało go w snach, były Pompeje. To miasto, pogrzebane przez erupcję Wezuwiusza w siedemdziesiątym dziewiątym roku naszej ery, zostało w niezwykle sposób utrwalone i zachowane. Gdy tylko Teig opowiedział mu o Drodze Kości, Prentiss poczuł echo tamtej wyprawy w dzieciństwie i wróciło do niego wspomnienie dreszczu grozy. Tamci ludzie udusili się, umarli i zostali pogrzebani w kokonie z popiołu. Ulice Pompejów były fascynujące, podobnie jak domy. Tamtego dnia wiele się nauczył. Ale zobaczył też jedno z zachowanych szczątków i odtąd do końca podróży dręczyły go koszmary.

Bywał w najróżniejszych zakątkach świata, stał za kamerą i filmował miejsca, które ludzie uważali za nawiedzone. Ale sam nigdy i nigdzie nie czuł aury nawiedzenia, nie takiej jak w Pompejach.

Aż do teraz.

Wykonał powolny obrót kamerą, patrząc przez wizjer, żeby choć trochę oddzielić się od upiorności tej chwili. Teig wydawał się pewny, że gdzieś tu znajdą ludzi, a Kaskił – biedny sukinsyn z błyskiem desperacji w oczach – kurczowo trzymał się nadziei, jakby ścisnął paciorki różańca, czekając na boską interwencję. Prentiss mógł jedynie wyrównać oddech, starać się, żeby nic sobie nie odmrozić, i robić swoje.

Tak brzmiała jego mantra w chwilach niepokoju. „Rób swoje. Rób swoje. Rób swoje”. Nawet jeśli Teig był mu winien pieniądze, a panujący ziąb przerażał go niemal tak samo jak to opuszczone miasteczko, i tak jedynym, co mogło mu pomóc pokonać strach, było robienie swojego. Gdyby była tu Ruthie, modliłaby się do Boga, wierząc całym sercem, że przyjdzie jej z pomocą. Prentiss miał tylko swoją kamerę.

„To bezcenny materiał”, pomyślał. I to dodawało mu sił. Nie chciał być najemnikiem, tak jak nie chciał być sępem ani żywiącą się makabrą hieną, gdyby okazało się, że wszyscy ci ludzie popełnili rytualne samobójstwo w stodole albo coś w tym rodzaju, ale dobrze znał rynek. Wiedział,

że już

samo to nagranie wystarczyłoby, aby paru decydom zabrakło tchu.

Jego buty zaskrzypiały na śniegu. Poprawił balaklawę na twarzy i przez chwilę przekładał kamerę z ręki do ręki, żeby rozprostować palce i przywrócić w nich przepływ krwi.

Kaskił skinął na niego, stojąc w wejściu do jakiegoś budynku po drugiej stronie ulicy.

– Co to jest?! – zawołał Prentiss, a wiatr porwał jego słowa i uniósł je w dal.

– Biblioteka – odparł Kaskił. Chwycił za klamkę, nacisnął ją i pchnął drzwi.

Prentiss pospieszył za nim, patrząc przez wizjer i mając nadzieję, że kamera nie zamrznie. Nigdy nie byłoby go stać na taką, jaką naprawdę chciałby wziąć w tę podróż, ale udało mu się namówić starego znajomego, żeby pożyczył mu swoją. Poczytał też na temat filmowania w temperaturach poniżej zera. W kieszeni miał zapasowe baterie, kamerę trzymał w futerale, kiedy jej nie używał, a poza tym liczył na łut szczęścia. Nawet sprzęt przeznaczony do użytku w temperaturach poniżej zera nie nadawał się do pracy w tak ekstremalnych warunkach.

Kaskił wszedł do biblioteki. Prentiss podążył za nim, trzymając kamerę przed sobą. Kaskił spróbował włączyć światło, ale wewnątrz budynku pozostało ciemne jak reszta Akucka. Trzy metry za progiem zawołał w głąb mroku. Prentiss wstrzymał oddech, gdy obaj czekali na odzew. Po kilku długich sekundach Kaskił odwrócił się i spojrzał na niego. Może nie zdawał sobie sprawy, że jest filmowany, a może go to nie obchodziło, ale nawet nie próbował ukrywać emocji.

– Pomyślałem, że może przyszli tutaj – powiedział. – Czasem mają zebrania mieszkańców. Już sprawdziłem szkołę, ale też była pusta. Myślałem... gdyby pojawił się jakiś problem, to dokąd by poszli? – Jego spojrzenie zrobiło się puste, trochę zagubione.

– Masz tu dużo rodziny? – zapytał Prentiss, bo poczuł, że musi coś powiedzieć. Nawiązać kontakt. Kaskiłowi było to potrzebne, zasługiwał na to. Sprawiał wrażenie zabawnego i twardego faceta z mocnym kręgosłupem i klasą, a także pokazną dawką stłumionej wściekłości, co sugerowało, że więzienie pokiereszowało go bardziej niż tatuaże jego skórę. Teraz wydawał się znowu dzieciakiem, młodym i bojącym się o rodzinę.

– Mówiłem ci. Mam tu ojca. I ciotkę z wujem – odparł Kaskił, patrząc w podłogę. – Mieszkają razem. Poszedłem tam, ale w domu nie było nikogo.

– Musimy sprawdzić dom twojej siostry – przypomniał Prentiss.

Kaskił wciąż nie podnosił wzroku, jakby niepewny, czego może się spodziewać. W końcu skinął głową, westchnął i minął kamerzystę, kierując się do drzwi. Kiedy szybkim krokiem przechodzili obok dwóch innych budynków, miał oczy dookoła głowy, rozglądając się na wszystkie strony w poszukiwaniu jakiegoś znaku życia. Prentiss cały czas go obserwował, nie wyłączając kamery, ale miasteczko wydawało się zupełnie opustoszałe i czuł, że są tutaj sami.

Kiedy dotarli do właściwego domu, Kaskił otworzył drzwi. Nie potrzebował klucza. Tutaj nikt niczego nie zamykał.

Pierwszym, co zarejestrowała kamera, ledwo weszli do środka, było tylne wyjście. W małym domu odległość między wejściem frontowym a tylnym nie mogła wynosić więcej niż dwanaście metrów. Drzwi stały otworem, za nimi połyskiwała słabo księżycowa poświata, a we wnętrzu leżały wzgórki nawianego przez wiatr śniegu. Prentiss pomyślał, że powinno tu być odrobinę cieplej niż na zewnątrz, ale jakimś cudem było jeszcze zimniej. Powiódł kamerą dookoła i uchwycił Kaskiła, który stał przy stole jadalnianym swojej siostry, wpatrując się w miski i szklanki. Wszystko, co w nich było – napoje i gulasz, który rodzina jadła na kolację – zamarzło na kość.

Prentiss miał świadomość, że Kaskił za nim nie przepada. Nie winił go, wiedział, że był dla niego gburowaty. Ten dzieciak... ten facet... prawdopodobnie nie chciał jego współczucia ani wsparcia, ale tego potrzebował. Prentiss pokonał dzielące ich trzy metry, a podłoga zaskrzypiała pod jego ciężarem. Położył dłoń na ramieniu przewodnika.

Kaskił odwrócił się i zawołał w głąb pustego domu.

Pustego, bo choć nie przeszukali wszystkich zakamarków jego niewielkiej przestrzeni, to przecież nie znaleźli nikogo innego w tym opuszczonym mieście. Poza tym tę pustkę się tutaj czuło.

Bez nadziei w oczach Kaskił zawołał znowu, a potem jeszcze raz, ale nikt się nie odezwał.

– Hej, stary, słuchaj – zaczął Prentiss. – Nie daj się ponieść wyobraźni. Nie wiemy, co się stało. Całe

miasto jest puste i mam wrażenie, że zostali ewakuowani. Bez względu na to dokąd, wszystkich ich zabrano, co znaczy, że twojej rodzinie nic nie jest, mam rację?

Kaskił odwrócił się i spojrzał mu w oczy, nieprzekonany.

– Drzwi w całym mieście są pootwierane – powiedział. – Dokąd mieliby wyjść w takim pośpiechu, żeby nie zamknąć drzwi? Żeby zostawić kolację na stole?

Prentiss opuścił kamerę.

– Dowiemy się, kiedy ich znajdziemy. Nic im nie będzie. Gdziekolwiek są, są tam razem.

Rozglądając się po salonie i kuchni, Kaskił był coraz bardziej przybity. Potem odwrócił się i ruszył w stronę otwartych tylnych drzwi, za którymi czekała noc bez odpowiedzi.

Nagle zeszytniał. Spojrzał w lewo, ku drzwiom prowadzącym do innej części domu. Stały uchylone na kilka centymetrów, a za nimi panowała ciemność.

– Ja też to słyszałem – powiedział Prentiss i ujrzał iskierkę nadziei na twarzy Kaskiła.

Przez szparę w drzwiach znów dobiegł ich cichy dźwięk i obaj wiedzieli, że nie był to wiatr.

Kaskił wyciągnął rękę, uchylił drzwi nieco bardziej i wśliznął się do środka.

Nari niezbyt interesowało, co Amerykanin i Anglik mają do powiedzenia. Była wdzięczna za podwiezienie – bez ich pomocy prawdopodobnie by umarła – ale nie zamierzała zostawać z nimi na tyle długo, żeby się zaprzyjaźnić. Teraz znalazła się w Akucku, otoczona przez ziąb i mrok, a jej jedynymi towarzyszami byli ci nowo poznani ludzie. Patrzyła, jak snop światła przesuwają się po śladach w śniegu. Teig wodził latarką tam i z powrotem, przyglądając się trzem zestawom odcisków stóp, które prowadziły w stronę lasu i góry w oddali.

– Nie powinniśmy tu być – powiedziała.

Nie patrząc na nią, Teig kiwnął głową i dalej badał rozciągający się przed nimi śnieg.

– Też wolałbym odjechać – zgodził się. – Ale mieszka tu rodzina Kaskiła. Nie mogę po prostu powiedzieć: „Dzięki, stary, ale radź sobie sam” i go tu zostawić.

Nari rozumiała i niechętnie przyznała mu rację. W pierwszym odruchu chciała przekonać Teiga i Prentissa, żeby wsiąść do ich terenówki i pędzić na północ. Do diabła z Kaskilem i jego miastem. Do dzisiejszego wieczoru uważała się za lepszą osobę niż ta, którą się teraz okazywała, ale z każdą chwilą spędzaną w tym miejscu skóra piekła ją ze strachu coraz bardziej. Zupełnie jakby wdychała ten strach, jakby została nim zarażona. Jeszcze nigdy w życiu Nari tak bardzo nie pragnęła uciec.

Z drugiej strony za filiżankę kawy zabiłaby własną matkę. Dzień rozpoczęła od śniadania w małej knajpce przy drodze z Magadanu, w której podawano najsmaczniejsze na świecie naleśniki. Nari pojechała do Magadanu na pogrzeb szwagra, ale ten ranek mogła spędzić cudownie sama. Niezamężna i niezainteresowana zamążpójściem, skupiała się na swojej firmie jubilerskiej oraz psach i zazwyczaj wolała samotność. Mąż siostry był jedynym członkiem rodziny, który akceptował ją taką, jaka była, i nie doszukiwał się w niej skazy. Nari nie spodziewała się, że będzie po nim płakać, a jednak na pogrzebie otworzyła się. Sumiennie okazywała współczucie siostrze, zdołała się powstrzymać przed powiedzeniem matce, żeby się odpiardoliła, cierpliwie stała, gdy dziesiątki ludzi składało kondolencje i gdy opuszczano trumnę z Bayanem do grobu, a potem wsiadła do samochodu i ruszyła na północ. Nie bez powodu mieszkała tak daleko od reszty rodziny i już nie mogła się doczekać, żeby się uwolnić od duszącego narcyzmu matki i znaleźć się w domu ze swymi psami, z książkami i pracą.

Ale Nari nigdy nie chciała czuć się aż tak samotna.

Teig wskazał na prawo.

– Spójrz na to.

Do śladów, za którymi podążali, dołączyły inne. Powiódł snopem światła latarki po zaśnieżonym terenie oddzielającym tyły budynków od lasu i Nari po raz pierwszy uświadomiła sobie, jak wiele jest tam odcisków stóp. Ilu ludzi poszło tego wieczoru do lasu?

Cofnęła się o krok, zupełnie zapominając o Teigu. Porywy wiatru szarpały ją za płaszcz. Kaptur opadł jej na twarz, zakrywając ją do połowy, ale Nari nawet nie próbowała go odsunąć. Całą uwagę skupiła na drzewach na skraju lasu, na śladach, które między nimi znikwały. Na tym, jak drzewa kołysały się na wietrze.

Tylko że to wcale nie był wiatr.

Sześć metrów w głąb lasu świerki i sosny poruszały się i chwiały, ale nie odchyłały się w tym samym kierunku. Wiatr osłabł, a one wciąż drżały, jakby coś je roztrącało, ocierając się o ich pnie i łamiąc gałęzie.

– Proszę pana – wychrypiała Nari i zrobiła drugi krok w tył, nawet nie spoglądając na Teiga. Poczowała zapach czegoś starego i ziemistego, jak rdza i świeżo poruszona gleba.

Latarka Teiga oświetliła zagajnik kościstobiałych brzoź. Coś zawył w głębi lasu; nagle jedna z brzoź pękła z trzaskiem i runęła, łamiąc przy upadku gałęzie. Nari owionęła fala smrodu, zapachu pleśni i rozkładu, aż się wzdrygnęła i uniosła rękę, żeby ciasniej otulić twarz szalem.

Zakłęta cicho i paskudnie, jakby bluźniła i modliła się zarazem. Mówiła coś jeszcze, ledwie świadoma, że jakieś słowa wciąż wychodzą z jej ust. Drzewa przestały drzeć i Teig chyba odetchnął, ale Nari tylko wbijała wzrok w ciemność, w mrok czający się w mroku, którego nic nie mogło rozświetlić.

Wśród braku światła, dźwięku i ruchu rozległ się głuchy pomruk. Nari mieszkała na Syberii przez całe życie i znała wszelkie odgłosy niedźwiedzi i wilków, a ten dźwięk nie przypominał żadnego z nich. Pękła kolejna brzoza i wszystkie drzewa zaczęły się trząść, a ich gałęzie drzeć, kiedy coś ogromnego rozpychało je na boki, cicho warcząc, a może szepcząc.

– Co to, kurwa, jest? – spytał Teig cicho.

Jakby wiedziała. Jakby to była typowa noc na Syberii. Albo gdziekolwiek.

Marząc, aby znaleźć się gdzie indziej, nawet z powrotem w swoim samochodzie, w którym usiłowałyby nie zamarznąć na śmierć, próbowała znaleźć dość angielskich słów, żeby odpowiedzieć. Ale wtedy usłyszeli wołanie. To był Prentiss, jego donośny głos odbijał się echem od budynków, lasu i śniegu.

Nari odwróciła się i pędem rzuciła w stronę, z której dobiegało wezwanie.

Słyszała chrzęst butów Teiga na śniegu. Mężczyzna biegł za nią, głośno sapiąc, ale ona była w tej chwili całkowicie skupiona na Prentissie. Cokolwiek było w tym lesie, w którym znikwały ślady stóp, Nari temu ucieknie. Nie da się zabić na tym zadupiu, nie pozwoli, żeby jej psy nie miały co jeść, a jej matka nigdy się nie dowiedziała, dlaczego przez ostatnie trzy lata prawie nie rozmawiały.

Jeśli coś naprawdę czaiło się w tym lesie i chciało ich dopaść, to wołała trzymać się kilka kroków przed Teigem. Był dla niej miły, ale przecież się nie znali. Nie chciała spotkać tego, co przyciągnęło tamtych ludzi do lasu. Ani dla Teiga, ani dla kogokolwiek innego.

Prentiss znów ich zawołał.

Kaskił wpatrywał się w małą dziewczynkę w pokoju, ignorując krzyki przed domem. Miała na sobie sweter, który zrobiła dla niej prababcia. Rękawy były za długie i wystawały z nich tylko koniuszki palców. Niesforny gąszcz czarnych włosów opadał jej na twarz, jakby przed chwilą przedzierała się przez dżunglę, ale Kaskił wiedział, że mała po prostu nie cierpi ich czesać. Prawie zawsze tak wyglądały. Wiedział, bo łączyła ich krew, jego i ją. Była jego siostrzenicą, a teraz została zupełnie sama w tym domu.

Zupełnie sama w tym mieście.

– Ariuna? – odezwał się, klękając przy niej.

Oczy dziewczynki błyszczały w ciemności. Zazwyczaj tej przedwcześnie dojrzałej dziewięciolatce buzia się nie zamykała. Podczas rodzinnych kolacji rodzice musieli ją uspokajać, żeby mogła coś zjeść albo choć nabrać powietrza. Kiedyś Kaskił był świadkiem, jak zakręciło się jej w głowie, bo więcej trajkotała, niż oddychała.

A dzisiaj milczała.

– Una – powiedział. – Proszę. Gdzie mama i tata? Gdzie są wszyscy?

Zdjął rękawicę i dotknął jej policzka, a potem czoła. Tylne drzwi wciąż stały otworem, a jego siostrzenica była taka zimna. Kaskił rozejrzał się po pokoju i znalazł jej kurtkę, buty i czapkę. Ani razu na niego nie spojrzała, nawet wtedy, gdy znów przy niej ukląkł i pomagał jej włożyć okrycie.

– Co jej jest? – spytał ktoś za jego plecami.

Kaskił podskoczył ze strachu, odwrócił się i rzucił Prentissowi gniewne spojrzenie.

– Myślisz, że umiem to wyjaśnić? Albo cokolwiek innego?

Prentiss przepaszająco kiwnął głową, ale Kaskił zauważył, że kamerzysta znowu filmuje. Włączył kamerę, jeszcze zanim się odezwał, i nakręcił tę milczącą panikę wujka bojącego się o siostrzenicę. „Dupek”, pomyślał Kaskił po angielsku.

– To nie wasze jebane reality show. – Spiorunował Prentissa wzrokiem, po czym włożył Unie czapkę na głowę. Jakby ubierał lalkę. Pozwalała na to, ale sama nie robiła nic, żeby mu pomóc.

– Taka praca, stary – odparł Prentiss.

Kaskił go zignorował. Chwycił dziewczynkę za ramiona. Znowu mówił do niej po jakucku.

– Una, gdzie oni są? Co się stało? – W piersiach czuł ból. Ujął dłońmi jej podbródek i obrócił buzię małej, tak żeby mogli spojrzeć sobie w oczy, gdyby była w stanie się na nim skupić. Czy na czymkolwiek. – Kochana – dodał. – Jesteś tam?

Za jego plecami rozległ się odgłos kroków i stłumiony szept. Jeszcze zanim się odwrócił, wiedział, że w domu są już Teig i Nari. No jasne. Prentiss wyszedł, żeby ich zawołać, wezwać pomoc. Weszli razem z nim, kiedy wrócił. Nie było ich w pokoju, stali w kuchni, niedaleko otwartych tylnych drzwi i usłyszeli, co powiedział do Prentissa.

To dobrze. Kaskił nie miał ochoty tego powtarzać. Może i Teig mu za to płacił, może i obiecał znacznie więcej pieniędzy w przyszłości, ale w Akucku wydarzył się jakiś koszmar i w tej chwili Kaskił nie wyobrażał sobie żadnej przyszłości.

– Una, proszę – powiedział, wsuwając jej na stopy buty, które znalazł w kącie.

Jej spojrzenie nawet nie drgnęło. Stała ze zwieszonymi ramionami i wpatrywała się w pustkę. Kaskił zaczął rozglądać się po pokoju, szukając śladów walki, jakiejś wskazówki, która pomogłaby wyjaśnić, co się tu wydarzyło i gdzie podziali się wszyscy.

– Prentiss, odłóż kamerę – powiedział Teig.

Kaskił wypuścił powietrze z płuc. Zalała go fala smutku, zastępując strach, ale przynajmniej nie musiał tłumaczyć Teigowi, dlaczego to nie jest właściwy moment na jego pieprzony program.

– Cokolwiek to jest – rzekł ochryple Prentiss – musimy to udokumentować.

– Wiem. Ale w tej chwili musisz pójść do samochodu i sprawdzić, czy silnik jest na chodzie. Odpal i podjedź tu. Musimy poprzekładać parę rzeczy, żeby zrobić miejsce dla tej dziewczynki.

Kaskił zmarszczył brwi, lecz nie protestował. Było jasne, że muszą stąd odjechać. Niezależnie od tego, gdzie zniknęła jego rodzina i reszta mieszkańców, Una została. Kaskił powinien zapewnić jej bezpieczeństwo, zadbać, żeby znalazła się wśród ludzi i w cieple. Musieli dotrzeć do miejsca, z którego będą mogli zawiadomić władze, aby zaczęto szukać tych, którzy zniknęli.

Prentiss nie spierał się z Teigiem. Ciężkim krokiem wyszedł przez otwarte tylne drzwi, zostawiając Teiga i Nari w kuchni.

– Nic jej nie jest? – spytał Teig, wchodząc do pokoju. – Wie, co się stało?

– Una chyba jest w szoku – wyjaśnił Kaskił. – Nie odezwała się ani słowem. Ale masz rację. Musimy się stąd wynosić, znaleźć jakieś bezpieczne miejsce.

Mówiąc to, dostrzegł strach na twarzy Nari. Wciąż stojąc w kuchni, co chwila oglądała się przez ramię, popatrując w kierunku otwartych drzwi, w których przed momentem zniknął Prentiss. Coś w tym spłoszonym spojrzeniu, w wybałuszonych oczach, w sposobie odwracania głowy niczym wystraszonego ptaka wytrąciło go z równowagi nawet bardziej niż pusty wyraz twarzy siostrzenicy.

Kaskił zapiął kurtkę Uny i wziął dziecko na ręce. Teig zszedł mu z drogi, kiedy ten niósł dziewczynkę do kuchni. Nari przeszła w głąb domu, dalej od otwartych drzwi.

– Musimy jechać – powiedział do niej po jakucku Kaskił.

Na te słowa odwróciła się gwałtownie i spojrzała najpierw na niego, a potem na Unę, którą trzymał.

– Tak – odparła i wyciągnęła rękę, żeby poprawić czapkę dziewczynki. – I to szybko. – Podniosła wzrok i pierwszy raz popatrzyła Kaskiłowi w oczy. – Jeśli się pospieszymy, to może zdążymy, zanim wyjdą z lasu.

Zdezorientowany, Kaskił chciał zapytać, co ma na myśli. Co tak bardzo ją przeraziło.

Nari wybiegła na mróz, w mrok, nie oglądając się za siebie. Kaskił zerknął na Teiga, szukając jakiejś odpowiedzi, ale on zignorował jego spojrzenie i po raz pierwszy Kaskił zobaczył, że Teig też wygląda na zaniepokojonego, wytrąconego z równowagi, przerażonego tym, co mógłby dostrzec kątem oka.

Wyszli na zewnątrz.

Wiatr smagał ich mocno, zimne poddmuchy przetaczały się przez miasto, hulały po ulicach.

Nari stała na drodze, gotowa do ucieczki, i wpatrywała się w las. Coś poruszyło się w ciemnościach, drzewo albo człowiek, i przez chwilę Kaskił poczuł przeblisk nadziei.

I nagle Nari się cofnęła. Z jej ust wyrwał się potok przekleństw i modlitw, a potem się odwróciła i runęła w mrok.

Prentiss jeszcze raz przekręcił kluczyk. Zapłon zakaszłał, ale nie zaskoczył. Mężczyzna zdjął rękę z kluczyka i wbił wzrok w szron po wewnętrznej stronie przedniej szyby. Jedyne światło w garażu dawało pomarańczowe oświetlenie awaryjne podłączone do niezależnego akumulatora albo generatora, ale to wystarczyło, żeby dostrzegł kryształki lodu rozrastające się na szkło. Garaż istniał tylko z jednego powodu: aby zapewnić pojazdowi wystarczające ciepło i zapobiec zamarznięciu przewodów paliwowych. Coś takiego nie powinno było się zdarzyć.

Nawet nie upłynęło jeszcze zbyt wiele czasu.

Poruszył kluczykiem w stacyjce. Kiedy przed chwilą go przekręcał, czuł opór, jakby sam mechanizm był bliski zamarznięcia.

– Boże, nigdy nie miałem powodu myśleć, że gdzieś tam jesteś – wymamrotał głosem stłumionym przez balaklawę. – Jeśli jesteś choć trochę zainteresowany zmianą mojego zdania, to teraz masz najlepszą okazję.

Prentiss wziął głęboki oddech, przekręcił kluczyk. Silnik kaszlnął, zazgrzytał, budząc tym najgłębszą grozę, a potem zaskoczył. Uaz zapalił z rykiem. Ruthie byłaby zachwycona. Prentiss roześmiał się i parę razy nacisnął klakson, żeby uczcić sukces. Przygazował – rzekłby, że samochód sobie odchrząknął – podkręcił odszranianie na maksa i wrzucił tryb jazdy.

Kierując się do wyjazdu, podniósł oczy ku niebu.

– Dupek. I tak myślę, że jesteś zwykłą bujdą. Doprowadź mnie bezpiecznie do domu, to może zmienię zdanie.

Wyjechał z garażu. Z pracującym silnikiem i rozświetloną deską rozdzielczą poczuł się jak otulony kokonem normalności, który tym bardziej wyostrzał świadomość tego, jak dziwaczny i niepokojący był ich przyjazd do Akucka. Serio, gdzie byli ci wszyscy ludzie? Ewakuacja wydawała się najbardziej prawdopodobna, ale co było jej celem? Co groziło mieszkańcom? Przecież ktoś by zadzwonił do Kaskiła i go ostrzegł.

Światło przednich reflektorów omiotło pozostałych, którzy nadbiegali mu na spotkanie. Kaskił niósł dziewczynkę owiniętą w gruby, futrzany koc. Teig biegł powoli za nimi, ale przez cały czas wykręcał szyję w jedną stronę, spoglądając ku drzewom. Prentissowi nie podobał się wyraz jego twarzy, lecz i tak dopiero po chwili uświadomił sobie, co jeszcze było nie tak na tym obrazku.

Zaparkował auto i nie wyłączając silnika, wysiadł. Kaskił precyzyjnie przycisnął się obok niego, pakując dziewczynkę na tylne siedzenie i szepcząc do niej uspokajająco.

Prentiss zagroził Teigowi drogę.

– Co jest grane, Felix? Gdzie nasza autostopowiczka?

Ich autostopowiczka. Ta kobieta, Nari.

– Pilnuj ich – powiedział Teig, patrząc mu w oczy. – Muszę ją znaleźć.

Ruszył w mrok między domami, w stronę lasu.

– Znaleźć ją? – sarknął Prentiss i zawołał za nim: – Sama mówiła, żebyśmy się nie rozdzielali, a teraz...

Krzyczała.

Krzyczała i biegła ku nim, wyłoniwszy się z mroku.

Wyglądała jak postać ze snu. Oczyma wyobraźni Teig wciąż widział czeremchowy odcień jej włosów, ale w ciemnościach całkiem poczerniały. Nari mknęła przez śnieg niczym monochromatyczna fala, cała czarna, jakby ze świata wyssano wszelki kolor. Tylko jej twarz odbijała nieco światła – błądki poblask zmacony punkcikami rozszerzonych przerażeniem oczu.

– Do auta, do auta, wsiadaj do tego jebanego auta! – wrzeszczała do niego, jakby to on był przyczyną jej wściekłości.

Teig podzielał jej strach. Sam wyczuwał w Akucku aurę upiorności i zagrożenia. Przywodziła mu na myśl zaginioną kolonię Roanoke i statki widma dryfujące bez załogi, ale tu nie chodziło o jakąś legendę. Może i był wytracony z równowagi, lecz naoglądał się dosyć mistyfikacji, żeby szukać w pierwszej kolejności racjonalnych wyjaśnień. Widzieli odciski stóp, widzieli porzucone posiłki. Żadnych oznak walki. Mieszkańców nie uprowadzono – wstali z miejsc i opuścili swoje domy.

– Nari – powiedział, unosząc rękę, żeby ją spowolnić.

Odepchnęła jego dłoń, chwyciła za bicepsy i zmusiła go, żeby się odwrócił.

– Ruchy!

Zatoczył się i prawie upadł na śnieg, ale zaraz przyspieszył kroku.

– Cholera – warknął. – Przed czym ty... – „Uciekasz”, chciał dokończyć.

Ale ledwo zaczął zadawać to pytanie, spojrzał do tyłu i dostrzegł jakąś postać przemykającą w ich stronę wśród cieni.

Sunącą w oddali, lecz coraz bliżej.

– *Parnee* – powiedziała Nari, szukając odpowiedniego tłumaczenia. – Las!

Zupełnie skołowany, Teig uległ jej ponagleniom i ruszył do uaza. Jego wcześniejsze podejrzenie, że ktoś tu próbuje omamić iluzją iluzjonistę, nagle wróciło. Czy chciał w to wierzyć, czy nie, być może wszystko było częścią przedstawienia. To Kaskił zaproponował postój w Ołoncho, gdzie zobaczyli Nari pierwszy raz. Kobieta zjechała na pobocze drogi, którą mieli przejeżdżać, o czym Kaskił wiedział, bo innej nie było. Czy jej samochód w ogóle był zepsuty? Wydawało się to dość naciągane, ale gospodarce tego zapomnianego przez Boga i ludzi zakątka świata przydałby się zastrzyk finansowy, a gdyby Teigowi udało się stworzyć telewizyjny przebój o tym miejscu, z pewnością wszyscy mieszkańcy by na tym zarobili.

Czy zadaliby sobie tyle trudu? Czy byli wystarczająco zdesperowani? Wystarczająco sprytni?

Nari chwyciła go za ramię. Obejrzał się do tyłu i potknął. Chłód przenikał go do szpiku kości. Przy każdym wdechu powietrze parzyło płuca. Wnętrze auta wabiło go ciepłem. Odgłos pracującego silnika brzmiał jak wezwanie, ale Teig zdołał mu się oprzeć. Wyrwał ramię z uścisku kobiety. Kątem oka widział, jak Nari dobiega do samochodu, a Prentiss pomaga jej wsiąść do tyłu uaza, gdzie siedzieli już Kaskił i jego siostrzenica. Dziewczynka przyciskała buzię do szyby, wyglądając na zewnątrz, jakby to był iluminator statku na wzburzonym morzu – ale jej twarz pozostała bez wyrazu. Patrzyła na Teiga, a on na nią, lecz potem jej spojrzenie ześliznęło się z niego na ciemną postać idącą szybkim, zamaszystym krokiem przez śnieg, teraz już między domami, sześć metrów od ulicy.

– *Parnee* – wyszeptał Teig, smakując to nieznanne słowo. Powinien wsiąść do uaza, wynieść się stąd, ale ci wszyscy ludzie, którzy zniknęli... Przecież nie mógł tak po prostu zignorować tej tajemnicy. Czy to mogło być prawdziwe? Ta dziewczynka musiałaby brać w tym udział, a to by znaczyło, że jest doskonałą aktorką.

Czy Prentiss to filmował?

Szlag. Cokolwiek to było, musiał to mieć na filmie.

Parnee wkroczył na zaśniewaną ulicę i dopiero teraz Teig zauważył czarne smugi, które ciągnęły się za nim na nieskazitelnej bieli. Czarne... czy czerwone? Miał wrażenie, że prawdziwa barwa tych plam, jak czerwień włosów Nari, była mocno przyciemniona.

To nie były efekty specjalne.

– Kim ty, kurwa, jesteś? – ryknął Teig do *parnee*.

Mężczyzna zatrzymał się na ulicy i uniósł ociekający posoką kudłaty łeb zarżniętego wilka. Z zaciśniętej w pięść dłoni skapywała krew.

Dziewczynka w aucie zaczęła krzyczeć. Wrzeszczeć.

Prentiss ryknął ostrzegawczo.

Teig obrócił się w prawo i uniósł ręce w obronnym geście, ale czymkolwiek było to, co wyskoczyło z ciemnych uliczek między domami, nie dało się przed tym obronić.

Kształty poruszały się tak szybko, że w pierwszej chwili

Prentiss widział tylko cienie. Człowiek z zakrwawionym łbem wilka trzymał swe trofeum jak latarnię i potrząsał nim gniewnie, aż wokół bryzgały czarne krople. Zawołał coś i ulicą wstrząsnął porywisty wiatr. Mroźne wiry wzbłyły w powietrze śnieg oraz lód i zmieniły się w ruchome cienie, mroczne sylwetki, które trzymając się blisko ziemi, rzuciły się w stronę Teiga.

Prentiss odskoczył od samochodu, zostawiając Kaskiła, Nari i dziewczynkę samym sobie. Zza swojej kamery widywał rzeczy tak wspaniałe, że wzbudzały w człowieku prawdziwy respekt, ten przebłysk dezorientacji, kiedy musisz przywyknąć do myśli, że to, na co patrzysz, istnieje w świecie, który niby znasz od zawsze. Prentiss ujrzał ten wyraz w oczach

Teiga, gdy pędził w jego stronę.

Dezorientację, strach, wyparcie tego, co niemożliwe.

– Teig, cofnij się! – Chwycił przyjaciela za kaptur jego parki.

Ich oczy się spotkały. Smutek, zwątpienie, negacja.

Kątem oka Prentiss ujrzał, jak cienie spowalniają do sprężystego kroku drapieżnika. Miały coś w rodzaju futra, ale obraz jakby zafalował i przez ułamek sekundy Prentiss widział nie futro, lecz igły drzewa iglastego, kłujące i najeżone. Pieprzony Teig. Wiecznie trzeba go było ratować przed nim samym.

Uniósł przyjaciela, trzymając za kaptur i pasek, wykonał półobrót i pchnął go w stronę samochodu. Teig wydał okrzyk paniki, uderzył w ziemię jedną stopą, zatoczył się i gruchnął w uza ramieniem. Odbił się i upadł na kolano, ale Kaskił zaraz pomógł mu się podnieść.

Pierwszy cień wpił się w lewą nogę Prentissa, rozszarpując zębami grube warstwy chroniące go przed zimnem.

Prentiss obrócił się, sprawiając tym ruchem, że zęby wbiły się jeszcze głębiej, po czym zamachnął się prawą nogą i wpakował but prosto w brzuch napastnika.

Stwór zaskowytał, zawarczał i ukąsił jeszcze mocniej, aż kły drasnęły kość. Prentiss zawył z bólu, spojrzał na atakującą go bestię i po raz pierwszy ujrzał w niej coś więcej niż tylko cień. To, co wcześniej uznał za igły sosnowe, było w istocie ciemnym futrem i nagle namacalna rzeczywistość wróciła. Wilk znowu zatopił zęby w jego lewej nodze i szarpnął tak mocno, że Prentiss upadł. Rąbnął o drogę, aż stracił dech i jęknął, po czym obrócił się i zaczął okładać zwierzę pięścią. Ale kątem oka wciąż widział śmigające kształty i teraz już wiedział, czym są. To też były wilki.

Człowiek z lasu nie zbliżył się ani o krok, ale nadal dzierzył krwawiący wilczy łeb wysoko w górze. Odrzucił głowę do tyłu i wydał zawodzący okrzyk. Gdy zamknął usta, echo zawirowało w powietrzu, jakby stało się wiatrem. Wilki zastygły w bezruchu, a potem jeden po drugim zaczęły się obracać, wbijając ślepią w Prentissa. Ruszyły naprzód, z nisko opuszczonymi ogromnymi łbami i położonymi do tyłu uszami, obserwując go tak, jak drapieżniki zawsze obserwują ofiarę. Zamierzając ją zabić.

Echo umilkło. Wiatr zadął mocniej. Wilki skradały się ku niemu w milczeniu.

Za jego plecami rozległ się ryk silnika.

– Do cholery, Jack, jedziemy! – krzyknął Teig. – To się dzieje naprawdę!

Prentiss odwrócił się i ruszył ciężko do samochodu. Przez otwarte drzwi od strony pasażera ujrzał Nari za kierownicą. W jej oczach błyszczał szok, ale dłonie zaciskała na kółku, gotowa do jazdy. Mała Una siedziała pośrodku przedniej ławy, a puste miejsce obok niej czekało na niego. Drzwi od strony pasażera były otwarte, podobnie jak tylne, lecz ani Kaskił, ani Teig nie wsiadali do środka. Stali jakieś dwa metry od auta, machając do Prentissa i wrzeszcząc, żeby biegł. Zachciało mu się śmiać. Mógł rzucić się naprzód, mógł ciężko truchtać, ale przy jego masie ciała bieganie nie było już takie proste.

Masywny wilk uderzył w bok pokiereszowanej lewej nogi Prentissa. Cielsko trafiło w samo kolano, usłyszał chrzęst kości. Coś chrupnęło. Coś pękło. Zwalił się na ulicę, a głową uderzył o zamrożony śnieg. Gotując się ze złości i sycząc z bólu, Prentiss obrócił się i uniósł rękę, żeby odeprzeć atak wilków.

Kaskił i Teig już byli przy nim. Chwycili go pod ramiona i wspólnymi siłami postawili na nogi. Okaleczone kolano płonęło bólem, ale Prentiss zrobił krok. Bluznął wiązką najobrzydliwszych przekleństw, jakie znał, i oczy zaszyły mu łzami, ale zrobił krok.

Wilki rzuciły się na Kaskiła.

Dwa naraz. Potem trzeci. Kaskił upadł, uderzył o ziemię. Z impetem.

Krew trysnęła na śnieg i lód.

Prentiss przechylił się w lewo i zaczął się słaniać. Zastanawiał się, ile jest tych wilków. Jeśli to w ogóle wilki. Teig krzyknął i go podtrzymał, choć przy tym aż stęknął z wysiłku. Obaj osuwali się coraz niżej, kiedy Teig obrócił przyjaciela jak w jakimś tańcu. Prentiss grzmotnął w samochód, wgniatając biodrem karoserię tuż obok otwartych tylnych drzwi.

– Właż! – wrzasnął Teig. Chwycił za jego kurtkę, a potem szarpiąc i pchając, siłą wpakował go na tylne siedzenie uaza.

Trzasnął drzwiami i wspiął się na przednie siedzenie. Ledwo zamknął swoje drzwi, uderzyły w nie dwa wilki, rozwścieczone tym, że zwierzyna uciekła.

– Pomóż Kaskiłow! – ryknął do Nari. – Rozpędź je! Włącz klakson, reflektory!

Nari zaklęła, wrzuciła tryb jazdy i wcisnęła gaz. Terenówka skoczyła naprzód i obróciła się, ale opony

mocno trzymały się drogi. Światła reflektorów omiotły wilki obserwujące samochód nieustępliwym, chciwym wzrokiem. Kaskił próbował się podnieść, ale bestie szarpały go zębami. Z lewej strony jego twarzy zwisał płat skóry i mięśni. Z przeraźliwym krzykiem przewodnik rąbnął pięścią w ślepią i pysk wilka, który ukąsił go w lewe ramię. Z tyłu dopadł go kolejny napastnik, większy niż inne i mniej wyraźny, jakby nie do końca się zdecydował, czy chce być wilkiem, czy cieniem.

Chwycił szczękami prawą dłoń Kaskiła i oderwał ją szarpnięciem potężnego łba. Kaskił chwiejnie stanął na nogi i przez parę sekund wpatrywał się w strumienie krwi tryskające z postrzępionego kikuta, a potem wilki rzuciły się na niego, grzebiąc go pod falującą warstwą sierści i cieni. Był pasterzem, myśliwym, przewodnikiem, przestępcą, dawnym więźniem i kochającym wujkiem, ale żadna z tych ról nie przygotowała go na coś takiego.

– Rozjedź je! – Teig odwrócił się do Nari. – Oszczędź mu tego!

Ale Nari obróciła kierownicą i odjechała, uwożąc ich od ostatniego krzyku Kaskiła, od wilczej watahy i cieni, od opuszczonego domu, gdzie znaleźli dziewczynkę, która teraz siedziała między Nari a Teigiem na przedzie samochodu, milcząc po wydaniu dwóch okrzyków i nieruchomym spojrzeniem patrząc przed siebie, jakby brutalna śmierć wujka nie zrobiła na niej żadnego wrażenia.

Prentiss spojrzął za okno i zobaczył, że wilki odstępują od szczątków Kaskiła. Ich łapy zostawiały krwawe ślady na ośnieżonej drodze. Jeden z drapieżników przechylił łeb i wbił wzrok w mijające go auto – w Prentissa, prosto w oczy. Mężczyzna poczuł, jak wkrada się w niego dzikość, brutalność tej wilczej bestii. W trzewiach zakotłował mu się nowy głód, żądza krwi i Prentiss rozprostował palce, wiedziony instynktem, który go przeraził.

Poprawił się na swoim miejscu, a Nari pruć naprzód z piskiem opon, zostawiając opustoszałe miasto daleko z tyłu. Krew na nogawce podartych spodni zaczęła zamarzać. Rana po ugryzieniu pulsowała, jakby zęby bestii wciąż były w niej zatopione. Głęboko w nozdrzach czuł smród własnej krwi. Trzeba będzie zatamować krwawienie, i to szybko. Ale żył, a Kaskił leżał rozszarpany na drodze za nimi. Mała siostrzenica przewodnika trwała w milczeniu, gdy wywozili ją w nieznane.

Sycząc z bólu, Prentiss jeszcze raz obejrzał się przez ramię, szukając wzrokiem wilków. Człowiek z lasu już zniknął, jakby nigdy go tam nie było, ale wilki ściagały samochód, dopóki jeden po drugim nie zmieniły się z powrotem w cienie, a potem w obłoki czarnej mgły, które wiatr uniósł w stronę lasu, gdzie znikły w mroku.

Nari usiłowała utrzymać oczy – i auto – na drodze, ale z niepokojem zerkała na Teiga, który siedział przechylony do przodu, opierając się jedną ręką o deskę rozdzielczą, i odwracał się za siebie, aby wyjrzeć przez tylną szybę.

– Widzisz coś? – spytała niecierpliwie. – Gonią nas?

– Nie widzę, za ciemno – odburknął zdenerwowany.

Zerknęła przez ramię, ale szybę z tyłu zasnuwał woal szronu. Zresztą nawet gdyby była przejrzysta, mrok nocy i tak uniemożliwiłby stwierdzenie, czy są ścigani. Głowę Nari wypełniało dudnienie silnika, a świat materialny docierał do jej świadomości jak przez mgłę.

– To były wilki? – spytała, zirytowana, że ci faceci nie mówią w jej języku. Jasne, że to coś w ciemnościach wyglądało na wilki... „nie bądź głupia, to wilki, oczywiście, że to wilki”... ale wiedziała, że było to także coś innego.

– Kaskił... – zaczął Teig, wciąż oglądając się za siebie i prawie jej nie słuchając. – Nie mogę uwierzyć, że on... Widziałeś to?

– Oczywiście... – zaczęła Nari, ale on mówił do Prentissa, który półprzytomny leżał na tylnym siedzeniu i krwawił.

– Wiele widziałem – wychrypiął Prentiss. – Tylko nie wiem, jak to nazwać.

Nari skupiła się na drodze, starając się do nich nie krzyżeć.

– Mówiłam wam. Widziałam... *parnee*...

Teig rzucił jej spojrzenie.

– Czyli co tak właściwie? Faceta z odrąbanym łbem wilka? To był ten *parnee*?

Nari przyhamowała, żeby ostrożnie pokonać zakręt, po czym docisnęła gaz do dechy.

– *Parnee*. On jest... – Trudno było wyjaśnić, jak coś może być jednocześnie dwiema rzeczami naraz. – Szamanem. Ale też duchem lasu.

Teig zmarszczył brwi.

– Co to w ogóle znaczy?

Siedzący z tyłu Prentiss zaczął szybko oddychać, żeby pokonać ból w złamanym kolanie i zmasakrowanej nodze.

– Chryste, stary, to boli jak diabli. Słuchaj... ktoś musi wezwać policję, sprowadzić tu władzę. Kaskił nie żyje, a kto wie, co się stało z resztą tych ludzi.

Nari przestała ich słuchać. Ci dwaj byli dla niej kimś obcym, a dla siebie przyjaciółmi. Wspólnie przeżywali szok i łagodzili panikę dzięki wzajemnemu zrozumieniu, a Nari pozostawili samą sobie. Wcześniej okazywali jej życzliwość, ale teraz mogła polegać tylko na sobie.

Przez chwilę żałowała, że w ogóle się zatrzymali, by jej pomóc, ale oczywiście w przeciwnym razie już dawno zamarzyłaby na śmierć. Serce zabiło jej mocniej i wbiła wzrok w drogę, próbując dokonać odpowiednich obliczeń. Jeszcze trzy kwadransy dzielą ich od jej zepsutego SUV-a. A potem ile kilometrów do Ołoncho? Bar jest zamknięty, ale Timur i Sajaara nad nim mieszkają. Będą tam telefon, gorąca herbata, drzwi, które można zaryglować, żeby odciąć się od reszty świata. Czy wystarczy benzyny, aby tam dotrzeć? Spojrzała na wskaźnik i skreśliła ten punkt z mentalnej listy zmartwień. Mieli mnóstwo paliwa.

Uda im się.

„Uda mi się”, pomyślała.

Terenówka podskoczyła na koleinie. Nari niechcący potrąciła łokciem dziewczynkę. Prawie o niej zapomniała, o tym biednym, wstrząśniętym, zaledwie dziewięcioletnim dziecku. Siedząca między Nari a Teigiem Una wciąż była w szoku. Patrzyła prosto przed siebie, wytrzęsana na wybojach, ale poza tym pogrążona w całkowitym bezruchu. Głębiej jej wstrząsu, grozę psychicznych blizn musieliby określić psychologowie. Nari nie miała pojęcia, czego dziewczynka naoglądała się w miasteczku, że tak całkowicie zamknęła się w sobie. Zastanawiała się, czy widziała, jak zginął Kaskił, jak wilki rozrywały jej wujka na strzępy w śniegu. Una siedziała w aucie i już wtedy znajdowała się niemal w stanie katatonii. Być może zdołała uniknąć tego widoku, ale musiała słyszeć jego krzyki i odgłosy wilków, kiedy atakowały Kaskiła, rozszarpały go i zaczęły pożerać.

„A potem rozpląnęły się jak cienie”, pomyślała, oglądając ten obraz w myślach.

Niemożliwe. Nari wychowała się na ludowych podaniach, ale to były tylko bajki. Nawet jeśli naprawdę widziała tam *parnee*, był tylko człowiekiem. Nawet jeśli zabił wilka, odprawił rytuał i wykrzykiwał coś do nich, był tylko człowiekiem.

– Hej, mała – odezwała się cicho po jakucku, starając się zachować stabilność jazdy, kiedy zwracała się do Uny. – Nie martw się, okej? Będziemy bezpieczne. Z opiekuję się tobą.

Dziewczynka nie dała po sobie poznać, że usłyszała jej słowa, ale Nari pożałowała ich, ledwie wyszły z jej ust. Nie powinna niczego obiecywać tej dziewczynce. Oczywiście współczuła jej i chętnie by ją ochroniła przed dalszą traumą, gdyby to było możliwe, ale przecież miała własne życie. Jeśli dorastanie przy matce, której narcyzm i skłonność do manipulacji były jak emocjonalne więzienie, czegoś ją nauczyło, to tego, żeby nie ulegać przymusowi empatii. Nari szukała wolności przez całe życie, najczęściej bez skutku. A teraz wylądowała w przerażającej sytuacji z obcymi ludźmi i nie mogła pozwolić sobie zacząć myśleć, że jest im coś winna – przynajmniej nie tyle, żeby zaryzykować własne bezpieczeństwo.

Znalazła się tu dzisiaj, w tym miejscu i czasie, czystym przypadkiem, ale kiedy tylko skontaktują się z jakimiś władzami, a jej samochód znów będzie na chodzie, pojedzie na północ. Do domu. Choćby złożyła tej dziewczynce obietnicę.

Una siedziała z oczami utkwionymi przed siebie, z dłońmi na kolanach. Unosząca się i opadająca klatka piersiowa świadczyła, że dziewczynka oddycha, bo gdyby nie to, wyglądałaby jak wyjątkowo przekonujący manekin. Coś w wyrazie jej twarzy – może sposób, w jaki marszczyła brwi, albo układ ust – sprawiało, że wyglądała tak, jakby zaraz się miała rozpląkać, a jednak w jej oczach nie było łez.

Ale przecież miała zaledwie dziewięć lat. Jej wujek właśnie został zabity, a reszta rodziny zniknęła. Skoro więc Nari złożyła jej obietnicę, to – choćby i niechętnie – zostanie z nią, dopóki nie będzie pewna, że obie są bezpieczne.

Ludmiła miała u prawej dłoni tylko trzy i pół palca. Odmrożenie pozbawiło ją fragmentów ciała i kości, a na twarzy i szyi pozostawiło trwałe blizny. Ludzie zauważali brakujące palce u rąk, ale jakoś nigdy nikomu nie przyszło do głowy, żeby zapytać o te u nóg. Straciła trzy u lewej stopy i jeden – ten mały – u prawej. Pod naciskiem siostrzeńca Alfryda co roku, w pierwszym tygodniu czerwca, chodziła do lekarza. Okłamywała go, choć był jedyną osobą, która kiedykolwiek widziała ją bez skarpetek. Twierdziła, że palce u nóg odmroziła sobie w tym samym czasie co półtora palca u ręki. Nie uważała się za kobietę szczególnie dumną, ale wstydziłaby się przyznać, że te wszystkie części ciała straciła w wyniku czterech odrębnych wypadków.

Lekarz, rzecz jasna, radził jej nie wychodzić z domu. Przebywać w cieple.

Nic nie rozumiał.

Alfryd też nie rozumiał, ale on już od dawna nie próbował jej doradzać ani kontrolować. Ludmiła zawsze mówiła „tak”, zgadzała się z jego radą, a potem wychodziła i robiła to, na cokolwiek miała ochotę, nie zważając na jego obawy. Zeszłej zimy odczekał do lutego, zanim wreszcie stawił jej czoło, z twarzą poczerwieniałą z irytacji, opuszczonymi wzdłuż ciała rękami i zaciśniętymi pięściami, niczym dziecko w napadzie złości.

– Kłamię, żeby ci było łatwiej, Alfie – wyznała. – Nie chcę cię martwić.

– A ja nie chcę, żebyś umarła, ciociu.

Ludmiła ujęła jego podbródek w obie dłonie, jak to robiła kiedyś, gdy był małym chłopcem, a nie czterdziestotrzyletnim pracownikiem budowlanym, który miał już własnych synów.

– Obiecuję, że będę ostrożna – powiedziała. – Ale muszę to robić. Twoja babcia by na to nie pozwoliła za życia, więc musiałam poczekać, aż będę stara. Nie wiem, ile czasu mi jeszcze zostało na ziemi, ale nie mam go już wiele do stracenia.

Alfryd ujął jej dłonie w swoje i spojrzał na nią tym samym błagalnym spojrzeniem, którym jako mały chłopiec zawsze próbował wyżebrać od niej więcej słodyczy.

– W środku zimy? Na pewno nie trzeba...

Wtedy Ludmiła się rozżłościła i zniecierpliwiła.

– Oni umarli zimą. Latem ich duchy śpią. Już ci to wszystko tłumaczyłam. Nie ma sensu udzielać błogosławieństwa, kiedy mnie nie słyszą.

Uważał, że zwariowała, oczywiście. Drogi Alfryd. Ale oprócz zawleczenia jej do własnego domu – już i tak zbyt małego dla jego rodziny – i zamknięcia jej na cztery spusty cóż mógł zrobić, jeśli nie ufać jej

obietnicom, że będzie ostrożniejsza?

Dziś wieczorem jednak, gdy była sama na drodze, Ludmiła mogła się przyznać przed sobą i przed duchami, że boi się zimna. Przebywanie w tym miejscu sprawiało ból. Bolało ją całe ciało, stawy i kości, czuła się tak, jak gdyby to się zdarzyło wczoraj. Chociaż zakryła wszystko z wyjątkiem oczu, blizny na twarzy i szyi bolały tak, jakby rany były świeże, jakby ktoś właśnie odciął jej kawałek policzka czy pół ucha albo zdrapał skórę tuż pod szczęką.

Mimo to podśpiewywała sobie cicho, pochłonięta swoim zajęciem. W końcu to był tylko ból. A czymże jest ból w oczach Boga? Ból jest ludzki. Przynależny ciału. Jej dzieło należało do sfery ducha i życia po śmierci.

„Dość odmrożeń – powiedział Alfie pod koniec tamtego sporu zeszłej zimy. – Czy ja proszę o zbyt wiele?”

Ludmiła obiecała, że się postara. Więcej nie mogła zrobić.

Jej samochód buchał spalinami w czerwonym blasku tylnych reflektorów. Niektórzy ludzie tęsknią za ciepłymi światłami domu, ale jej właśnie ten widok dodawał otuchy. Ludmiła brnęła wzdłuż drogi w stronę samochodu, do pokonania zostało jeszcze prawie sto metrów. Miała grube rękawice, a co noc używała też ogrzewaczy do rąk. Palce, które jej pozostały, musiały być zręczne, żeby mogła machać cienkimi gałązkami jodły i jałowca, kiedy szła wzdłuż traktu, a także za każdym razem, gdy przystawała, by się modlić.

Złą miały śmierć, wszystkie te duchy. Ohydną, często brutalną, niewypowiedzianą smutną. Mówiło się, że to Droga Kości – i tak, kości wciąż tam były, pod wieczną zmarzliną, ale tym, co Ludmiła czuła, odkąd jako młoda dziewczyna pierwszy raz przejechała tą drogą, był czysty smutek. Duchy tych ludzi utknęły we mgle boleści, nigdy niebłogosławione, nigdy niepochowane, jak należy.

Od nocy, w której zmarła jej matka, Ludmiła wychodziła na siedem, osiem godzin każdego dnia, kiedy temperatura była wystarczająco niska, by jej modły dotarły do umarłych. Modliła się, idąc wschodnią stroną drogi i oddalając się od samochodu na osiemset metrów, a potem wracając do jego ciepłych świateł zachodnią stroną. Osiemset metrów na jeden raz, dziesięć przystanków dziennie, całe osiem kilometrów, zanim nocą kładła głowę na poduszce.

– W błogosławionym odpoczynku daj wieczny pokój, Panie, zmarłym sługom Twym i uczyni im wieczną pamięć – recytowała, szcękając zębami z zimna, mimo szala i kominiarki. – Wieczna pamięć. Wieczna pamięć.

Ludmiła przystanąła. W ciągu lata odzyskała znaczną część sił, ale odkąd wróciło zimno, musiała zatrzymywać się podczas pracy coraz częściej. Czasem nie mogła dokończyć pierwszego wersu pieśni albo kilku pierwszych linijek recytowanej modlitwy, nie przystanąwszy dla złapania oddechu. Ignorowała to, bo musiała; pokonała już setki kilometrów, recytując modły, ale przed nią wciąż była długa droga.

– Nie dzisiaj – mruknęła do siebie i zachichotała.

Tylne reflektory jej samochodu jarzyły się w mroku i Ludmiła ruszyła dalej w ich stronę. Chciała wsiąść do środka, złapać oddech i wrócić do domu, ale wiedziała, że tego nie zrobi. Może dziś wieczorem nie przejdzie wszystkich tych setek kilometrów, ale jeszcze kilka musiała, bo gdyby tego nie zrobiła, trzeba by je dołożyć do jutrzejszego odcinka.

Płuca bolały ją przy każdym lodowatym oddechu. Z wiekiem odczuwała chłód coraz mocniej, coraz głębiej. Bez względu na to, ile warstw ubrań miała na sobie, jak ciepłe włożyła okrycie i buty, ziąb przenikał ją do szpiku kości. Wzmagający się wiatr ciskał w jej stronę kryształki lodu i płatki śniegu podrywane z poboczy. Mała zawierucha tańczyła przez chwilę wokół jej butów, po czym porywana podmuchem, ulatywała pod niebo.

Ludmiła się uśmiechnęła. Jej matka zawsze karciała ją za puszczanie wodzy fantazji. Babcia natomiast wręcz ją do tego zachęcała. W tej części świata wierzenia bardzo się zmieniały z pokolenia na pokolenie. Babcia była *udagan*, szamanką białej tradycji, i nauczyła Ludmiłę wszystkiego, co sama wiedziała o *iczczi* lasu, czyli żywych duchach kamieni i drzew oraz leśnych istot – o samej duszy ziemi. W pokoleniu matki Sowici zniechęcali nie tylko do szamanizmu, ale też do wszelkiej religii, więc jako dziewczyna Ludmiła uczyła się od obu kobiet, które otaczała czią. Szamanizm animistyczny brzmiał wiarygodnie i trafił do jej serca, podobnie jak mitologia chrześcijańska, którą poznała w młodości, odwiedzając domy dwóch najbliższych przyjaciółek.

Z tego, co wyczytała, dobre piętnaście procent albo i więcej mieszkańców Jakucji nadal praktykowało

szamanizm i tak się składało, że Ludmiła lubiła tych ludzi bardziej niż innych. Wyznawała prawosławie, ale w tej części świata te dwie religie mieszały się i przenikały. Niedźwiedzie i świętych darzono równie wielkim szacunkiem, a sam Chrystus zlewał się z Jasnym Twórcą szamanizmu. Choć więc babka wołałaby, aby Ludmiła trzymała się animizmu i modlitw szamańskich, ona wybrała własną wiarę, która dodawała jej siłę i ją rozgrzewała. Ani utrata kolejnego palca, ani nawet zamarznęty szpik nie zdołałyby jej powstrzymać.

Znów przystanąła, jakieś sześć metrów za samochodem. Rozłożyła ramiona, obracając dłonie wnętrzem ku górze, pochyliła głowę i zaczęła recytować modlitwę za zmarłych leżących pod powierzchnią drogi. Oczyma duszy widziała tam ich kości, mogłaby opisać zarysy kręgosłupów i obojczyków. W ciemnych, pustych oczodolach dostrzegała iskierki świadomości, kiedy jej modlitwy budziły pogrzebanych, kołły ich, upewniali, że mogą znaleźć wieczny odpoczynek, którego niegdyś im odmówiono.

Ludmiła uśmiechnęła się, słysząc ich szepty.

– Tak jest, przyjaciele – powiedziała. – Bądźcie błogosławieni. Porzućcie wszelkie przywiązanie do spraw doczesnych. Pan na was czeka.

Przejdźcie z tego planu istnienia na inny mogło zająć im zaledwie parę chwil albo wiele miesięcy, ale w końcu to się stanie. Dobroć, modlitwa i szczerza wiara były wszystkim, czego potrzebowali, by znaleźć ukojenie.

Każdego dnia, przy każdej modlitwie Ludmiła pragnęła płakać nad duszami, które wyzwalała, ale z jej oczu nie płynęły łzy. Jakby zamarzły.

Z uśmiechem na ustach podeszła do samochodu, wsiadła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Odpoczywała przez parę minut, zanurzona w ciepłe generowane przez ledwo dyszący system ogrzewania. Twarz ją piekła, stare ślady odmrożeń dawały się we znaki, ale ból, który przenikał jej kości, zelżał.

W końcu spojrzała na wskaźnik poziomu paliwa, stwierdziła, że ma go mnóstwo, i wrzuciła tryb jazdy. Osiemset metrów, nie więcej. Gdyby było cieplej, mogłaby odprawiać swoje modły na dwukrotnie dłuższych odcinkach, ale zimą duchy były o wiele bliżej świata.

Ludmiła znów zjechała na pobocze, aż opony od strony pasażera znalazły się na śniegu, ale jeszcze przez kilka minut wygrzewała się w ciepłe, zanim otworzyła drzwi i wysiadła.

– W porządku, kochani – powiedziała i ruszyła pieszo w kierunku, z którego przyjechała. – Czas się przebudzić z tego snu. Czas dostąpić łaski, której tak długo wam odmawiano. Pan na was czeka.

Idąc, śpiewała i modliła się, a ziąb jak zawsze wrzynał się w jej kości.

Dziewczynka pochyliła się, sięgnęła do kratki nawiewu i skierowała strumień ciepłego powietrza na Teiga. To nie był gwałtowny ruch, ale sam fakt, że zmieniła pozycję, sprawił, że mężczyzna utkwiał w niej spojrzenie. Niczym baletnica z pozytywki zastygła w bezruchu równie nagle, jak się poruszyła.

Teig nie spuszczał z niej oka.

– Hej, mała. W porządku? Słyszysz mnie?

Siedząca na miejscu kierowcy Nari poruszyła lekko kierownicą, żeby skrócić tak, jak prowadzi droga. Była rozkojarzona, odkąd minęli jej SUV-a, i sprawiała wrażenie, jakby usiłowała uciec nie tylko od grozy czającej się w tamtym miasteczku, ale także od ludzi, z którymi związała ją los. Teig to rozumiał. On też czułby się bezpieczniej sam niż z tą dziewczynką, która przeżyła to wszystko, i z Prentissem, który krwawił na tylnym siedzeniu, stale przypominając mu o tym, co się stało. Nari przeniosła spojrzenie z pasa drogi rozjaśnionego reflektorami uaza na pustą twarz dziewczynki oświetloną blaskiem z deski rozdzielczej.

Teig popatrzył na kobietę.

– Chcesz spróbować do niej dotrzeć?

Nari dała Unie szturchańca, nie zdejmując dłoni z kierownicy. Odezwała się do niej w ich języku, który dla Teiga brzmiał jednocześnie gardłowo i melodyjnie. Pomyślał, że jeśli kiedykolwiek uda mu się zrealizować *Życie i śmierć na Drodze Kości*, to będzie chciał nauczyć się kilku zwrotów.

„O czym ty, do cholery, myślisz? To koniec. Pieprzony koniec”.

Kaskił zginął na ulicy, rozszarpany przez wilki, Prentiss krwawił, gorączkował i zwił się z bólu na tylnym siedzeniu, a wszyscy mieszkańcy miasteczka zniknęli, oprócz tej jednej dziewczynki. Pomysł kręcenia czegokolwiek wydawał się teraz bardzo nierealny, ale Teig nie mógł się opanować. Przez ostatnią godzinę próbował wymyślić sposób na uratowanie tej wyprawy, znaleźć jakiś punkt zaczepienia, który pozwoliłby mu jednak coś nakręcić. Może nie serial, lecz film dokumentalny. Kto wie? Ale jakkolwiek próbował do tego

podejść, wiedział, że jego wielkie plany co do Traktu Kołymskiego leży w gruzach.

Straci wszystko. Firma padnie.

Obudziła się w nim jednak dawna desperacja. W tych wilkach było coś nienaturalnego – albo to, albo miał halucynacje. A tamten facet z odciętym łbem wilka... mógł być po prostu szaleńcem, ale on też nie wyglądał normalnie. Z powodu ciemności Teig widział go słabo, lecz typ wydawał się dziwny i nienaturalnie wysoki. Czy nie wystawało mu coś z głowy, jakby nosił jakąś koronę?

W Teigu cynizm walczył zaciekle z wewnętrznym głosem, który mówił mu, że w końcu natknął się na coś nadnaturalnego. Na jakąś mroczną magię, choć już samo to słowo wywoływało rechot cynicznej części jego natury. Teig musiał się oprzeć pokusie, żeby nie zawrócić.

„Nie bądź głupi. Nie bądź bezduszny”.

Kaskił nie żył. To nie była iluzja. Podejrzenia, że to wszystko stanowiło część jakiejś inscenizacji, zupełnie się zatarły. Teraz czuł niesmak z powodu swoich samolubnych myśli. Jego najlepszy przyjaciel potrzebował pomocy medycznej, i to jak najszybciej. Ile krwi już stracił? Jak bardzo pokiereszowały go te wilki? No i to dziecko pozbawione rodziny, która mogłaby się nim zaopiekować.

Teig jeszcze raz spojrzął na dziewczynkę, żeby się przekonać, czy w ogóle mruga, czy skupia wzrok na czymkolwiek. Wydawała się całkowicie pogrążona w katatonii, poza tą chwilą, kiedy gorący nawiew rozdrażnił ją na tyle, że przekierowała go na bok. Teig wiedział, że Una prawdopodobnie nie rozumie angielskiego, ale ignorowała też Nari.

– W porządku, mała – powiedział. Chciał ją otoczyć ramieniem, żeby jej dodać otuchy, ale wolałby jej nie przestraszyć. – Pomogę ci.

Spojrzał w okno, w mrok. Przez moment wpatrywał się w swoje odbicie niewidzącym wzrokiem. Oczyma duszy oglądał tamten dzień dawno temu, ten z vanem i szczeniaczkiem, kiedy ostatni raz widział siostrę. Zawiódł ją wtedy, a potwór, który ją porwał, bestialsko ją zamordował. Spalił. Zrobił jej różne rzeczy, o których matka nigdy nie pozwoliła mu się dowiedzieć, ale które same cisnęły mu się do głowy.

„Nie tym razem. Tego dziecka nie zawiodę”.

– Babcia – powiedział na głos.

Nari zacisnęła dłonie na kierownicy i rzuciła mu szybkie spojrzenie.

– Co?

– Stacja benzynowa, na której spotkaliśmy się z Kaskilem, jest jakieś dwie godziny drogi stąd. Właścicielką jest prababcia tej małej. Możemy ją tam zawieźć.

– Okej. To dobrze – odparła Nari.

Prentiss zakaszłał na tylnym siedzeniu, żeby odchrząknąć.

– Nie chcę sprawiać kłopotu, ale krwawię w chuj, a dwie godziny to... długo.

– Za pół godziny będziemy w Ołoncho – powiedziała Nari. –

Tam zatrzymamy krwotok. Będą mieli...

Teig widział, że szuka odpowiednich słów, ale zrozumiał sedno.

– Bandaże. Apteczkę.

– Tak. To. I whiskey. Bardzo bym się napiła whiskey.

Prentiss zaśmiał się i zakaszłał.

– Ja też, kochana. Ja też.

Po raz pierwszy, odkąd uciekli z Akucka, Teig poczuł, że napięcie zaczyna opadać.

– Widzieliśmy cię tam. W Ołoncho, znaczy się.

Nari zerknęła na niego z ukosa.

– Moja przyjaciółka Sajaara i jej mąż są właścicielami.

– Doskonałe reniburgery – powiedział Prentiss. Zmusił się do śmiechu, po czym jęknął z bólu i przeklął pod nosem.

– Nie wiesz, czy bywa tam policja? Może w pobliżu jest posterunek? – zapytał Teig.

Nari parsknęła śmiechem.

– Myślisz, że jesteś w Ameryce? Że policja jest na każdym rogu? Mamy kilku policjantów. Być może drogowych, ale akurat nie tu.

Teig spojrzął na siedzącą między nimi dziewczynkę, ale ona wciąż wyglądała na zatopioną w jakimś

wewnętrznym świecie, w którym nie miało znaczenia, co dzieje się wokół niej.

– A telefon? – spytał Teig. – Żeby zadzwonić po pomoc?

– Mają telefon – odparła Nari. – Wezwiemy kogoś.

Prentiss zaczął szybciej oddychać, walcząc z bólem, poza tym jednak umilkł. Teiga ogarnęło poczucie winy. Zastanawiał się, czy nie powinni byli zatrzymać się wcześniej i spróbować mu jakoś pomóc, ale przecież dopiero co widzieli, jak Kaskił umierał na ulicy, w samym środku tego opustoszałego i upiornego jak diabli miasteczka. Wciąż byli na haju od strachu i adrenaliny, których poziom dopiero teraz zaczynał opadać.

– Będzie dobrze, bracie – powiedział Teig, oglądając się na przyjaciela.

Prentiss dał radę tylko kiwnąć głową.

Teig się uśmiechnął, ale pomruk silnika wwiercał się w jego mózg, przyczyniając się do bólu głowy, który miał być tylko gorszy. Siedząca między nim i Nari Una zaczęła cicho nucić. Wydawała niski, rytmiczny dźwięk niewiele różniący się od odgłosu forsowanego silnika.

– Hej – odezwał się z tyłu Prentiss tak słabym głosem, że prawie zginął wśród warkotu terenówki. Odchrząknął i powiedział głośniej: – Teig, stary... Jezu, Teig, wyjrzyj przez okno.

Z boku, na ośnieżonym wzgórzu, ujrzał wilki, które biegły na równi z uazem, ledwie widoczne w mroku na skraju lasu. Mknęły między drzewami, znikwały i pojawiały się w nocnych ciemnościach, lecz o pomyśle nie było mowy.

Ale to przecież nie mogły być te same wilki. W żadnym razie.

– Dodaj gazu – powiedział.

Nari zbladła, zerknąwszy za okno. Wdepnęła pedał gazu, aż samochód skoczył naprzód i grzmiał przez koleiny w drodze. Teig obserwował biegnące bestie i nagle przeszło go straszne podejrzenie, lęk, że nie pomoże im żadna prędkość. Wilki ich tropiły. Polowały.

Autem zarzuciło, kiedy Nari brała zakręt. Dziewczynka przechyliła się w bok i oparła o Teiga, ale nie wyciągnęła szyi ani nie odezwała się choćby słowem.

Wilki biegnęły przez oszroniony las, ciche i zimne.

W mieszkaniu nad Ołoncho stał żelazny piecyk opalany drewnem, w którym trzaskał ogień, rozciągając po sypialni blask i ciepło. Sajaara siedziała w wytartym, wygodnym starym fotelu, okutana kocem i pochłonięta powieścią Olgi Grushin, dość zaskakującą jak na tę autorkę. Uwielbiała jej twórczość, ale ta mroczna, dziwaczna historia stanowiła wręcz literackie odrodzenie Grushin.

Przeważnie była bardzo zadowolona ze swojego życia z Timurem, którego kochała i z którym prowadziła bar. Nigdy nie byli aż tak zajęci, by nie mieć czasu się pośmiać albo potańczyć w kuchni, choć kucharz przewracał oczami na ten widok, a przy tym ruch w barze był wystarczający, żeby nigdy się nie nudzili. Zawsze było coś do zrobienia, zawsze było z kim porozmawiać. Jednak od czasu do czasu któraś z uwielbianych przez Sajaarę książek wzbudzała w niej niespodziewane pragnienie, aby znaleźć się gdzie indziej i być kimś innym. Grushin często tak na nią działała. Sajaara uważała to za ironię losu, bo gdyby Timur postawił na swoim, przenieśliby się do Moskwy już wiele lat temu. Tęsknił za większym chaosem miejskiego życia, ale jej wystarczały spokój, dobra książka i piecyk na drewno.

Panujący w salonie spokój zakłócił jakiś nieoczekiwany dźwięk. Mieszkanie nie było duże – dwie sypialnie, łazienka, niewielka kuchnia i salon z kanapą oraz wygodnymi, wytartymi fotelami. Na ścianie wisiał płaski telewizor, ale żadne z nich nie interesowało się zbytnio tym, co mogliby w nim obejrzeć. Ona miała swoje książki, a Timur swoją gitarę. Po zamknięciu baru, gdy robiło się pusto, sprząтали salę, a potem wspinali się po schodach do mieszkania, brali prysznic –

wspólny, jeśli mieli dość sił, żeby się kochać – i rozsiadali się wygodnie, by rozkoszować się ciszą i spokojem. W zimowe poranki sypiali nieco dłużej, bo najwcześniejsze dostawy docierały do nich o wpół do dziesiątej, a klienci nie pojawiali się w Ołoncho przed południem.

Sajaara włożyła palec w książkę, słuchając, jak Timur gra w innym pokoju. Miał piękną akustyczną gitarę, prawdziwe dzieło sztuki i jedyną zachciankę, której pofolgował. Kosztowała prawie tysiąc dolarów, a Sajaara nawet nie mrugnęła okiem. Jej ukochany mąż nigdy o nic nie prosił, a zasługiwał na wszystko, co najlepsze na świecie. Chciała, żeby miał tę gitarę, żeby nauczył się każdego pięknego utworu, każdej melodii, którą kochał – jak piosenka *Milion alyh roz*, którą grał właśnie teraz. Zgodziłaby się na wszystko, byle go uszczęśliwić.

Na wszystko poza przeprowadzką do Moskwy. To nie wchodziło w rachubę.

Wokół Ołoncho powstała mała społeczność. Oprócz baru i warsztatu z dystrybutorem paliwa stało tam dwanaście szarych, pudełkowatych domów, przysadzisty budynek służący jako przydrożny zajazd dla ciężarówek i minimarket. W okolicy i w samym Ołoncho mieszkało trzydzieści jeden osób – plus dwie wiosną, gdy przyjeżdżały bliźniaki Niny Volkov – a Sajaara lubiła prawie wszystkich. Większość ludzi nie zostawała tu długo, bo na tym odludziu dostawali lekkiego fioła albo też mieli dosyć trudności z zaopatrzeniem w artykuły, do których był nieograniczony dostęp w mieście. Sajaara westchnęła i znów zatopiła się w lekturze, akurat kiedy jej mąż zaczął grać inną piosenkę. Powolną, niemal pogrzebową wersję *Purple Rain Prince'a*, która zawsze budziła w niej mieszankę smutku i szczęścia, jak wspomnienie utraconej miłości. Timur był dobrym człowiekiem. Miała tylko nadzieję, że zostanie.

W piecyku przesunęły się ze stukiem polana. Kilka iskier wleciało nad czarną, żelazną kratę i zatańczyło w powietrzu. Obserwowała je uważnie, aby nie zaprószyły ognia. Kiedy śledziła wzrokiem te drobinki, do jej uszu dotarł jakiś odgłos. Zmarszczyła brwi i przechyliła głowę w bok. Dźwięk zmieszał się z trzaskaniem ognia i muzyką Timura, ale szybko zmienił się w natarczywe trąbienie klaksonu, naciskanego raz po raz.

– Skarbie?! – zawołała, wstając z fotela i odkładając książkę. – Słyszysz to?

Muzyka ucichła. W powietrzu unosił się jeszcze ostatni akord.

– A co mam słyszeć?

– Przyjdź tu!

Sajaara podeszła do okna. Krawędzie szyb były oszronione, ale na każdej pozostała niewielka przezroczysta przestrzeń. Kobieta przycisnęła czoło do szkła i skierowała wzrok w dół, na ulicę. Okno było tak zimne, że od dotykania go skóra aż bolała.

– Słyszę klakson. Nerwowy, jakby się coś stało.

Spojrzała w prawo i w lewo, starając się lepiej przyjrzeć warsztatowi i domkom skupionym za Ołoncho.

Timur położył jej dłoń na ramieniu, próbując odsunąć ją na bok, żeby sam mógł wyjrzeć przez okno.

– Pewnie ktoś jest ranny. Musimy...

Sajaara uciszyła go, unosząc rękę. Odsunęła się o trzy, cztery centymetry od szyby, bo już nie musiała patrzeć na ulicę w dole. Na głównej drodze ujrzała światła reflektorów pędzącej w ich stronę terenówki. Klakson trąbił jeszcze głośniejszy i jakby natarczywiej, a samochód zaczął zwalniać przed zjazdem. Jego tylne koła wpadły w poślizg.

W czerwonym blasku światła stopu ujrzała jakiś mały kształt, który sadził susy za uazem.

– Co, na Boga? – wyszeptał Timur tuż nad jej ramieniem. Odwróciła się od okna i chwyciła go za rękę.

– Szybko!

Teig klęczał na siedzeniu, jedną ręką opierając się o deskę rozdzielczą, kiedy skręcili w wąską drogę dojazdową do Ołoncho. Terenówka podskoczyła na koleinach. Teig uderzył głową w dach i podparł się, żeby nie wpaść na Unę. Dziewczynka zakołysała się przy poślizgu i przybliżyła do niego prawie tak, jakby szukała ochrony, ale on wiedział, że był to wyłącznie skutek pędu.

– Nie świeci się – powiedziała Nari i znowu zatrąbiła. Dźwięk przypominał bardziej syrenę niż klakson.
– Nigdzie się nie świeci!

Teig odwrócił się i spojrzał przez przednią szybę.

– Na najwyższym piętrze. W jednym oknie jest jasno!

Ledwo to powiedział, we wnętrzu baru błysnęły światła. Aż mocniej zabiło mu serce. Potrzebowali schronienia: ścian i solidnych drzwi, żeby odgrodzić się od tego czegoś, co ich ścigało. Powtarzał sobie, że to tylko wilki, ale przecież nadążały za uazem przez ponad trzydzieści kilometrów i wycofały się dopiero w ostatnich dziesięciu minutach.

Znów się odwrócił i pochylił, żeby jeszcze raz spojrzeć nad siedzeniem przez tylną szybę. Coś tam wciąż się poruszało, daleko za nimi. Większość tych pędzących cieni została wśród drzew, ale dwa wypadły na drogę. To pewnie jednego z nich widział teraz jakieś siedemdziesiąt metrów z tyłu; nie sadził już susów, tylko jakby płynął wzdłuż drogi. Był ledwo widoczny w ciemności, ale nadal ich ścigał.

Nadal polował.

Znowu wpadli w koleinę. Prentiss jęknął.

Teig odwrócił się całkiem do tyłu, przytrzymał się jedną ręką, a drugą wyciągnął, by ścisnąć dłoń przyjaciela. Prentiss otworzył oczy, ale były zapuchnięte, jakby miał w żyłach za dużo whiskey, a nie za mało krwi.

– Dupek – wychrypiał.

– Masz rację – zgodził się Teig. Skoro ten facet potrafił żartować... albo się złościć, bo może nie żartował... to znaczy, że wciąż był z nimi. – Zbierz wszystkie siły, jakie masz, Jack. Będiesz ich potrzebował za kilka...

Nari wdepnęła hamulec. Teig grzmotnął plecami w deskę rozdzielczą, a głową w przednią szybę. Prentiss krzyknął z bólu, zanim Teig zdał sobie sprawę, że ciągle trzyma przyjaciela za rękę, więc szarpnięciem musiał go pociągnąć za sobą. Prentiss aż wybałuszył oczy, a jego głowa opadła na bok; był ledwo przytomny po tym wstrząsie.

– Szybciej! – warknęła Nari. Otworzyła drzwi i praktycznie wyskoczyła z auta, a potem odwróciła się, by odpiąć dziewczynce pas bezpieczeństwa.

– Chyba... chyba nic mi nie jest – powiedział Teig, mrugając, wciąż oszołomiony. Dotknął tyłu głowy, poczuł lepką wilgoć, która mogła być tylko krwią, po czym obejrzał się za siebie na przednią szybę poprzecinaną pajęczynką pęknięć w miejscu, w które uderzył głową.

– Teig! – krzyknęła Nari.

Już odpięła Unie pas bezpieczeństwa i teraz usiłowała przyciągnąć do siebie katatoniczną dziewięciolatkę. Teig otrząsnął się, próbując się pozbierać, ale podniósł Unę i wypchnął ją z auta, prosto w ramiona Nari. Kobieta zatrzasnęła drzwi od strony kierowcy, a Teig, wygramoliwszy się z samochodu, zrobił to samo po swojej stronie.

Za plecami usłyszał głosy: Nari i chyba jej koleżanki kelnerki. Może także barmana. Nie miało to znaczenia. Teig spojrzał w stronę drogi i zobaczył tam dwa wilki. Były za duże, miały za długie pyski, a ich ciała znajdowały się za nisko nad ziemią. Łapy nie powinny były nieść ich tak szybko, a jednak się zbliżały. Głodne. Ich ślepia lśniły bielą w ciemności niczym punkciki po wbiciu szpilek w materię świata.

Nawet kiedy wilki skręciły w wyboistą drogę dojazdową do baru, ich łapy nie robiły żadnego hałasu. A mimo to Teig słyszał ich oddech, choć były oddalone o prawie sześćdziesiąt metrów, pięćdziesiąt, czterdzieści pięć. Słyszał, jak dyszą i jęczą z wysiłku, co czasem brzmiało tak, jakby się śmiały.

Szarpnięciem otworzył tylne drzwi. Prentiss przytrzymał się ich obramowania i już częściowo zwłókł się z tylnego siedzenia, zanim Teig zdążył wyciągnąć rękę, żeby mu pomóc. Jeszcze przed chwilą był na wpół nieprzytomny, ale teraz wsparł się na Teigu i obrócił, aby postawić zdrową nogę na wiecznej zmarzlinie.

Gdy pociągnął za sobą drugą, tę pokiereszowaną, z ust wyrwał mu się krzyk, który przeszył powietrze. Prentiss obnażył zęby w grymasie bólu, stojąc na jednej nodze. W świetle lampy sufitowej Teig dostrzegł rozmazaną na tylnym siedzeniu krew, która zbierała się w zagięciach. Wysuwając nogę, Prentiss zostawił za sobą szeroką smugę czerwieni, ale to nie powstrzymało go przed zatrzaśnięciem drzwi.

– Ruchy! – ryknął.

Teig posłuchał. Widział, że wilki są coraz bliżej. Trzeci wyszedł z lasu na północ od baru. Teig zarzucił sobie ramię Prentissa na szyję, wdzięczny, że ten wielki facet może jeszcze skakać na jednej nodze. Kolano musiało być złamane, zadane przez wilki rany krwawiły mocno, a jednak jakimś cudem zebrał siły, by ruszyć w stronę baru, nie ściągając ich obu na ziemię swoim ciężarem.

Z dalszej części drogi dojazdowej dobiegały jakieś okrzyki. Jazgot klaksonu obudził kilkoro mieszkańców tej niewielkiej osady. Przed najbliższym pudełkowatym domem rozblęskło jasne światło, ale Teiga nie interesowało ani ono, ani ci ludzie.

Wilki były zbyt blisko. Zdawało mu się, że słyszy ich dyszenie tuż za sobą, i nagle usłyszał odgłos łap uderzających o drogę. Te bestie wcale nie były cieniami. Ani widmami. Czymkolwiek były, okazały się realne i namacalne, a najgorsze, kurwa, że już tu były. Tuż za nim.

– Uciekaj – warknął Prentiss tak cicho, że Teig nie był pewny, czy naprawdę to usłyszał.

Ale tylko się tak okłamywał – znał ten głos oraz ton i rozumiał. Prentiss pozwalał mu uciec i zostawić go na ulicy, sześć metrów od drzwi baru. Nie było, kurwa, mowy, żeby Teig go porzucił. Zataszczyłby tego wielkiego sukinsyna na rękach, gdyby nie było innego wyjścia.

I okazało się, że nie ma.

Prentiss krzyknął cicho, zawisł na Teigu i zaczął osuwać się na ziemię.

Teig obejrzał się przez ramię na wilki.

Las wydawał się ich pełen. Wymykały się spomiędzy drzew i gnały w stronę samochodu. W stronę baru. Ci spóźnialscy nie mieli jednak szans, bo tamte dwie pierwsze bestie, o ślepiach jak białe punkciki, zamierzały porządnie napchać sobie brzuchy.

Prentiss wisiał bezwładnie na Teigu. Półprzytomny, wymamrotał przeprosiny. Teig wmawiał sobie, że zawlecze przyjaciela do drzwi baru, ale facet musiał ważyć ponad sto dziesięć kilo i miał niesprawną nogę.

„Uciekaj”, powiedział Prentiss. Jakaś część Teiga pożałowała, że tego nie zrobił.

– Teig! – wrzasnęła Nari. – Nie pozwól mu...

Czuł, jak napinają mu się mięśnie pleców i szyi, kiedy próbował zmusić Prentissa, żeby oparł się na zdrowej nodze. Spojrzał na Nari, która stała w otwartych drzwiach baru, wciąż otaczając ramionami małą katatoniczkę.

Drzwi. Zrozumiał, że do nich nie dotrze.

I wtedy tamta kobieta przepchnęła się obok Nari i dzieciaka, wyszła na zewnątrz ze sztucerem, oparła kolbę na ramieniu i wypaliła do pierwszej bestii.

Teig zaklął. Z trudem podtrzymując Prentissa, odwrócił głowę, żeby sprawdzić skutek strzału. Wilk szarpnął się do tyłu i zwałił na ziemię, ale nie wydał żadnego dźwięku. Nie zawył ani nie zaskowyczał z bólu. Teig gapił się na niego, a Sajaara strzeliła do drugiego z najbliższych wilków – z tym samym rezultatem. Reszta watahy, która wyszła z lasu, zatrzymała się i krążyła w okolicy warsztatu po drugiej stronie drogi, obserwując bar, ludzi i broń. Barman Timur ominął żonę i podbiegł do Teiga, żeby pomóc mu z Prentissem. Wspólnymi siłami zawlekli go do drzwi. Kiedy udało im się przeciągnąć go przez próg, Teig usłyszał, jak Nari i jej przyjaciółka głośno przeklinają, a sztucer wypala ponownie – trzykrotnie, raz za razem.

Gdy wraz z barmanem położyli Prentissa na zdartej, poplamionej piwem drewnianej podłodze, Teig wyrzwał przez drzwi i zobaczył, że oba postrzelone wilki zawracają w stronę drzew, gdzie dołączają do pozostałych. Spodziewał się, że wataha ucieknie w głąb lasu, ale kiedy wrócili jej przywódcy, reszta wilków po prostu się rozproszyła i zaczęła krążyć wokół baru, bacznie go obserwując. Cierpliwie czekając.

Ciągle trzymając Unę, Nari szturchnięciem kazała przyjaciółce się wycofać, zatrzasnęła drzwi, a potem przekręciła klucz dwa razy i zasunęła rygiel. Obie kobiety pobladły w przyćmionym świetle baru. Po raz pierwszy Teig zauważył, że dziewczynka zasnęła w ramionach Nari z lekkim uśmiechem na twarzy.

„Bezpieczna – pomyślał. – Czuje się bezpieczna”.

Chciałby czuć się tak samo.

Przez jakiś czas Prentiss dryfował we śnie po morzu. Leżał w łodzi bez wiosła, ale wcale się tym nie

przejmował. Wiatr i fale niosły go tam, dokądkolwiek miał dopłynąć. Niebo wydawało się takie odległe – miękki, mglisty błękit – a późnopołudniowe słońce wisiało tak nisko nad horyzontem, że burta łodzi stanowiła wystarczającą osłonę przed blaskiem promieni. Nie miał zmartwień. Ani wioseł. Pozostały mu fale i los.

Obudził się z bólem tak przejmującym, że do oczu napłynęły mu łzy.

– O Chryste – wykrztusił i wessał powietrze przez zaciśnięte zęby. – Ja pierdolę. O Jezu... – Tylko na te słowa był w stanie się zdobyć. W każdym mięśniu czuł bolesne napięcie. Podniósł się na łokciu, żeby wysledzić źródło tego bólu, tkanki, które go zdradziły, kości, które zmieniły się w broń i obróciły przeciwko niemu.

W pokoju znajdowali się inni ludzie, ale ich obecność ledwie docierała do świadomości Prentissa, podobnie jak istnienie podłogi z twardego drewna, cuchnącej zwietrzałym piwem i rozlaną wódką.

Noga. Ta jebana noga.

– O Jezu.

Lewą nogawkę spodni miał oderwaną albo odciętą na wysokości połowy uda. Łydkę i kolano zabandażowano. Założoną na kolanie metalową ortezę sportową wzmocniono rozpórkami, które były chyba złamanymi kijkami narciarskimi, a całość owinięto czarną taśmą izolacyjną, żeby konstrukcja się nie rozleciała. Kolano rwało jak diabli, ale i tak ledwo był w stanie skupić się na tym urazie, bo dręczył go znacznie gorszy ból – taki, który sięgał głęboko, wbijał w niego szpony, wędrował w górę kości udowej i w dół, do piszczeli i strzałki. W kilku miejscach przez bandaże przesiąkała krew.

Prentissowi zdawało się, że pamięta ciemnooką kobietę, która wbijała mu igłę w żywe mięso nogi. „Co do chu...”, zaczął w myślach.

Teig przykucnął obok niego i pstryknął palcami kilka centymetrów przed twarzą przyjaciela.

– Hej, bracie. Popatrz tutaj.

Prentiss opędził się od niego wolną ręką, tą, na której się nie opierał.

– Spierdalaj.

Wywołany bólem niewielki przyptyw adrenaliny już się skończył i Prentiss położył się na plecach na podłodze. Noga niemiłosiernie pulsowała. Pod sufitem wisiały wentylatory, ale się nie obracały. Ich łopatki oplatały pajęczyny, a drewniane belki pokrywał kurz. „Ktoś musi porozmawiać z właścicielami o prowadzeniu domu”, pomyślał i zaśmiał się ponuro. Przez chwilę zastanawiał się, gdzie się znajduje – i po co komu wentylatory sufitowe na Syberii? No ale przecież nie zawsze było tu zimno jak w psiarni.

Znowu zachichotał pod nosem.

– Ty się śmiesz? – zapytał Teig. – Czyli ta szpryca, którą ci dali, działa.

Prentiss znów poczuł ból przeszywający mu nogę, ale te słowa do niego dotarły.

– Jaka szpryca? Ktoś mi coś wstrzyknął?

Teig usiadł na podłodze z wyciągniętymi przed siebie nogami. Ruchem kciuka wskazał na ludzi zgromadzonych przy barze za jego plecami.

Po raz pierwszy większość pomieszczenia nabrała ostrości. Prentissowi zdawało się, że przez jakiś czas istniał jedynie ten mały kawałek podłogi, który zajmowało jego ciało, i może jeszcze ten zakurzony sufit nad jego głową. Ale teraz przechylił głowę w prawo, spojrział za Teiga i zobaczył resztę. Czeremchowe włosy Nari lśniły w świetle lamp wiszących nad barem, przy którym siedziała na stołku obok drugiej kobiety, mniej więcej w tym samym wieku. W połowie odległości między nimi a Teigiem stał słup konstrukcyjny. Prentiss mrugał przez chwilę, przypominając sobie reniburgera, którego zjadł tutaj wcześniej. Na tę myśl poczuł lekki skurcz żołądka, ale rozpoznał mężczyznę za barem.

– To barman – wymamrotał.

– Timur – przypomniał mu Teig. Dotknął czoła przyjaciela, być może sprawdzając, czy nie ma gorączki. – A jego żona, ta z tyłu, to Sajaara. Ile pamiętasz?

Prentiss zmarszczył brwi i już miał go znowu ofuknąć, kiedy zdał sobie sprawę, że to było cholernie dobre pytanie. Minęło kilka sekund, a wszystkim, co jego pamięć zdołała z siebie wykrzesać, było wspomnienie ich przewodnika leżącego bez życia na ulicy. Kaskił, tak miał na imię. Oczy szeroko otwarte, ale niewidzące. Zimny i martwy. Kaskił rozszarpany, zakrwawiony i...

– Wilki – wyszeptał. Podparł się na obu łokciach, noga wciąż pulsowała, a ból irytował go bardziej niż cokolwiek innego. Rozejrzał się w poszukiwaniu drzwi, znalazł je i zobaczył kilka okien z zamkniętymi

okiennicami. – Były tuż za nami.

– Były – potwierdziła Nari przy barze, wznosząc toast za niego kieliszkiem wódki, który wychyliła jednym haustem, po czym natychmiast naląła sobie i Sajaarze po następnym. – Teraz ich nie ma. Ale może nie odeszły. Jeśli jeszcze nie umierasz, to chciałabym tu zostać do wschodu słońca.

Prentiss spróbował się przesunąć. Przeszył go ból. Skrzywił się i spojrzął na Teiga.

– Jak myślisz? Umieram?

Nari przetłumaczyła Sajaarze i Timurowi jego słowa i przy barze rozległ się ponury śmiech. Wyszczrzył do nich zęby w grymasie, który nie wyglądał na uśmiech, ale Prentiss domyślał się, że czarny humor był tu niezbędny do życia.

– Nie umierasz – odparł Teig. – Ale prawdopodobnie przeżywasz najgorszy dzień w swoim życiu. A jutro będzie niewiele lepiej. Timur był w wojsku. Prowizorycznie założył ci ortezę, której używał, kiedy zwichnął sobie kolano, ale twoje jest złamane, bracie. I niestety kolano to nie jedyny problem. Sajaara zszyla ci dwie najgłębsze rany, bo wciąż krwawiły. Mieli jakieś środki przeciwbólowe, nie wiem, czy legalne, ale podziałały. Nie pamiętasz?

Ból przywrócił Prentissowi jasność umysłu, ale wspomnienia pozostały mgliste. Wparowali do baru, serca waliły im jak oszałałe. Barman – Timur – zatrzasnął drzwi i zamknął je na cztery spusty. W tym momencie wszyscy się rozkleili, puścili emocje. Nari długo trzymała w objęciach Sajaarę, a Teig obejmował sam siebie, trzęsąc się i wyglądając przez okno w poszukiwaniu wilków. Wcześniej z zewnątrz dobiegały krzyki, kilkoro ludzi chciało wiedzieć, co się dzieje, ale może zauważyli wilki i wrócili do domów.

Prentiss zemdlał na podłodze.

Obudził się, kiedy Teig obcinał mu nogawkę spodni, a potem włożył mu do ręki trzy pigułki, kazał je połknąć, popić kieliszkiem wódki i leżeć, dopóki mieszanka nie zadziała. Pigułki zwały go z nóg i chociaż czuł, jak igła wbija mu się w nogę, a nic szarpie skórę i mięso, nie oprzytomniał.

– Trzy godziny drogi na południe jest szpital – powiedział Teig. – To twój następny przystanek.

– Jak długo byłem nieprzytomny? – zapytał Prentiss.

– Dwie godziny.

– Leki już przestały działać. – Skrzywił się. – O ile to w ogóle były środki przeciwbólowe.

Nari zsunęła się ze stołka barowego, wychyliła następny kieliszek wódki i podeszła do Prentissa. Przyjrzała mu się uważnie, marszcząc czoło z troską.

– To są środki przeciwbólowe. Dezomorfina. Mają straszną nazwę, może słyszałeś? Krokodil?

Przez myśl przemknęło mu jakieś wspomnienie, ale zbyt nieuchwytnie.

Nari wzruszyła ramionami.

– Są niebezpieczne, jeśli weźmiesz za dużo. Może zły pomysł dawać tobie. Ale nieważne... wzięłeś wszystko, co było.

Prentissowi zrobiło się niedobrze. Nie ma już nic na ból?

– Ile do wschodu słońca?

– Ledwo minęła północ – odparł Teig. – Przykro mi, stary. Zostało dziewięć godzin.

– Kurwa. – Prentiss potoczył wzrokiem po wszystkich w barze. – No to nie stójcie jak banda beuzytecznych cip. Dawajcie butelkę whiskey, bo inaczej wasza noc będzie tak samo długa jak moja.

Z uśmiechem ulgi Teig wstał i poszedł po whiskey. Dopiero teraz, gdy Teig, Nari, Sajaara i Timur znaleźli się wszyscy naraz w jego polu widzenia, Prentiss zdał sobie sprawę, że nie ma z nimi dziewczynki. Mgliście przypominał sobie, jak Teig mówił w samochodzie, że zawiozą Unę na stację benzynową, na której spotkali się z Kaskilem i której właścicielką była prababcia dziewczynki. Ale tego na pewno nie zrobili, skoro wszyscy wciąż są tutaj.

– Gdzie jest Una? – Noga pulsowała bólem i musiał zadać to pytanie przez zęby. – Powinniśmy trzymać się wszyscy razem.

Nari objęła się ramionami i błędną wzrokiem, jakby nie miała odwagi zatrzymać go na niczym przez dłuższą chwilę.

– Śpi. Na piętrze.

– Jest wyczerpana – dodał Teig. – Dosłownie padła, więc zaniósłem ją na górę. Sajaara i Timur pozwolili ją położyć w swoim łóżku.

Prentiss skinął głową, ale kiedy Teig poszedł do baru poprosić Timura o butelkę whiskey, poczuł, że

coś go niepokoi. Pomimo rwącego bólu, który nie pozwalał myśleć o czymkolwiek innym, Prentiss nie potrafił pozbyć się sprzed oczu obrazu dziewczynki.

– Pomożesz mi wstać? – poprosił Nari, wyciągając do niej rękę.

– Zaraz, zaraz – wtrącił Teig ostrzegawczo, spiesząc z pomocą. – To chyba nie jest dobry pomysł.

– Nie spędzę nocy na tej podłodze, stary – wykrztusił Prentiss, choć ledwo się podniósł i stanął na sprawnej nodze, ból znowu zatopił w nim szpony. Teig i Nari musieli go podtrzymać, bo na kilka sekund zakreśliło mu się w głowie, ale po paru głębokich oddechach jasność umysłu wróciła, przynajmniej na razie. – Jestem za stary i za gruby na takie głupoty. Jeśli znajdzie się jakieś krzesło, żebym mógł sobie klapnąć, to będę wdzięczny.

Rozejrzał się, omiatając wzrokiem kilka stolików, i zatrzymał spojrzenie na rzędki boksów pod przeciwległą ścianą. Z jednego z nich wyniesie się stolik, a ławki zsunie ze sobą i na jedną noc to wystarczy – jeśli wypije dość whiskey.

– Może tam? – zapytał, zerkając na Sajaarę i Timura.

Mężczyzna zmarszczył nieco brwi, ale Sajaara wstała ze stołka, skinęła głową i machnęła ręką w stronę boksów. Powiedziała do Nari coś po jakucku albo rosyjsku, ale cokolwiek to było, oznaczało pozwolenie. Prentiss chciał poprosić o poduszkę, lecz ponura mina Timura przekonała go, że powinien się cieszyć z tego, co dostał.

Pomogli mu ominąć bar. Głównie skakał, starając się nie obciążać złamanego kolana.

– Pomogę ci, stary – powiedział Teig i zabrzmiało to szczerze. – Przepraszam. Że cię tu przywlokłem. Ale wynagrodzę ci to. Przysięgam.

Prentiss chciał zapytać, jak zamierza to wynagrodzić Kaskiłowi, ale to byłoby okrutne. Teig nie był niczemu winien. Prentiss o tym wiedział mimo bólu i tej polekowej mgły w mózgu. To, co się stało w Akucku...

A co właściwie stało się w Akucku?

Porzucone domy. Pootwierane drzwi. Ślady stóp na śniegu. Wymarłe miasteczko, nie licząc tej jednej dziewczynki.

– Teig – wyszeptał, kiedy Nari i Sajaara zaczęły wysuwać stolik spomiędzy ławek w jednym z boksów.

– Dlaczego ją zostawili?

– Co?

Prentiss zebrał siły, przytrzymując się ramion Teiga. Stali naprzeciwko siebie, a historia ich przyjaźni przebiegła im przed oczami. Przyjaźń, braterstwo, najlepsze i najgorsze chwile.

– Tę dziewczynkę. Nie mogę... nie mam pojęcia, co się tam wydarzyło, ale dlaczego ją zostawili?

Teig kiwnął głową z twarzą pozbawioną wyrazu. Przełknął ślinę.

– Sam chciałbym to wiedzieć. Przynajmniej możemy jej pomóc. Kaskiłowi już nic nie pomoże, ale...

– Nie czujesz, że jest w niej coś dziwnego? – zapytał Prentiss tak cicho, żeby Nari i Sajaara nie usłyszały.

– Jest w katatonii, bracie. Czego innego się spodziewać po tym, co widziała?

– Nie wiemy, co widziała – odparł Prentiss, jeszcze bardziej ściszej głos, jakby w obawie, że usłyszą go cienie. Poczł się głupio, gdy przeszedł go lekki dreszcz, ale nic nie mógł na to poradzić. – Z nią jest coś... nie tak.

Timur klasnął w dłonie i warknął coś, co zabrzmiało niemal wesoło. Prentiss odwrócił się i ujrzał, że z uśmiechem wskazuje na drzwi za barem, które otworzyły się prawie niezauważenie. Stała w nich Una, twarz wciąż miała bez wyrazu, ale jej oczy ożyły. Przesunęła wzrokiem po każdej z osób, a gdy spojrzała na Prentissa, uśmiechnęła się blado.

Nari podbiegła do niej, mówiąc szybko coś, czego Prentiss nie zrozumiał. W jej głosie brzmiała macierzyńska troska. Wyciągnęła rękę do małej.

Dziewczynka ujęła ją wciąż w milczeniu, ale pozwoliła się zaprowadzić do baru, gdzie wdrapała się na stołek i usiadła, czekając, co będzie dalej. Prentiss wiedział, że ją nakarmią i dadzą coś do picia. Tak właśnie należało zrobić. Zaopiekować się nią. W końcu ktoś musiał. Dopóki nie odwiozą jej do prababci, nie miała nikogo innego.

Teig zsunął ze sobą dwie ławki, szurając nimi po podłodze, i pomógł Prentissowi usiąść. Miał nadzieję,

że uda mu się przespać całą noc i nie wpaść w szczelinę na środku tego prowizorycznego posłania, ale pomyślał, że przy odpowiedniej ilości whiskey nie będzie to miało znaczenia. A jeśli Timur zamierzał nakarmić tę dziewczynkę, to może i Prentissowi da coś do jedzenia. On potrzebował żelaza, aby zrównoważyć utratę krwi. I powinien przestać się zastanawiać, dlaczego nie jadą do szpitala. Dlaczego mają ukrywać się w tym barze do wschodu słońca, skoro był mu potrzebny lekarz, i to jak najszybciej.

– Teig, posłuchaj – wychrypiał.

Ale zanim zdążył coś dodać, rozległo się walenie do drzwi.

Teig odwrócił się błyskawicznie w kierunku dźwięku. Od kilku ostatnich godzin był w coraz większej rozsypce i umiał się skupić tylko na bieżącej chwili. Akuck zmienił się w miasto widmo. Po śmierci Kaskiła i unieruchomieniu Prentissa tylko on i ta nieznamiona kobieta Nari mogli zaopiekować się Uną – nocą i w miejscu niemającym nic wspólnego z jakimkolwiek poczuciem bezpieczeństwa. Ten bar dał mu pierwszą szansę na złapanie oddechu. Akuck był opustoszały, a w tej niewielkiej społeczności skupionej wokół Ołoncho przynajmniej tętniło życie. Timur i Sajaara nie byli ani policjantami, ani lekarzami, ale ich kompetencja i troskliwość dały Teigowi nadzieję. Łomotanie do drzwi i głos dochodzący z ciemności sprawiły, że niepokój powrócił.

„Wilki nie pukają”, przekonywał się w duchu.

Timur poszedł otworzyć drzwi.

– Hej, poczekaj! – krzyknął Teig. Prześliznął się obok Sajaary i chwycił Timura za ramię. W oczach mężczyzny błysnęła złość. Teig wskazał na drzwi.

– Co ty wyprawiasz? Przecież widziałeś te bestie!

– To nie są zwyczajne wilki – zawtórował mu Prentiss piskliwym, zmęczonym głosem.

Teig przytaknął. Żaden z nich nie miał doświadczenia z wilkami i nie pochodzili stąd, ale widzieli te zwierzęta z bliska w Akucku i na drodze. Sposób, w jaki ścigały samochód, ich nieustępliwość i szybkość... Teig nigdy wcześniej nie widział wilka na własne oczy, ale te zwierzęta wydobyły z głębi jego mózgu pierwotną groźbę. Nie były normalne.

„To jest właśnie to”, pomyślał, wbijając wzrok w podłogę, jakby jej stare drewniane deski skrywały sekret, który mógłby nadać temu wszystkiemu jakiś sens. Przez wszystkie te lata głos Olivii odbijał się echem w jego pamięci, wciąż słyszał, jak się droczy, że wróci i będzie go straszyć. Miał na to nadzieję, kurczowo chwycił się każdej możliwości potwierdzenia, że to prawda, a wszystko po to, aby pewnego dnia móc jej powiedzieć, jak bardzo mu przykro. Pragnął dowodu na to, że życie pozagrobowe, duchy i siły nadprzyrodzone istnieją obok świata materialnego.

Te wilki nie były duchami, ale cokolwiek wydarzyło się w Akucku, z całą pewnością nie było to nic naturalnego.

Ktoś znów załomotał, tak mocno, że ciężkie drzwi aż zadrżały. Timur odwrócił się powrotem w ich stronę, a Teig ponownie chwycił go za ramię. Timur strzepnął jego dłoń.

– Hej, hej! – zawołała Nari, wchodząc między nich. – Co z tobą nie tak?

Teig pomyślał, że chyba zwariowała.

– Tam są wilki, które zabiły Kaskiła!

– Wcale nie – odparła Nari, kręcąc głową. Odetchnęła, złapała go za nadgarstek, żeby uniemożliwić mu dalszą gestykulację, i zmusiła go, by na nią spojrział.

– To przyjaciele. Jak to się mówi...

– Sąsiedzi – podpowiedziała Sajaara.

Oboje, Teig i Nari, spojrzeli na nią zaskoczeni, że zna to angielskie słowo, lecz Nari zaraz skinęła głową.

– Tak, sąsiedzi. Martwią się o Sajaarę i Timura. Widzieli te wilki, ale one już odeszły.

– Tak powiedzieli? – spytał Teig.

– Przed chwilą, tak – potwierdziła Nari. – Wilków nie ma, ale są zaniepokojeni.

Timur stał przy drzwiach z ręką na ryglu. Przechylił głowę i mruknął coś po jakucku do żony, zanim znów spojrział na Teiga.

– Otwieram – powiedział. – Jest okej.

Teig wypuścił powietrze. Mieli rację, oczywiście. Gdyby te wilki nadal tam były, nikt nie podszedłby na tyle blisko, żeby zapukać do drzwi. Rzucił Nari zakłopotane spojrzenie, a ona puściła jego nadgarstek.

– To był długi dzień – powiedział, mając nadzieję, że zrozumiała jego strach.

Timur odsunął rygiel.

– Czekaj! – wychrypiał Prentiss. – Słuchajcie!

Teig i Nari odwrócili się i znowu spojrzeli na drzwi akurat w momencie, kiedy Timur sięgał do klamki, żeby otworzyć drugi zamek. Sajaara położyła dłoń na rękę męża, by go powstrzymać. Cała piątka zamilkła, wpatrując się w drzwi i słuchając.

Pukanie ustało. Z zewnątrz nie dochodziły już żadne krzyki. Drzwi zdawały się oddychać. Teig nie umiał ubrać w słowa tego pytania, które nagle zamajaczyło mu w myślach;

ono po prostu ziało przed nim jak otchłań, kiedy spoglądał na drzwi.

– Timur? – powiedziała Sajaara pytająco.

Właściciel baru odwrócił się i spojrzął na Teiga, oskarżycielsko marszcząc brwi i bezgłośnie obwiniając go za strach, który unosił się w pomieszczeniu jak pyłki kurzu. Wszyscy go wdychali i wydychali.

Łup, łup, łup.

Trzy stłumione, ciężkie uderzenia w dolną część drzwi. Inne niż poprzednio. Nie brzmiały jak walenie pięściami ani nawet kopanie butem.

– Erel?! – zawołał Timur przez drzwi i dołożył potok jakuckich dźwięków. Teig nie musiał znać tego języka, żeby odgadnąć znaczenie zadawanych pytań. „Jesteś tam jeszcze? Co to było? Widzisz wilki?”

Teig odwrócił się do Nari.

– Idź na górę. Sprawdź, czy coś widać przez okno. Zanim otworzymy drzwi, musimy...

Zza drzwi dobiegł ich głos, cichy i słaby. Jedynym słowem, które Teig zrozumiał, było imię właściciela baru. Timur zeszywniał na moment, po czym znów sięgnął do zasuw.

– Erel?! – zawołała Sajaara załamującym się głosem, zakrywając dłonią usta i szeroko otwierając oczy.

Nari poruszyła się pierwsza. A zaraz potem Teig.

– Timur, nie! – krzyknęła Nari. Następne słowa nie były angielskie, ale język nie miał już znaczenia.

Wszyscy wdychali ten wypełniający bar strach, jednak każde z nich zareagowało inaczej. Timur i Sajaara bali się o sąsiada, ale pozostali, słysząc tę samą udrękę w gasnącym głosie za drzwiami, doszli do innego wniosku. Nie znali Erela i nie chcieli ryzykować dla niego własnego życia.

Nari próbowała odciągnąć Timura od drzwi. Sajaara krzyknęła na nią. Ich stara przyjaźń nie była gotowa na taką noc jak ta. Timur odepchnął Nari, przekręcił klucz i odsunął zasuwę. Głos Erela przeszedł teraz w skomlenie, a przez szparę między drzwiami a futryną Teig ujrzał męski zarost i błysk jednego oka.

Erel zawołał coś, jakby się poddawał.

Teig ramieniem odtrącił Timura z drogi, rzucił się do drzwi i wepchnął bolec rygla z powrotem na swoje miejsce. Zdażył, tuż zanim coś uderzyło w drzwi od drugiej strony. Coś, co nie było Erelem. Coś, co zdławiło jego jęk.

Sajaara zaczęła płakać. Krzyknęła na Teiga, zdołała wykrztusić dwa angielskie słowa – *fuck you* – ale Teig ją uciszył. Odsunął się od drzwi, a Nari kazała wszystkim umilknąć. Zastygli w bezruchu, patrząc i nasłuchując.

Zapadła cisza.

W żółtym świetle barowych lamp krew, która zaczęła się sączyć spod drzwi, wyglądała na prawie czarną. Płynęła powoli, rozlewając się wzdłuż linii pęknięcia w podłodze. Timur wyciągnął rękę do żony i objęli się, dzieląc żal i wdychając kolejne drobinki strachu, którymi wszyscy już teraz nasiąknęli.

Sajaara odwróciła się do przyjaciółki i o coś spytała, na co Nari pokręciła głową z oczami pełnymi żalu.

– Co ona mówi? – zapytał Teig.

– A jak myślisz? – odparła Nari, opadając na pobliski stółek barowy. – Chce wiedzieć, co jest na zewnątrz.

Prentiss odchrząknął za ich plecami. Teig się wzdrygnął. Niemal zapomniał, że jego przyjaciel też tu jest.

– Wilki – powiedział Anglik. – Ale też coś jeszcze. I może w tej chwili to coś jest na zewnątrz, choć wydaje mi się, że wolałoby być w środku z nami.

Smród rozlewano przez dziesiątki lat piwa ustąpił ostremu, miedzianemu zapachowi krwi. Teig i Prentiss siedzieli na prostych krzesłach wokół solidnego stołu, oszpeconego wyżłobionymi w blacie literami, zupełnie niepodobnymi do znanego im alfabetu. Prentissowi źle się leżało na tamtych zsuniętych ławkach, ale najwyraźniej krzesło nie było o wiele

wygodniejsze. Teig wbił spojrzenie w swoją wódkę i westchnął, aż od ciepłego oddechu zaparował kieliszek.

Nari poszła na górę razem ze swoimi przyjaciółmi – i bardzo dobrze. Pech sprawił, że znalazła się z nimi w samochodzie, ale przynajmniej miała przyjaciół.

„Ty też masz przyjaciół – pomyślał Teig, patrząc przez stół na Prentissa. – A w każdym razie jednego”.

– Nie musisz ciągle przy mnie siedzieć – odezwał się Prentiss.

– Nie możesz zasnąć?

– Masz pilnować, żebym nie zasnął. Bo co, jak zemdleję... zapadnę w śpiączkę czy coś?

Teig wychylił wódkę jednym haustem. Palila w gardle. Odwrócił kieliszek i odstawił go z trzaskiem na blat stołu, za-

krywając kawałek tego artystycznego graffiti. Wstał z krzesła, podszedł do drzwi i przyjrzał się kałuży krwi, która przestała się powiększać. Pod wpływem lodowatego powietrza za drzwiami zaczęła stygnąć i na powierzchni szkarłatnej kałuży tworzyły się kryształki.

Odwrócił się z powrotem do przyjaciela.

– Nie możemy czekać do rana.

Prentiss jęknął i sięgnął ręką, żeby przesunąć okaleczoną nogę. Unieruchomiona ortezą i zabandażowana, wydawała się w gorszym stanie, niż była w rzeczywistości, ale Teig wiedział, że rzeczywistość też nie wygląda najlepiej. Prentiss co chwila zapadał w sen, po czym budził się z sykiem albo jękiem, kąsany bólem. Może nie stracił aż tyle krwi, żeby od tego umrzeć, ale potrzebował operacji i nastawienia kolana, a byli cholernie daleko od najbliższego szpitala.

– Dzisiaj jeszcze tu wytrzymam – odparł Prentiss. – Przecież nie zamierzam biegać, a musimy mieć na uwadze tę dziewczynkę.

Obaj mężczyźni patrzyli na siebie przez całą długość baru. Znowu byli sami. Od początku tej podróży spędzali ze sobą mnóstwo czasu: w samochodzie, w samolocie, w pokojach hotelowych. Ile Teig miał okazji, żeby odbyć tę rozmowę, na którą od dawna się między nimi zanosilo, a jednak nigdy się na nią nie zdecydowali? I nigdy nawet nie traktowali tego tematu poważnie. A teraz tu utknęli. Prentiss siedział z wyprostowaną okaleczoną nogą, którą opierał o dodatkowe krzesło. Teig mógłby go tak zostawić, uciec od rzeczy, które trzeba było sobie powiedzieć. Kiedyś próbował poruszać ten temat, ale nigdy nie wychodziło mu to tak, jakby chciał.

– Teig – odezwał się jeszcze raz Prentiss.

Znowu wymienili spojrzenia.

– Tak?

– Boję się powiedzieć na głos coś, co chodzi mi po głowie.

„Ja też”, pomyślał Teig. Ale tak naprawdę nie bał się swoich myśli, po prostu bał się wypowiedzieć je na głos. Przyznać, jak bardzo spieprzył sobie życie.

– Zaraz, ale o czym ty mówisz? – Teig wrócił na swoje krzesło. – Mam milion spraw na głowie i tak, wiele z nich mnie przeraża.

Prentiss poruszył się na swoim drewnianym siedzisku, krzywiąc się z bólu.

– Bardzo tu cicho. Tak bardzo, że te myśli nie dają mi spokoju. Jakoś bym się ich pozbył, gdyby chodziło tylko o wilki.

Wmówiłbym sobie bzdurną bajeczkę, choć dobrze wiem, że normalnie wilki nie atakują ludzi, zwłaszcza w grupach, tak jak to zrobiły w Akucku. – Urwał. Wyglądał, jakby nagle uszło z niego powietrze, a oddech stał się głęboki i miarowy, jakby Prentiss walczył z bólem, ze snem, z mdłościami albo ze wszystkim naraz.

– Jack...

Spojrzał przez wąskie szparki oczu.

– Tak, Feliksie?

– Dobra, kapuję. – Teig uniósł ręce w geście poddania. – Mówiłeś coś o zachowaniu wilków...

Prentiss zmierzył go miazdzącym spojrzeniem, ale głowa kołysała mu się lekko, jak u pijaka, który zaraz przegra walkę z alkoholem.

– Wiesz... wiesz, o czym mówię, Teig. Z tamtego miasteczka zniknęli ludzie. I to, jak te wilki nas atakowały... one wyglądały na wilki tylko wtedy, gdy patrzyłem na nie wprost. Patrząc kątem oka, nie byłem nawet pewien, czy w ogóle tam są.

Teig poczuł na karku lodowaty dreszcz, mimo że w barze panowało bardziej niż wystarczające ciepło.

– Było ciemno.

– Chuj, a nie ciemno! – warknął Prentiss. Spróbował usiąść prosto na krześle i zaraz chwycił się za poturbowaną nogę, wyrzucając z siebie lawinę przekleństw, która powaliłaby tłum świętoszek.

– Spokojnie, stary – powiedział Teig. Nie podobała mu się bladeść przyjaciela, jego oddech ani to, że przez chwilę wyglądał tak, jakby miał zaraz wyzionąć ducha.

Prentiss otarł dłonią czoło, na którym lśnił pot.

– Wkurzasz mnie, stary.

– A co mam ci powiedzieć? Że to nie było normalne? – Teig prychnął i nagle zrobiło mu się niedobrze. – Człowieku, one nadały za samochodem. Wyśledziły nas tutaj, ukryły się i zabiły faceta pod samymi drzwiami, myśląc, że może te drzwi się otworzą. Wilki nie są ani takie szybkie, ani takie mądre, choć ta kałuża krwi na podłodze mówi co innego. A jednak wciąż tu jesteśmy, Prentiss. Wciąż siedzimy w tym barze, mimo że ty powinieneś być w pieprzonym szpitalu, a ta dziewczynka w bezpiecznym miejscu. Bo obaj wiemy, że te bestie nadal tam są i na nas czyhają.

Prentiss zaczął przysypiać. Kiedy nagle się poderwał, próbując zachować przytomność, oczy miał szkliste.

– Hej – powiedział Teig, podchodząc do niego i kłękając u jego boku. – Hej, hej, Prentiss. Stary, jeśli musisz się przespać, to śpij. Wybacz, nie powinienem...

Ale gdy zobaczył ten połyskujący pot i pośliznął się cerę, położył dłoń na czole przyjaciela i wtedy wszystko stało się jasne. To nie sen próbował zmorzyć Prentissa. To była gorączka. A przy tak okaleczonej nodze, nie mówiąc już o bakteriach w ranie po ukąszeniu dzikiego zwierzęcia, mogła ona oznaczać tylko jedno – zakażenie.

– Prentiss. – Potrząsnął nim i Prentiss otworzył oczy. – Zabieram cię stąd. Jeszcze dzisiaj. Natychmiast.

– A jak zamierzasz wykonać tę sztuczkę?

Teig się uśmiechnął.

– Pamiętasz, jak ci z Discovery powiedzieli, że przyjmą mój pomysł na *Tydzień z rekinami* pod warunkiem, że przekonam Richarda Dreyfussa, żeby go poprowadził?

Prentiss roześmiał się i zakaszłał. Powieki zatrzepotały mu lekko, jakby w każdej chwili mógł odpłynąć, ale było jasne, że pamięta. Teig wymyślił program randkowy, który miał się odbyć w ramach *Tygodnia z rekinami* i w którym pary miały pływać na tratwach w teksańskim kamieniołomie i oglądać ulubione filmy o rekinach wyświetlane na ścianach skalnych, rozmawiać o tym, dlaczego kochają rekiny, a co jest w nich przerażającego, i w rezultacie przekonać się, czy między nimi zaiskrzy. Pomysł był idiotyczny, ale przy tym tak absurdalnie uroczy, że Discovery chciało dać mu szansę... gdyby Teigowi udało się ściągnąć do niego Dreyfussa, który znaczną część życia poświęcił The Dreyfuss Civics Initiative, organizacji non profit, której celem było przywrócenie do szkół lekcji wiedzy o społeczeństwie. Każdy głupi wiedział, że ten aktor nigdy się nie zgodzi na prowadzenie takiego programu, ale Teig obiecał mu, że przekona co najmniej dwóch właścicieli drużyn NFL, aby każdy z nich złożył datek w wysokości miliona dolarów na The Dreyfuss Civics Initiative, i w ten sposób dopiął swego.

– Zjebałeś... sporo spraw... – wykrztusił Prentiss. – Ale czasem jesteś dość rąbnięty, żeby odwalić jakiś cud.

Teig położył mu dłoń na ramieniu.

– Po prostu jestem za głupi, żeby uwierzyć, kiedy ktoś mi mówi, że czegoś się nie da zrobić. Dobrze, że się tu zatrzymaliśmy, bo gdyby Timur i Sajaara cię nie połatali, to chyba wykrwawiłbyś się na śmierć, zanim dowiozłbym cię do szpitala. Ale nie możemy dłużej czekać. Będę musiał dostać się do samochodu. Podjadę pod same drzwi. Może pomogą mi wpakować cię do środka, a może sam będę musiał to zrobić, tak czy owak...

– Wilki, Teig. Nie zdążysz...

– Tego nie wiemy – przerwał Teig. – Nie mamy pojęcia, ile ich jest ani gdzie w tej chwili są. Pożyczę sztucer od Timura. Jeśli zastrzelę jednego, spłoszę resztę watahy na dość długo, żebym zdążył do auta.

– Strzelałeś kiedyś z broni?

Teig przekrzywił głowę.

– Od lat tworzę reality show, przyjacielu. Mógłbym cię niejednym zaskoczyć.

– A co z benzyną? Jeśli nam się skończy, mamy przerwane.

– Powinno wystarczyć, żeby dojechać do stacji babci Kaskiła. Tam zatankujemy i pojedziemy do szpitala. Stamtąd zostanie nam chyba godzina drogi.

Na wzmiankę o Kaskile Teig poczuł ból w piersi. Wiedział, że te wilki to nie jego wina, ale nie mógł oprzeć się wrażeniu, że gdyby nie on, Kaskił mógłby nadal żyć.

– Teig – powiedział słabo Prentiss.

– Zamknij oczy na parę minut, jeśli możesz. Załatwię to.

Prentiss westchnął i przymknął oczy, ale mówił dalej:

– Pamiętasz tę swoją gadkę o Tekszańczykach?

– Chodzi ci o Alamo?

– Właśnie. To ty, stary. Okazałeś się jednym z tych Tekszańczyków.

Teig ścisnął ramię Prentissa, a potem usiadł na krześle.

– Zawsze, bracie.

Kiedyś wyjaśnił Prentissowi, że często ocenia otaczających go ludzi z punktu widzenia walczących pod Alamo. Historia mówi, że oni wiedzieli, że nie mogą wygrać, a jednak walczyli do kresu sił. Teig chciał mieć takich przyjaciół, którzy staliby z nim ramię w ramię na murach Alamo, wiedząc, że sprawa jest beznadziejna, a mimo to walcząc dalej. Takich ludzi było niewielu, ale Prentiss dowiódł, że jest jednym z tych „Tekszańczyków”, kiedy tu przyjechał, choć dobrze wiedział, że plany Teiga często biorą w łeb.

Nie było mowy, żeby Teig go teraz zostawił.

– Popełniałem błędy – powiedział cicho, słuchając zawodzącego za oknami wiatru. – Zbyt często pozwalałem, aby inni płacili za moją ambicję. Przeze mnie ludzie stracili mnóstwo pieniędzy, ale ja nigdy nie wziąłem ani centa w złej wierze, nie mając zamiaru wszystkiego oddać. Po prostu czasami mój entuzjazm wyprzedza zdrowy rozsądek.

Prentiss otworzył oczy. Były lekko pożółkłe i szkliste z bólu.

– Wiem, stary. Dlatego tu jestem.

Ostatnie zdanie wypowiedział ledwie szeptem, po czym wziął głęboki oddech. Wyglądało na to, że wreszcie zasnął, a może zemdlął z bólu. Tak czy inaczej Teig zamierzał pozwolić mu trochę odpocząć, a w tym czasie wymyślić, jak ich stąd wydostać. Miał czego w życiu żałować, zawiódł wielu ludzi w interesach, ale w gruncie rzeczy wszystko sprowadzało się do Olivii. Jego nadzieje związane z *Życiem i śmiercią na Drodze Kości* zostały już zniweczone, lecz w tej chwili interesy i kariera nie miały żadnego znaczenia. Znaleźli się w innym świecie, w którym troski zwyczajnego życia wydawały się odległym snem. Może pewnego dnia wróćą do tego snu, ale na razie musieli przetrwać obecny koszmar.

Nari nigdy nie była na piętrze Ołoncho. Timur i Sajaara urządzili tam sobie prosty, wygodny dom z niewielką kuchnią, salonem, dwiema sypialniami i łazienką. Wcześniej umieścili Unę we własnej sypialni i zostawili lekko uchylone drzwi, żeby do środka wpadało światło z wąskiego korytarza. W takim miejscu człowiek powinien się czuć przytulnie i bezpiecznie, ale Nari wciąż oglądała się przez ramię, patrzyła w okna i podejrzliwie omiatała wzrokiem każdy ciemny kąt.

– Nie jedź – powiedziała Sajaara, ściskając jej dłoń.

Siedziały na rozłożystej kanapie, owinięte dzierganymi kocami – dwie stare przyjaciółki, które teraz połączyła nowa, straszna więź. Nari obejmowała się ramionami i wpatrywała w swoje odbicie w ciemnym ekranie starego telewizora. Spojrzała w głąb korytarza, w kierunku sypialni Sajaary i Timura. Dobiegło ją łomotanie drzwiczek od szafek – Timur poszedł po strzelby, które trzymał w pokoju gościnnym. Nari wiedziała, że powinna poczuć się bezpieczniej – mieli co najmniej dwa sztucery i dubeltówkę, którymi mogli się bronić –

ale z jakiegoś powodu ta świadomość niczego nie zmieniła.

Odrzuciła koc i wstała. Kojąca dłoń Sajaary opadła, a Nari podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. Z tej perspektywy nie mogła zobaczyć drzwi frontowych, ale wiedziała, że mężczyzna, który w nie walił, żeby go wpuścili, jest martwy. Nikt nie przeżyłby utraty takiej ilości krwi.

Nari zamknęła oczy i przycisnęła czoło do szyby. Szkło było tak zimne, że wręcz parzyło jej skórę, ale przynajmniej coś czuła. W dzieciństwie spadła z drzewa i mocno uderzyła głową o gałąź. Wstrząśnienie mózgu sprawiło, że była bardziej zdezorientowana niż kiedykolwiek potem. Ośpienie, które odczuwała w tej chwili, przypominało tamto, tyle że ogarniało nie tylko głowę, ale i serce.

– Nari – odezwała się Sajaara z kanapy. – Nie musisz odjeżdżać z tymi mężczyznami. Tu będziesz bezpieczniejsza. Zostań z nami. Ten problem, czymkolwiek jest, nie dotyczy ciebie.

Na ulicy leżeli martwi ludzie. Sajaara nie widziała ich ze swojego miejsca, ale obie wiedziały, że te ciała tam są. Timur zauważył je pierwszy i zaraz poszedł po broń. Łomotanie do drzwi i krzyki sąsiada musiały ciągle jeszcze odbijać się echem w ich głowach, tak jak w głowie Nari, ale w tym momencie wszystkie te odgłosy wydawały się odległe. Teraz ważniejsze były trupy. Nie widziała, co zostało z tego mężczyzny przy drzwiach, ale na prawo od okna, na północ od baru, leżały co najmniej trzy ciała. Małeńka osada wokół Ołoncho liczyła niewielu mieszkańców, nawet jednak kilkadziesiąt osób stanowiło wspólnotę.

Byli przyjaciółmi i polegali na sobie nawzajem.

A teraz część z nich nie żyła.

Troje? A może leżały tam cztery ciała? Trudno było to stwierdzić, bo Nari podejrzewała, że dwie ciemne bryły majaczące w ciemnościach przy drodze prowadzącej do lasu mogły być dwoma kawałkami jednego martwego sąsiada.

Była odrętwiała, ale inaczej nie dotrwałyby do świtu.

– Nari – zaczęła znów Sajaara.

– Nie mogę – odparła w końcu. – Oni nie znają jakuckiego, a postanowili zawieźć tę dziewczynkę do jej prababci. W pewnym momencie ona wyjdzie z tego szoku, w którym teraz jest, i będzie potrzebowała kogoś, z kim się porozumie. Muszę jej pomóc, muszę wiedzieć, że jest bezpieczna. – Odwróciła się i spojrzała na Sajaarę, która okutała się jednym z koców i wyglądała jak jakaś czarownica w pelerynie. – Całe jej miasto zniknęło. Wszyscy ci ludzie poszli do lasu. A potem zobaczyła te wilki... – Nari pokręciła głową. Dosyć. Już i tak zbyt wiele razy odtwarzała to w myślach. Nie chciała znowu oglądać, jak Kaskił umiera.

– Po prostu zastanów się nad tym, proszę – powiedziała Sajaara.

Nari poczuła nagłe pragnienie, żeby się zgodzić. O ileż prościej byłoby odrzucić zobowiązanie wobec Uny, tak jak przed chwilą odrzuciła koc. Czy w drodze do domu przez wiele godzin nie marzyła o tym, jak by to było poczuć się wolną od zobowiązań?

– Nari?

Skinęła głową.

– Pomyślę o tym. Obiecuję.

Jej wzrok znów powędrował w stronę okna. Coś przemknęło w ciemnościach między garażem a sąsiednim budynkiem i choć wyglądało jak cień, ona wiedziała, że to jeden z wilków. Nie odeszły daleko. Były tam i czekały.

Ponownie przycisnęła czoło do szyby. Między budynkami poruszało się kilka cieni. Żółte oczy błyszczały w mroku. Jeden z wilków przystanął na ulicy i spojrzał w górę, a ona poczuła, że ta bestia wie, że jest obserwowana. Żadne z nich nie odwróciło wzroku.

„Czy to wilki kryją się w cieniu, czy cienie w wilkach?”

Ta myśl wśliznęła się w jej umysł jak intruz, jakby nie należała do niej. Wzdrygnęła się, przeszedł ją dreszcz mdłości. Nari próbowała skupić się na tych cieniach, ale coś jeszcze poruszało się na ulicy. Zmrużyła oczy i wyciągnęła szyję, próbując dostrzec kształt tego czegoś w ciemnościach za ostatnim budynkiem.

Przez chwilę była pewna, że to drzewo, którego zimowe gałęzie drgają w lodowatych podmuchach nocnego wiatru, lecz kiedy mocniej przycisnęła głowę do szyby, aż zabolął ją kark, zrozumiała, że nie są to gałęzie, lecz poroże. Może renifera, ale jeśli tak, to największego, jakiego w życiu widziała.

– Wyglądasz jak kobieta guma – powiedziała Sajaara. – Co robisz?

– Słyszysz to? – wyszeptwała Nari.

– Słyszę wiatr.

To nie był wiatr. Nari poczuła to w czasie, jakby uderzyło w okno od zewnętrznej strony i przez szybę

przeniknęło do kości. Żadna pieśń ani nawet muzyka, a jednak miało swój rytm i melodię, jak galopujące bicie serca i pulsujący oddech potężnej bestii, która połknęła ich w całości. Działo na nią kojąco, hipnotyzowało, aż opadła na kolana i przycisnęła do szyby policzek, żeby wyraźniej słyszeć. Wyraźniej poczuć.

– Nari – wyszeptała Sajaara drżącym ze strachu głosem. – Co ty wyprawiasz?

– Ciii – uciszyła ją Nari, wyciągając rękę w jej stronę. – Posłuchaj.

Gdy ich palce się zetknęły, Sajaara spazmatycznie wypuściła powietrze.

– Och. No, no...

Nari się uśmiechnęła. Wdychała tę muzykę, chłonęła jej wibracje, czuła je w kościach, a kiedy znów spojrzała w ciemność ulicy, nie zobaczyła już gałęzi drzew ani poroża renifera, ale coś podobnego do człowieka. Rozpoznała tę postać natychmiast, mimo dzielącej ich odległości i mimo że ta postać się zmieniła. Gdy raz się ujrzało *parnee*, można było zamazać go w pamięci, tak żeby nie umieć go opisać... ale nie można było go w pełni zapomnieć.

Widząc *parnee* ponownie, uśmiechnęła się jeszcze szerzej i zalała ją fala radości. Ale tak reagowała jej wierzchnia warstwa. Głęboko pod powierzchnią była inna Nari, ta prawdziwa, uwięziona niczym ptak w maleńkiej klatce – bezradnie trzepoczący skrzydłami, krzyczący bezgłośnie. Powiedziała temu Amerykaninowi, że *parnee* jest szamanem, i była to prawda, ale jak mogłaby mu wyjaśnić różnicę między szamanizmem wyznawanym przez wielu ludzi w jej kraju a tym, czym jest *parnee*, czym według opowieści był w przeszłości, jak potężny i przerażający mógł się stać w razie potrzeby? Burzą można nazwać letni deszcz, ale zimowa zamieć

zdolna pogrzebać miasto lub w jednej chwili zamrozić konia na śmierć... to też burza. Szamani, którzy są ludźmi, mogą rozmawiać z naturą, lecz *parnee* oddychał naturą, tańczył naturą, krzyczał rozpaczą natury. I tak jak natura bywał bezlitosny.

Nari nigdy wcześniej go nie widziała. Nigdy naprawdę w niego nie wierzyła.

Teraz, z twarzą przyciśniętą do szyby, śpiewała pieśń *parnee* i poddawała się jego woli. W jej oczach zaszklily się łzy. Łzy radości i ulgi. Nigdy więcej strachu, nigdy więcej uciekania.

– Wzywa mnie – powiedziała Sajaara, ściskając palce przyjaciółki.

– Tak – zgodziła się Nari.

Muzyka zabrzmiała głośniejsz. Nari oderwała głowę od szyby, odsunęła zatrzask okna i spróbowała je unieść. Opierało się jej wysiłkom, dopóki nie uderzyła pięścią w ramę, ale nawet wtedy uniosło się tylko trochę. To wystarczyło, aby ziąb wdarł się do pokoju i wbił w obie kobiety lodowate szpony. Nari wzdrygnęła się, wiedziała, że powinna odsunąć się od tego zimna, ale chociaż szeptało wokół jej odsłoniętego gardła i ścisnęło jej palce tak, że bolały do szpiku kości, dalej walczyła, by szerzej otworzyć uparte okno.

W drzwiach za nimi pojawił się Timur ze sztucerem w ręku. Zawołał imię żony dwa razy, potem trzeci. Na początku w jego głosie brzmiał niepokój, ale za trzecim razem, gdy powiedział „Sajaara”, to słowo popłynęło przez pokój jak wyszeptana modlitwa.

– Słyszycie to? – zapytał.

Nari zamknęła oczy, szczęśliwa, że jej przyjaciele są tu z nią, że mogą dzielić tę chwilę.

– Wzywa nas – odparła Sajaara, podchodząc do Nari. Wspólnymi siłami spróbowały otworzyć okno, które zapiszczało w ramach. Z jednej strony ustąpiło i ruszyło się o parę milimetrów, ale było tak zaklinowane, że teraz utknęło jeszcze bardziej.

Sajaara zaczęła jęczeć.

– Otwórz się – błagała Nari. – Otwórz się.

Musiała wyjść na ulicę, gdzie poruszały się teraz wszystkie cienie. Ciała były jedynie ciemnymi bryłami na zamarznętej drodze, ale noc oddychała, a z każdym oddechem ożywała coraz bardziej.

Timur nosił ciężkie buty, lecz nie słyszała jego kroków. W jednej chwili wszedł do pokoju, a w następnej poczuła, jak jego wielka dłoń chwyta za tył jej swetra i odciąga ją na bok. W obu rękach trzymał karabin, odbezpieczył go, a potem kolbą wybił szybę. Zimne powietrze wtargnęło do środka i zaparło Nari dech w piersiach, kłusząc twarz, a powab tej nocnej pieśni przyciągał ją jeszcze mocniej. Ale dźwięk rozbijanego szkła przeszył jej mózg, dotarł w głąb jestestwa i otworzył tę klatkę, w której uwięziono prawdziwe ja Nari.

Była wolna, na chwilę. Ta pieśń oplotła ją mrokiem, ale teraz ona potrafiła mu się oprzeć. A inni?

Timur wybił resztę szyby. Czujna, rażona nagle odzyskaną świadomością, Nari ujrzała, jak mąż przyjaciółki opiera kolano o parapet i szarpie za dolną część zaklinowanej ramy, a wtedy zrozumiała, że on wciąż jest pod wpływem tej pieśni. Krzyknęła do niego, żeby przestał, a do Sajaary, żeby go powstrzymała, choć obawiała się, że ona też może być nadal odurzona.

Sajaara chwyciła męża za włosy i odwróciła się do Nari z dzikim wzrokiem.

– Pomóż mi!

Nari otoczyła Timura ramionami w pasie. Jej uszy wypełniał jakiś inny dźwięk, jakby bezsensowne mamrotanie, powtarzający się bełkot, i nagle zdała sobie sprawę, że te odgłosy wydobywają się z jej własnych ust. Hałasowała, aby zagłuszyć pieśń *parnee*.

Odepchnęła Timura, wzięła zamach i z całej siły uderzyła go w twarz. Na moment mocniej ścisnęła karabin i już pomyślała, że następną rzeczą, którą nim rozbije, będzie jej czaszka, ale on nagle odzyskał jasność spojrzenia i potrząsnął głową.

Zakrył uszy dłońmi.

– To na nic – powiedziała Sajaara. – Masz to nie tylko w uszach, ale i w kościach.

Nari pchnęła ich oboje do wyjścia z pokoju. Zrozumieli bez słów i cała trójka wydostała się na korytarz. Timur zatrzasnął za nimi drzwi i przez chwilę wszyscy nasłuchiwali. Nari przestała bełkotać i przechyliła głowę.

– Wciąż to słyszać – powiedziała.

– Czuć – poprawiła ją Sajaara. – Ale tutaj już nie tak mocno.

Timur przenosił wzrok z jednej kobiety na drugą.

– Co teraz?

W ciszy, która nastąpiła po tym pytaniu, Nari uświadomiła sobie, że prawie zupełnie zapomniała o Unie. Dziewczynka miała spać w pokoju Sajaary i Timura, ale przecież nie mogła przespać tego wszystkiego: brzęku rozbijanego szkła, ich krzyków i tej pieśni *parnee*. A jednak zza zamkniętych drzwi sypialni nie dobiegał najmniejszy hałas. Tknięta nagłą obawą, Nari zostawiła przyjaciół w pełnej niepokoju ciszy.

Podeszła do drzwi, wzięła głęboki oddech i otworzyła je najwolniej i najciszej, jak tylko mogła. Sypialnia zdawała się gardzić oświetleniem. Nawet światło z korytarza ledwo rozjaśniało tę ciemność, a jednak ujrzała w środku długie, rozgałęzione cienie. Wstrzymała oddech na wspomnienie poroża w mroku na końcu ulicy, tuż przed pojawieniem się *parnee*, ale kiedy zamrugała, cienie zniknęły, a sypialnia wydała się nieco jaśniejsza.

– Po prostu wejdź – powiedziała Sajaara, szturchając ją w plecy. – Śpi?

Nari nie mogła odmówić. To była sypialnia Sajaary i Timura, a Sajaara właśnie skarciła ją za to, że nie wchodzi do środka. Jasne, że tam musiało być bezpiecznie. Dla Sajaary to byłoby najbezpieczniejsze miejsce na świecie.

Nari weszła do pokoju, ale zawadziła czubkiem buta o jakiś przedmiot. Zatoczyła się i wyciągnęła rękę, lecz zahaczyła ramieniem o coś twardego i siła uderzenia odrzuciła ją na bok. Upadła, a leżąc na podłodze i patrząc w górę, ujrzała nad sobą cienkie, nagie gałęzie. Oczy zaczęły jej się przyzwyczajać.

– Czy to jest... czy to są...? – Sajaara bez skutku próbowała sformułować jakieś pytanie.

Pozbawiona tchu Nari chwyciła za pień brzozy i podciągnęła się. Wybałuszonymi oczami gapiła się na coś niemożliwego. Wcześniej ta biała kora ginęła w cieniu, ale teraz, w półmroku, wydawała się szara. Nari cofnęła się o krok i ujrzała grube korzenie wyrastające z drewnianej podłogi – to o jeden z nich się potknęła. W pokoju było sześć nagich brzóz, których gałęzie rozciągały się pod sufitem, wrastały w belki i przebijały sufit. Przy łóżku rosły trzy jodełki.

Zaśmiała się w duchu i natychmiast zakryła usta dłonią, żeby nie pozwolić wydostać się swemu szaleństwu. Przecież drzewa nie rosły w sypialniach.

– Nari – odezwała się Sajaara. – Jak to możliwe?

Głuchy rytm pieśni *parnee* wciąż rozbrzmiewał w jej głowie, ale Nari otrząsnęła się, słysząc pytanie przyjaciółki. Ruszyła między brzozami i ominęła najbliższe jodełki. Jakimś cudem Una musiała to wszystko przespać, leżąc w ciemnościach, uśpiona, wciąż pograżona w katatonii.

Ale dziewczynki nie było w łóżku.

Serce ścisnęło się Nari w piersi. Nie mogła pokonać niemożliwego, nie mogła odzobaczyć wilków ani zwłok na ulicy, ale do diabła, mogła ochronić małą dziewczynkę, która straciła wszystko.

– Ariuna! – zawołała. – Gdzie jesteś? – Padła na kolana i zajrzała pod łóżko. Ujrzała korzenie i mały świerk, który wkrótce przebije się przez łóżko. Zerwała się z podłogi i odwróciła do Sajaary. – Pomóż mi!

Ale choć pokój był duży, w niewielu miejscach mogłoby się ukryć dziecko. Una nie chowała się ani pod łóżkiem, ani w szafie, ani za komodą, ani pod stosem świeżo upranych koców.

Nari przeczołgała się przez łóżko do innej jodły. Nie sprawdziły jeszcze tylko za tym drzewem. Zapach jego igieł dopiero teraz wypełnił pokój, jakby artysta stworzył to miejsce i nie pamiętał o tym jednym szczególe aż do teraz.

Zajrzała za pień.

Swego czasu Timur zbudował dla siebie i żony romantyczne miejsce przy oknie, z którego roztaczał się widok na tyły budynku: drzewa pod rozgwieżdżonym niebem i wzgórza w oddali. Dziewczynka siedziała na ławeczce w oknie, z kolanami pod brodą i palcami w uszach.

– Una. – „Dzięki Bogu”, pomyślała Nari. Podeszła do dziewczynki i położyła dłoń na jej ramieniu, ale Una jak zwykle ją zignorowała. – Hej. Dziecko, posłuchaj...

Dopiero wtedy zauważyła, że dziewczynka nuci. Una patrzyła przez okno na śnieg, dziki las i wzgórza, nucąc ten sam pierwotny rytm, który wciąż odbijał się echem w czaszce Nari.

Sajaara przeczołgała się przez łóżko.

– Słyszysz to? Ona...

Nari obróciła się na pięcie i rzuciła jej gniewne spojrzenie.

– Słyszę! Kurwa! Musimy spadać!

Zgarnęła dziewczynkę z siedziska w oknie, okrążyła niemożliwy świerk, wdrapała się na łóżko z Uną w ramionach i przemknęła między niemożliwymi brzożami, powtarzając sobie w myślach, że wcale ich tam nie ma. Ta pieśń *parnee* zrobiła coś z jej głową, odjechała jakąś hipnozę albo coś. Z ciemności nie wypęły żadne cienie poroży ani gałęzi. Nie.

Mowy nie ma.

Nie.

Sajaara dotknęła ramienia przyjaciółki, która wyniosła dziewczynkę na korytarz. Nigdzie nie było widać Timura.

– Co teraz zrobimy?

Nari wbiła w nią wzrok.

– Co zrobimy? Spierdolimy stąd.

Teig pociągnął kolejny łyk wódki. Pot perlił mu się na czole i spływał po karku. Mężczyzna siedział na podłodze, opierając się o drzwi i waląc tyłem głowy w drewno. Jeszcze parę minut temu próbował wymyślić, jak mogliby zabrać stąd Unę i uciec z tego miejsca, a teraz obawiał się, że może być na to za późno.

– Dość! – ryknął na wszystko i na nic. Jeszcze raz grzmotnął tyłem czaszki w drzwi, próbując uciszyć tę muzykę.

Albo recytację – czy co to, kurwa, było.

„Nie muzyka. Muzyka to niewłaściwe słowo. To jakiś cholerny haczyk na ryby”.

To było to. Haczyk w mózgu. Pograżony w żałobie dzieciak, który żył w nim od ponad dwudziestu lat, zawsze pragnął dowodu na istnienie zjawisk nadprzyrodzonych.

„Uważaj, czego sobie życzysz, idioto”.

Dobiegł go jęk. Kwilenie. Teig spojrział w lewo i zobaczył, jak Prentiss czołga się ku niemu, zostawiając za sobą smugę krwi z rannej nogi – krwi, która wsiąka w podłogę zalewaną od całych dekad whiskey, wódką i piwem.

– Prentiss, bracie... nie – powiedział Teig. – Stój. Rozerwiesz sobie te... – Zapomniał tego słowa. „Rany”, podsunął mu głos w głowie. Być może usta ułożyły się tak, by to wymówić, ale nie był pewien, czy cokolwiek wyartykułował. Pieśń wśliznęła się w jego mózg i coś mu tam namąciła.

Teig chwycił butelkę wódki. Picie przytępiło umysł. Osłabiała moc tej pieśni, jej zdolność do zagnieżdżenia się w głowie, ale jeśli chciał się wydostać z tego miejsca, to ile mógł wypić, żeby dać radę prowadzić? Nie zjechać z drogi?

Gdyby udało im się stąd uciec, rozbicie auta i tak by ich zabiło. Do świtu, jeśli nie wcześniej, zamarzliby na śmierć. Nie po raz pierwszy w jego głowie pojawił się obraz Jacka Nicholsona z finałowej sceny *Lśnienia*. „Kurwa, nie chcę tak skończyć. Siedząc w śniegu, ze zwisającymi z nosa soplami”.

O wiele łatwiej wyjść na zewnątrz. Taki właśnie miał plan, prawda? Dobiec do garażu, wsiąść do samochodu, podjechać pod drzwi frontowe, wpakować do auta Prentissa, dziewczynkę i Nari, jeśli chciałyby z nimi jechać, i zostawić za sobą ten lodowaty przystanek w piekle.

Teig jęknął. Chwycił butelkę wódki i podniósł się z wysiłkiem. Wziął łyk, ale lewą rękę trzymał na zasuwie drzwi. Za nimi, w ciemnościach, czaiły się wilki. Leżały trupy.

Chrząknął parę razy i z szyderczym grymasem roztrzaskał butelkę o framugę. Krople wódki zalśniły na ostrej jak brzytwa szklanej krawędzi. Wziął głęboki oddech, cofnął lewą rękę od zasuwki i spojrział na szorstką skórę dłoni.

„Dźgnij ją, przekręć rozbite szkło, a ból oczyści umysł”.

Ale o wiele łatwiej było ponownie sięgnąć do zasuwki, odsunąć ją i otworzyć drzwi... więc tak właśnie zrobił.

Nocne powietrze wdarło się do baru, tak zimne, że zaparło mu dech w piersi, ale też go otrzeźwiło. Wyprostował się i szeroko otworzył oczy. Wpatrywał się w noc. Po prawej, wzdłuż wąskiej drogi dojazdowej do tej ponurej, wymarłej osady, ogromny wilk ciągnął po śniegu ludzkie ciało, kierując się w stronę ciemności za garażem. Za bestią, znacznie dalej na drodze, poruszała się jakaś postać. Przypominała człowieka, ale jeśli tak, to był to człowiek olbrzymi, zgarbiony jak zwierzę, a gdy zastygał w bezruchu, wydawał się złudzeniem optycznym.

Czyjaś ręka chwyciła za kaptur jego parki i wciągnęła go z powrotem do baru. Przez pół sekundy Teig myślał, że to Prentiss, ale wtedy ta silna ręka obróciła go i zobaczył swego przyjaciela na podłodze. Uświadomił sobie, że to nie mógł być on. Prentiss miał gorączkę. I okaleczone kolano. Został zaatakowany przez głodne wilki.

Facetem, który go złapał, był Timur. Wielki barman trzymał w lewej ręce karabin, a prawą wymierzył Teigowi mocny policzek.

– Co to, kurwa, było? – warknął Teig.

Timur patrzył na niego z troską i przestraczem.

– W porządku?

– Ta pieśń? – spytał, spoglądając na Timura. – Inkantacja?

Zaczął naśladować rytm, który przed chwilą słyszał w myślach, ale Timur energicznie potrząsnął głową i spróbował zakryć mu usta.

– Teig! – wychrypiał Prentiss.

Wciąż czołgał się w stronę drzwi. Lodowate powietrze wpadało do baru. Twarz Prentissa już poczerwieniała od uderzeń wiatru. Wyglądał żałośnie. Zatrzymał się na moment i zaczął walić pięścią we własną czaszkę.

– Ucisz to! – charczał.

Wtedy Teig zdał sobie sprawę, że śpiewna recytacja nie ustała. Od uderzenia Timura rozjaśniło mu się w głowie, ale teraz, kiedy znów docierała do jego świadomości, poczuł, że haczyk na ryby wciąż tkwi w jego mózgu, wciąż go szarpie i ciągnie. Jęknął i uderzył się w twarz. Czuł się głupio, ale wiedział, że zrobiłby wszystko, byle to przerwać. Na podłodze leżała rozbita butelka po wódce. Upuścił utraconą szyjkę, kiedy Timur złapał go za kaptur, ale gdyby musiał, nie zawahałby się zadać sobie bólu, tak jak zamierzał.

Teig chwycił za lufę karabinu Timura.

– Daj mi to.

Timur próbował mu go odebrać, ale Teig wskazał za siebie.

– Idę po samochód. Potrzebuję broni.

– Umiesz strzelać? – zapytał Timur.

– Mój ojciec zadbał o to, żebym umiał odstrzelić ogon uciekającemu królikowi. Poradzę sobie.

Timur mówił po angielsku dość przyzwoicie, ale rozumiał znacznie więcej. Puścił karabin, zmrużył oczy i pchnął Teiga w stronę drzwi.

– Biegnij szybciej niż królik.

Wychodząc na zewnątrz, na ulicę, powinien czuć się wolny. Noc powinna się przed nim otwierać i rozciągać w nieskończoność, a zamiast tego go pochłonęła. Owiało go ostre powietrze, wiatr przenikał ubranie i ciało, zdając się ciąć aż do kości. Teigowi chciało się krzyczeć. Dźwięk w głębi czaszki pozostał, ale zimno go stłumiło, a kiedy Teig przebiegał przez drogę w kierunku garażu, z ust wyrwał mu się maniackalny śmiech. Zimno? Co to w ogóle za słowo? Nawet „mrozące zimno” wydawało się absurdem, kiedy temperatura spadła poniżej punktu zamarzania jakiegoś trzydziestu stopni temu. W takich warunkach język okazywał się zawodny. Czy miejscowi mieli słownictwo na taki ziąb? Czy umieli nazwać powietrze tak zimne, że szorowało skórę, wrzynało się w nią, chciało wydrzeć ci życie?

Z karabinem w dłoni przepatrywał cienie, spodziewając się jakiegoś ruchu. „Jezu Chryste, nie pozwól im się poruszyć”. W tych ciemnościach, gdy ciężkim krokiem przebiegał przez ulicę, ledwie mógł dostrzec kształty dwóch albo trzech ciał na ziemi. W jednym z domów przy drodze otworzyły się drzwi i ze środka wysunęła się niepewnie czyjaś głowa. Teig wiedział, że powinien krzyknąć, żeby ten człowiek się schował, ale nie znał ludzi, którzy tu mieszkali, i za nich nie odpowiadał. A jeśli chciał uratować Prentissa i Unę, nie mógł zajmować się nikim innym.

Kiedy jego siostrę uwieziono w vanie ze szczeniaczkiem, sam był jeszcze dzieckiem i nie mógł nic zrobić. To potworne zdarzenie od wielu lat nawiedzało go w koszmarach, a podświadomość malowała przerażające obrazy Olivii w tyle furgonetki i tych ohydnych rzeczy, które jej zrobiono. Ale nie był już dzieckiem. Teraz mógł działać. Mógł uratować tę dziewczynkę i tego mężczyznę, który był mu tak bliski jak brat.

Zimno pozbawiło go resztek sił, lecz jakoś dotarł do garażu, otworzył ciężkie drzwi i wszedł do środka. Dopiero kiedy je za sobą zamknął, zdał sobie sprawę, jak wielki hałas panował w ciemnościach. Wiatr, skrzypienie drzew, głośnie trzeszczenie śniegu i lodu. Teraz wszystko ucichło, łącznie z tym mamiącym rytmem w jego czaszce. Umilkł, odcięty od źródła.

Przed przybyciem do tej części świata uznalby, że temperatura panująca w garażu jest zbyt zimna, by coś mogło w nim przeżyć, i pewnie tak właśnie było, na dłuższą metę. Ale w porównaniu z warunkami na ulicy czuł się tu jak w tropikach. Liczył się tylko cel istnienia tego pomieszczenia, a było nim utrzymywanie pojazdów w temperaturze pozwalającej na ponowne uruchomienie silnika.

Przebiegł przez halę. Z uwagi na zamknięty bar nie znajdowało się tam zbyt wielu samochodów. Niektóre inne budynki musiały mieć własne małe garaże, ale w środku stało kilkanaście pojazdów, które należały do mieszkańców osady. Wyjątkiem była terenówka, która dowiozła Prentissa i Teiga aż tutaj, a Kaskiła na jego spotkanie ze śmiercią.

„Nie zaczynaj – pomyślał. – Jeśli masz czuć się winny, poczekaj z tym, aż wszyscy będziecie bezpieczni”.

Teig dopadł do samochodu, otworzył drzwi, wśliznął się na siedzenie kierowcy i położył karabin obok siebie. Jego myśli zaczęły się rwać i rozpraszać. Dlaczego wilki za nim nie pobiegły? Gdzie się podziały?

W jego sercu zatliła się nadzieja, ale szybko ją stłumił. Mogła być ułuda, jak wizja oazy na pustyni, a on nie chciał się jej poddawać.

Przekręcił kluczyk i silnik ożył z rykiem, bez jednego kaszlnięcia. Teig poprawił leżący obok karabin, a potem, przygotowany na wszystko, ruszył do wyjazdu z garażu, by po chwili znów znaleźć się na zewnątrz, w paraliżującym zimnie.

Od drzwi frontowych baru nie mogło go dzielić więcej niż czterdzieści pięć metrów, ale i tak wcisnął pedał gazu. W połowie drogi położył dłoń na klaksonie. Chociaż głośny, ryk klaksonu był czymś tak bardzo zwyczajnym, że odczuwany przez Teiga strach przez moment wydał mu się przesadzony, wręcz absurdalny.

Drzwi baru się otworzyły i jako pierwsi wyszli Timur z Sajaarą. Teig poczuł lekką niechęć. Był potrzebny Prentissowi. I tej małej, Unie. To oni mieli pierwszeństwo. Timur powinien pomóc mu z Prentissem. Co, do cholery, było nie tak z tymi...

Nie dokończył myśli, bo nagle ujrzał wilki. Wyłoniły się z mroku między budynkami i zza baru, trzymały się nisko przy ziemi, a przebijające się przez chmury blade światło gwiazd ledwie je muskało.

Sajaara krzyknęła. Teig przeklął, chwycił karabin i wyskoczył, nie wyłączając silnika. Widział ich uszy, kształt pysków, złowrogi blask ślepi i szybkie migotanie poruszających się łap. Wilki biegły bezgłośnie, z rozmysłem.

Teig wycelował i strzelił pierwszemu w szyję. Pocisk szarpnął bestią, obrócił nią, aż pośliznęła się na płacie stwardniałego śniegu, ale nie wydała żadnego dźwięku. Nawet skowytu.

– Ruchy! – wrzasnął Teig.

Timur miał drugi karabin, przewieszony przez ramię. Jedną rękę trzymał na plecach żony, ale gdy tylko otworzył tylne drzwi uaza i wepchnął Sajaarę do środka, zajął pozycję obok Teiga i rzucił coś po jakucku. Teig miał nadzieję, że dobrze go zrozumiał, ale nawet jeśli Timur wcale nie kazał mu iść pomóc innym, i tak właśnie to zamierzał zrobić.

Nari wyszła z baru z Uną na rękach, niosąc ją jak małe dziecko. Dziewczynka wciąż tkwiła w katatonii, więc tak było najlepiej. Dzieci uwięzione w swoich głowach nie słyną z pośpiechu.

– Gdzie jest Prentiss? – spytał Teig.

– Idę, kurwa – dobiegło go od drzwi frontowych.

Nari przeniosła wzrok z jednego na drugiego.

– Zaraz wrócę – powiedziała, co jak uznał Teig, oznaczało, że chce mu pomóc zanieść rannego Anglika do uaza.

– Nie – zaprotestował. – Wsiądźcie i zablokujcie drzwi.

Coś błysnęło w jej oczach, odrobina złości i pogardy, że próbuje chronić ją swoim kosztem. „Nie zgrywaj bohatera”, mówiło jej spojrzenie. Weźmie to sobie do serca, ale to nie czas na dyskusje.

Strzały z karabinu wciąż huczały, odbijając się echem od budynków i nisko wiszącego nieba. Timur zastrzelił dwa wilki. Teig dobiegł do drzwi baru, oparł kolbę sztucera o ramię i strzelił do następnego, który wyskoczył zza rogu.

– Pomóż mi, do cholery! – stękał Prentiss, ale najwyraźniej dobrze sobie radził sam. Przytrzymując się framugi, żeby utrzymać równowagę, podniósł się i stanął na jednej nodze.

Teig wsunął mu się pod ramię i przejął na siebie jego ciężar, na wpół prowadząc, na wpół ciągnąc go w stronę auta. Zimno zawładnęło jego ciałem, odebrało mu czucie, nawet myśli zaczęły spowalniać. W samochodzie Sajaara przechyliła się przez przednie siedzenie i uderzyła dłonią w klakson, być może sądząc, że to odstraszy wilki.

Nie odstraszyło.

Timur zastrzelił kolejnego. Ile zostało mu naboji? Teig miał drugi karabin przewieszony przez lewe ramię, ale w tej chwili podtrzymywał Prentissa, więc nie mógł pomóc Timurowi. Żeby strzelać do wilków, musiałby porzucić przyjaciela na ulicy, a tego na pewno nie zamierzał zrobić.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch i zerknął w tę stronę, gdzie zastrzelił wilka, który wyskoczył zza rogu baru. Teraz były tam dwa inne, skradały się powoli, a jemu przemknęła przez głowę myśl, ile tych bestii będą

musieli zabić, żeby stąd uciec.

Za tymi dwoma leżały zwłoki tamtego zastrzelonego. Zanim Teig odwrócił wzrok, zobaczył, jak znad martwego ciała unosi się i wiruje w powietrzu smuga czarnego dymu. Dym zmienił się w cień, wtopił w mrok i zabity wilk zniknął, jakby nigdy go tam nie było.

Świadomość, że już niczego nie sposób być pewnym, ścisnęła mu żołądek. Niczego nie mógł uważać za realne czy prawdziwe.

– Szybko! – krzychała do nich Nari. Zatrzymała się przy otwartych drzwiach od strony kierowcy i postawiła Unę na ziemi. Dziewczynka może i była w katatonii, ale stała o własnych siłach. – Rusz tyłek!

– O Boże – wysapał Prentiss, prawie skomląc, gdy Teig taszczył go w stronę auta. – Jak cholernie zimno.

Podskakiwał na jednej nodze, ramieniem obejmując Teiga za szyję, niezdolny obciążyć choćby w najmniejszym stopniu złamanego kolana. Kiedy zaczął o coś butem i przeciągnął okaleczoną nogą kilka centymetrów po ziemi, krzyknął z bólu i musieli się zatrzymać. Opierając się o siebie nawzajem, głowa przy głowie, oddychali ciężko.

– Felix – wychrypiął Prentiss w ucho przyjaciela łamiącym się głosem, jakby miał się rozplakać. – Słyszysz to?

Do tej chwili Teig to blokował. Strzały, krzyki, a może też adrenalina odwracały jego uwagę od tego rytmu, który znów wśliznął się mu do głowy, od tej niemuzyki, która dudniła i wypełniała mu czaszkę. Ale gdy tylko Prentiss o tym wspomniał, Teig poczuł, jak haczyk na ryby na nowo zagłębia się w jego pierś. Wyprostował się, aż Prentiss musiał kurczowo objąć go za szyję. Teig poczuł zew i odwrócił się, aby spojrzeć w głąb ciemnej ulicy. Z domów wyszło jeszcze kilka osób, wywabionych hałasem klaksonu, strzałów i krzyków. Przynajmniej tak sądził.

Sajaara zrobiła to, co zrobiłby każdy. Krzyknęła coś do nich i pobiegła w ich stronę. Na drodze leżały zwłoki, ale ci ludzie żyli, a jej instynkt prowadził ją ku temu, co znajome. Jej mąż zastrzelił wilki, które jeszcze przed chwilą odgradzały ją od sąsiadów. Teig nie znał ich języka, więc nie mógł być pewien, czy Sajaara błagała przyjaciół o pomoc, czy ostrzegała ich przed niebezpieczeństwem.

Jak za pociągnięciem sznurka trzy ciemne postacie na ulicy odwróciły się i ruszyły, powłócząc nogami, w jej kierunku. Teig ujrzał, że Sajaara nagle się zawahała, jakby pomimo desperacji wyczuła w nich coś niepokojącego.

– Timur – rzucił krótko, znowu ciągnąc Prentissa w stronę samochodu. – Zatrzymaj ją! Coś jest nie...

Ale Timur też to dostrzegł. Tamci sąsiedzi – ci, którzy teraz leżeli martwi – nie wyszli na ulicę z własnej woli. Zostali wywabieni z domów przez ten nagły rytm, który rozbrzmiewał w powietrzu, tę pieśń, która wbijała się w ich kości. Nie odpowiedzieli na wołanie Sajaary... ale rzucili się w jej stronę z rozłożonymi ramionami, a wtedy ona zdała sobie sprawę, że jej sąsiadom coś się stało. Coś strasznego.

– Do auta! – krzyknął Teig. – Pomóż mi z nim!

– Nie potrzebuję więcej pomocy – warknął Prentiss. – Zostaw mnie i rusz dupę!

Nari podniosła wzrok, przestraszona i zdezorientowana, ale zdołała posadzić dziewczynkę na przednim siedzeniu auta. Potem przytrzymała otwarte drzwi i pomogła Teigowi wepchnąć Prentissa na tył. Anglik krzyknął z bólu, przeciągając ranną nogę po siedzeniu.

Ludzie na ulicy poruszali się szybko, jak gdyby zmieniali się w ciemnościach – z ich czaszek wysuwały się postrzępione smugi cienia, jakby ci wszyscy robotnicy, kierowcy ciężarówek i kelnerki...

„O kurwa, nie – pomyślał Teig. – Bez jaj!”

Wyglądało to tak, jakby wyrosły im poroża. To było niemożliwe. Niemożliwe.

Timur, z karabinem w rękę, puścił się biegiem za żonę, wykrzykując jej imię. Teig poczuł, że oddech więźnie mu w gardle, ale stał za daleko, żeby pomóc, i mógł tylko patrzeć, jak Sajaara w końcu zauważa, co ta noc zrobiła z jej sąsiadami. Myślał, że zacznie krzyczeć, ale ona tylko się zatrzymała z lekkim poślizgiem i zawróciła. Potknęła się raz, biegnąc z powrotem w stronę Timura – w stronę samochodu i nadziei na ucieczkę.

– Teig. – Nari chwyciła go za ramię, zwracając jego uwagę na dwa wilki skradające się za rogiem baru.

– Wsiądź do auta – powiedział, zdejmując karabin.

– Ale...

Powietrze wypełniło echo wystrzału. Teig odwrócił się i ujrzał, jak Timur oddaje drugi strzał. Trzy ludzkie postacie pędziły za Sajaarą, która biegła w stronę męża. Dzielilo ją od niego tylko sześć metrów. Cztery metry. Strzały Timura nie spowolniły ścigających, ale wycelował raz jeszcze.

Zza samochodu dobiegł głuchy warkot. To były te dwa skradające się wilki. Prentiss zaczął kląć i krzyczeć do przyjaciela, żeby wsiadał. Nari chwyciła karabin Teiga obiema rękami i popchnęła go nim ku drzwiom od strony kierowcy, po czym sama rzuciła się przez nie do środka, podniosła milczącą Unę z siedzenia i posadziła ją sobie na kolanach, a potem odwróciła się i krzyknęła na Amerykanina.

Teig podał jej karabin i wśliznął się na miejsce kierowcy. Wyciągnął rękę, żeby zatrzasać drzwi. Gdy chwycił za klamkę, z ciemności wyskoczył wilk. Drzwi trzasnęły, a bestia uderzyła o metal z głuchym łoskotem, który w niczym nie przypominał cienia.

Nawet przez zamknięte okno usłyszeli krzyk Sajaary.

Siedzący z tyłu Prentiss zaklął głosem ochrypłym od bólu i strachu.

– Co tu się, kurwa, dzieje?!

W wąskim ślepych zaułku między barem a garażem pierwszy z sąsiadów dopadł Sajaary. Pochylił głowę i uderzył ją od tyłu. W tym chaosie na drodze trudno było cokolwiek dostrzec, ale Teig wrzucił tryb jazdy, skręcił kierownicę w lewo i ruszył w stronę krzyku. Światło reflektorów zmieniło całą scenę w makabryczną dioramę, jakby rozgrywający się tam koszmar był tylko zamrożoną iluzją. Czymkolwiek stali się ci sąsiedzi, z ich czaszek faktycznie sterczały poroża. Stojąca za Sajaarą kobieta przebiła jej lewe ramię długim rogiem, czym powaliła ją na zamrożoną ziemię.

Timur strzelił napastniczo w czoło, a ona przewróciła się, pociągając nabitą na róg Sajaarę za sobą. Dwaj inni sąsiedzi cofnęli się, odstraszeni karabinem i światłem. Teig pędził w ich stronę z rykiem silnika, ale Timur się nie odwrócił. Nie odważył się.

Coś w tym dobrym człowieku pękło. Wołając imię żony, chwycił ją i pociągnął ku sobie, nie śmiąc zrobić nic więcej, aby jej pomóc. Sajaara znowu krzyknęła, uwalniając się szarpnięciem od rogu przebijającego jej plecy. Jakimś cudem zerwała się na nogi, a wtedy reszta sąsiadów rzuciła się ku niej.

Timur krzyknął, żeby uciekała, a do Teiga, by ich ratował. Pociągnął za spust, ale komora była pusta, i już zaczął odwracać karabin, żeby posłużyć się nim jak pałą, kiedy dwaj sąsiedzi dopadli go i zaczęli zadawać mu ciosy rogami.

Nari przedostała się na tylne siedzenie i warknęła na Prentissa, żeby się przesunął, a kiedy Teig ostro zahamował, szarpnięciem otworzyła tylne drzwi i wyskoczyła. Chwyciła zakrwawioną, płaczącą Sajaarę, po czym wciągnęła ją do samochodu i zatrzasała drzwi, tuż zanim wilki zdążyły do nich dopaść.

– Gazu! – wychrypiał Prentiss.

Teig rzucił ostatnie spojrzenie na to, co sąsiedzi robili Timurowi. Wrzucił wsteczny, zakręcił kierownicą i cofnął, próbując zawrócić. Coś uderzyło w bok uaza od strony pasażera, tuż obok dziewczynki. Kątem oka zauważył, że otwierają się drzwi kolejnego domu i na ulicę wychodzi jeszcze jeden sąsiad, większy od innych. Wręcz nieprawdopodobnie wielki. W tej samej chwili wilk podskoczył i grzotnął pyskiem w okno, warcząc wściekle. Dziewczynka nawet nie drgnęła.

Teig wrzucił tryb jazdy, wcisnął pedał gazu, znowu zakręcił kierownicą i kiedy zahaczył o róg garażu, stracił lusterko po stronie pasażera, ale opony wgrzyły się w wieczną zmarzlinę, tak że terenówka wyprysnęła w stronę głównej drogi.

Przed nimi reflektory oświetliły jeszcze jedną rogatą postać, inną niż wszystkie pozostałe. To właściwie nie był już człowiek, tylko cień, błysk żółtych oczu, falowanie brązowej sierści.

Siedząca z tyłu Sajaara krzyknęła.

Nari przechyliła się przez siedzenie i wskazała istotę na drodze.

– *Parnee!* Nie zatrzymuj się! Nie zatrzymuj!

Teig mocniej ścisnął kierownicę. Jeśli to był *parnee*, to się zmienił, był jeszcze mniej ludzki niż wcześniej. Uaz wjechał w niego z prędkością sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, a siła uderzenia wciągnęła go pod pojazd, który podskoczył, przejeżdżając po nim kołami od strony pasażera. I koniec. Dalej przed nimi było pusto. Światła reflektorów wyłowiły z ciemności główną drogę i Teig przyhamował, a potem skręcił w lewo. Wjeżdżając na Drogę Kości, zerknął w lusterko wsteczne. W czerwonym blasku światła hamowania ujrzał, że *parnee* się podnosi, jak gdyby poruszał nim niewidzialny marionetkarz. Jego cień był

niesamowicie długi, dłuższy niż wcześniej, a rogi jakby wrzynały się w mrok. Gdy ruszył w ich stronę, sadząc susy, drzewa rosnące po obu stronach drogi zdawały się skłaniać w ślad za nim.

Kiedy pół kilometra dalej Teig znowu spojrział w lusterko, za nimi była już tylko noc. Serce nadal waliło mu w piersi, głośniejsze niż kiedykolwiek. Nieludzko głośno. Na tylnym siedzeniu Nari szeptała obiecując Sajaarze, że wszystko będzie dobrze. Sajaara szlochała, powtarzając w kółko imię zabitego męża. Teig przeniósł wzrok na Prentissa, zaniepokojony milczeniem przyjaciela, ale wielki Anglik po prostu siedział ciężko na swoim miejscu, krzywiąc się z bólu, z wyrazem szoku w szklistych oczach.

Siedząca obok Teiga Una pozostała taka, jaką ją znaleźli: milcząca, z pustym wyrazem twarzy, całkowicie nieporuszona. Teig chciał krzyczeć, płakać albo po prostu wybudzić się z tego koszmaru, bo to nie mogła być przecież rzeczywistość. Niektórzy wierzyli w duchy i on też zawsze chciał w nie wierzyć, ale to coś nie było takie proste i ciche jak nawiedzenie. Wszystko, co zobaczył... to musiała być halucynacja. Epizod psychotyczny. Znał takie przypadki. Powinien zapytać innych, co widzieli, ale zamiast tego zagryzł wargi tak mocno, że poczuł smak krwi, byle tylko uniknąć zadawania tych pytań. Za bardzo bał się tego, co usłyszy, za bardzo bał się odpowiedzi.

– Jedź – wyszeptał do siebie. – Po prostu jedź.

Wziął głęboki, drżący oddech, wyprostował się i wbił wzrok w drogę przed sobą, ignorując ból, strach i rozpacz panujące w samochodzie. „Bądź jak ta mała – pomyślał i prawie roześmiał się na głos. – Racja, Teig. Wzoruj się na katatonicznej dziewięciolatce”. Ale tak właśnie by zrobił, gdyby musiał. Żeby tylko dotrzeć do końca tej drogi.

Nie wiedział, czy Sajaara przeżyje mimo ran, ale tak czy inaczej dowiedzie ją i Prentissa do szpitala. A Nari w bezpieczne miejsce. A małą do jej prababci. Wróci do domu żywy i znajdzie sobie inny zawód.

Terenówka podskoczyła na dziurze w jezdni i zagrzechotała na koleinach, a on po raz pierwszy nie myślał o tych wszystkich ciałach pogrzebanych pod Drogą Kości. Myślał o *parnee*, srogim i niewzruszonym w blasku reflektorów.

Zerknął w lusterko wsteczne i ujrzał tylko ciemność, ale i tak mocniej wcisnął pedał gazu.

Jeszcze nigdy tak bardzo nie pragnął wschodu słońca.

Ludmiła rozumiała, czym jest gorliwa wiara, ale sama nigdy nie uważała się za przesadnie gorliwą. Znała ludzi znacznie żarliwszych niż ona. Alfryd często komplementował siłę jej wiary, ale choć mogłaby się z nim o to sprzeczać, zazwyczaj opierała się tej pokusie. Bo jak wyjaśnić, że jej silna wiara nie oznaczała wolności od zwątpienia? Miała pytania, oczywiście. Rozterki i refleksje. Jej babka wyznawała zupełnie inną wiarę, żyła i oddychała religią opartą na wierzeniach, które w wielu częściach świata zastąpiło chrześcijaństwo. Oczywiście, że Ludmiłą targały wątpliwości.

Jednak w realizacji swojego celu była absolutnie niezłomna. Jej mała osobista krucjata, jak o tym myślała, była czysta.

Ale i tu zdarzały się chwile słabości. Na przykład teraz. Stała w ciemnościach, zziębnięta do szpiku kości, i przechylała kanister, czekając, aż paliwo przeleje się z bulgotem i napełni bak. Całe to chodzenie, ruch i noszenie ciężarów utrzymywały ją w niezłej kondycji jak na kobietę w jej wieku, ale nie mogła udawać, że ta mała krucjata nie zaczęła jej męczyć. W bagażniku woziła cztery kanistry. Teraz trzymała w ręku drugi z nich, uzupełniając paliwo, które spaliła, pozostawiając samochód na chodzie, kiedy chodziła tam i z powrotem wzdłuż drogi, odmawiając modlitwy i śpiewając pieśni żałobne nad kośćmi ludzi nieżyjących od kilkudziesięciu lat.

W głębi duszy słyszała szept prawdy. Prawdy, którą rzadko przyznawała sama przed sobą i której nigdy nie wyznałaby Alfrydowi, nie wypowiedziałaby na głos przed duchami na Trakcie Kołymskim ani w myślach, gdy rozmawiała ze zmarłymi matką i babką. Ta prawda sprawiała, że czuła się nieszczerą, jakby głośne przyznanie się do niej stanowiło zdradę celu, który sobie postawiła.

Tej nocy była bardziej wyczerpana niż zwykle. Przez ostatnią godzinę bolała ją szyja, a teraz ból rozprzestrzenił się na szczękę i plecy. Musiała naciągnąć sobie mięsień, co według jej doświadczenia często wywoływało reakcję łańcuchową, wskutek której ból mógł promieniować w dół, do biodra, i w górę, do zębów. Zabolało ją lewe ucho.

Nie miała zwyczaju się skarżyć. Nigdy. Ale niechęć do mówienia o drobnych przykrościach, które przynosiło jej życie, nie oznaczała, że była na nie odporna. Alfryd powiedział jej kiedyś, że starzenie się nie jest dla słabeuszy, a ona się roześmiała.

Ale teraz nie było jej do śmiechu. Tej nocy w wielkiej tajemnicy marzyła, aby znaleźć się w domu i posłuchać Springsteena. Latem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku, gdy była już pod czterdziestką, Ludmiła wybrała się do Niemiec Wschodnich na zaproszenie brata i jego żony. Był to pierwszy z zaledwie trzech razy, kiedy opuściła Syberię, ale tamten wyjazd zmienił ją na zawsze. We Wschodnich Niemczech, wciąż pozostających w okowach sowieckich rządów, roiło się od ludzi, a styl życia, zwłaszcza młodych, w Berlinie Wschodnim wywarł na niej nieprzeparte wrażenie. Wieczorem dziewiętnastego lipca jej brat zabrał ją na koncert amerykańskiego gwiazdora rocka Bruce'a Springsteena, który występował na żywo przy murze berlińskim. Władze zezwoliły na ten koncert, aby uciszyć coraz głośniejszy pomruk buntu wśród wschodnioniemieckiej młodzieży, ale to wydarzenie, zamiast uspokoić rewolucyjne nastroje, jeszcze je podsyciło i zachęciło młodych do walki o zrzućenie sowieckiego jarzma.

Ludmiły nie obchodziły ani polityka, ani władza. Mieszkała przy Trakcie Kołymskim i takie sprawy nigdy nie miały wielkiego wpływu na jej życie. Ale tamtego wieczoru, kiedy spocona tańczyła przed murem berlińskim do zawodzącego śpiewu tego Amerykanina o chrapliwym głosie, zakochała się w rock'n'rollu.

Znała tylko połowę tekstu każdej piosenki, no i rozumiała połowę tego, co znała, a resztę piąte przez dziesiąte, ale tak czy inaczej dzięki Bruce'owi liźnęła trochę angielskiego. Wspomnienie tamtego wieczoru sprawiło, że korciło ją, aby wrócić teraz do domu, zaparzyć sobie herbaty i posłuchać starej kasyety *Darkness on the Edge of Town*. Ale jeszcze nie skończyła dzisiejszych modlitw.

Musiała uwolnić duchy pogrzebanych pod jej stopami. Wierzyła, że są świadome jej obecności, a wieść o tym, że Ludmiła nadchodzi, aby je wyzwolić, niesie się szeptem wzdłuż drogi. Wiedziała, że jej potrzebują. Jeśli więc czasem chciała odpocząć i posłuchać Bruce'a, był to jej sekret – coś, czego nigdy nie zdradziłaby Alfrydowi i do czego rzadko przyznawała się nawet przed sobą.

W baku zabulgotało, więc odsunęła kanister od wlewu i odstawiła go na ziemię. Wiatr wdarł się pod jej kaptur, w tę lukę, gdzie kominiarka nie zachodziła na kołnierz swetra. Odślonięta skóra zapiekła jak otarcie

od szubienicznego sznura.

Było zbyt zimno, by się ociągać. Zrobiła wdech, podniosła kanister z drogi i włożyła go do otwartego bagażnika na odpowiednie miejsce – drugie w rzędzie czterech kanistrów. Na moment zakreśliła jej się w głowie, więc oparła się o samochód, żeby złapać oddech. Ziąb i wiatr nie ułatwiały oddychania, a dzisiejsza noc nie była wyjątkiem.

A może jednak była. Odzyskanie jasności umysłu zajęło jej kilka sekund.

Ludmiła zatrzasnęła bagażnik, zakreśliła korek wlewu paliwa i zamknęła klapkę, a potem poszła usiąść na miejscu kierowcy. Kilkuminutowy odpoczynek przy mocno podkręconym ogrzewaniu był wszystkim, czego potrzebowała. Ale żadnej muzyki. Gdyby jakąś włączyła, nawet Bruce'a, na pewno by zasnęła, a przecież tej nocy miała jeszcze do przejścia dwa i pół kilometra.

Próbowała złapać oddech, krzywiąc się z bólu, który promieniował przez ramię aż do karku. „Wysiądź – pomyślała. – Ruch pomoże rozluźnić mięśnie. Zapomnij o domu i Brusie”.

Ta myśl skłoniła ją do działania. Skoro wyeliminowała ryzyko, że w samochodzie zabraknie benzyny, tym, co powstrzymywało ją przed dokończeniem dzisiejszego zadania, były zmęczenie i postępujący wiek, a ona nie zamierzała pozwalać, aby te przeszkody stanęły jej na drodze.

Ludmiła wysiadła z samochodu, wzięła oddech i zatrzasnęła za sobą drzwi. Z rury wydechowej ulatywały smugi dymu, skąpane w czerwieni świateł hamowania. Zmusiła się do uśmiechu i zaprzyjaźniła z lodowatym zimnem. Mimo kłuszącego mrozu wiedziała, że da sobie radę, bo przez te wszystkie lata, w czasie których straciła palce u rąk i nóg, nauczyła się, co powinna na siebie wkładać i ile czasu może przebywać na zimnie, zanim wróci do auta. W rękawiczkach miała ogrzewacze do rąk, a w butach ogrzewacze do stóp.

Mimo pulsującego w szyi, plecach i ramionach bólu – wiek dawał się jej we znaki – zaczęła cicho śpiewać w ciepłe kominiarki: „Dziś są tu upadłe anioły i czekają na nas...”.

Zmarszczyła brwi, zła na siebie, że zapomniała dalszego ciągu piosenki i że pozwoliła sobie na takie rozkojarzenie. Ta melodia wciąż do niej wracała. Oczywiście *Drive All Night* Bruce'a. Czasem wnikała w jej podświadomość, kiedy Ludmiła jeździła przez całą noc, ale czym innym było rozkojarzenie podczas jazdy, a czym innym teraz, kiedy powinna się modlić.

Przeszył ją dreszcz poczucia winy i wbiła wzrok w drogę pod swoimi butami. Wciąż była w zasięgu blasku świateł hamowania. Szeptem przeprosiła duchy, które ją otaczały, ale zaraz się uśmiechnęła. Wiedziała, że jej przebaczą. Znały jej serce i jej oddanie dla nich.

Nabrała oddechu, wyparła piosenkę z myśli i ruszyła dalej. Buty zachrzącały na wiecznej zmarzlinie. Uniosła ręce nad głowę i zaczęła śpiewać, ale tym razem jej pieśń stała się modlitwą, a modlitwy stały się rytuałem. Znowu czuła umarłych, byli tak blisko, że gdyby nie kominiarka na twarzy, ich oddechy muskałyby jej policzki.

– Witajcie, moi przyjaciele – powiedziała. – Znacie mnie. Szeptane wieści, które do was dotarły, mówiły prawdę. – Ludmiła spuściła wzrok, pewna, że widzi zarys kości pod powierzchnią drogi, wszystkie krawędzie, wypukłości i wgłębienia konturów każdego szkieletu. – Bądźcie błogosławieni – zaintonowała. – Porzucicie wszelkie przywiązanie do spraw doczesnych. Pan na was czeka.

Wiał porywisty wiatr, a mróz kęsał coraz głębiej, ale ona była myślami gdzieś indziej. Szła dalej, modląc się z otwartym sercem. Słyszała ich ciche głosy, czuła ich tęsknotę i wdzięczność. Stopy zdrętwiały jej w butach, co jak zawsze zignorowała, ale nie mogła zignorować bólu w karku i wzdłuż ramion. Uniosła ręce i zaczęła nowe błogosławieństwo. Głos jej się załamywał i zacinął, więc musiała przerwać i opuścić ręce.

Obraz przed oczami zaczął się rozmywać, myśli też.

Ludmiła spróbowała wyciągnąć rękę, żeby pomasażować grzbiet nosa. Czasem to pomagało, nawet przez rękawice na dłoniach i kominiarkę na twarzy. Ale kiedy uniosła rękę, poczuła w piersi nowy paroksyzm bólu.

„Dziękujemy”, wyszeptał jakiś głos w jej uchu. Wiele głosów naraz, wirujących na lodowatym wietrze. Ludmiła setki razy słyszała wyrazy wdzięczności zmarłych, ale tym razem nie brzmiało to jak zwykłe podziękowanie – raczej jak pożegnanie.

„Nie”. Udało jej się obrócić. Blask tylnych świateł wydawał się dość bliski. Miała wrażenie, że odeszła znacznie dalej, ale wyglądało na to, że pokonała tylko pierwsze sto metrów.

Wzięła głęboki oddech, zebrała się w sobie i ruszyła z powrotem do samochodu. Duchy uwięzione pod Drogą Kości cierpiały od kilkudziesięciu lat, niezdolne przenieść się do świata, który czekał na nie po śmierci, a ona poświęciła im życie. Ale uwolniła już tysiące, a po tych wszystkich latach następny kilometr czy dwa

mógł poczekać do jutra.

Potrzebowała odpoczynku i herbaty, a być może też lekarza.

Powłócząc nogami w stronę samochodu, zachwiała się i prawie straciła równowagę. Blask tylnych świateł się rozmył. Docierały do niej kolejne szepty, ale po kilku sekundach zdała sobie sprawę, że słyszy własny głos, cicho śpiewający Springsteena.

– Przysięgam, będę jechać całą noc – zanuciła i uśmiechnęła się do siebie, bo dalsza część tekstu mówiła o kupowaniu butów, a nigdy jej nie rozumiała. „Kto wie, co autor miał na myśli – zastanawiała się. – Amerykanie są tacy dziwni”.

Ból ścisnął jej klatkę piersiową. Skuliła ramiona. Spojrzała w kierunku niewyraźnych tylnych świateł oddalonych jeszcze o prawie pięćdziesiąt metrów, zobaczyła kłęby spalin za samochodem i ruszyła dalej. Jeden krok. Drugi i trzeci. Ale przy czwartym ugięły jej się nogi i upadła na drogę, trzymając się za serce. Obraz jej się zamazał. Wyciągnęła drżącą rękę w kierunku ciepła czekającego we wnętrzu pojazdu, ciepła, które mogło ocalić jej życie.

Pod sobą usłyszała szepty. Czuła leżących pod nią zmarłych i wiedziała, że po raz pierwszy to oni modlili się za nią.

Zamknęła oczy i odpłynęła, choć nie przestała oddychać. Serce miała ściśnięte, ale krew nadal krążyła. Macki zabójczego ziąbu oplatały ją i wpijały się coraz głębiej. Powieki pokrył szron.

Już niedługo.

Nari oddałaby wszystko, żeby tylko wrócić do poranka i zacząć ten dzień od nowa. Obudzić się z tego koszmaru we własnym łóżku, z łomoczącym ze strachu sercem. Ale żadne życzenia nie mogły wymazać tej nocy, bez względu na to, jak nierzeczywista się wydawała.

– Nic ci nie jest – powiedziała do Sajaary w ich wspólnym języku. – Wszystko będzie dobrze. – Wiedziała, że to dwie zupełnie różne rzeczy. Pierwsza była z pewnością kłamstwem, druga pragnieniem.

Byli ściśnięci na tylnym siedzeniu – Nari, Sajaara i Prentiss. Wielki Anglik zrobił im tyle miejsca, ile mógł. Skórę miał śmiertelnie bladą, wręcz nieco pożółkłą, a na jego twarzy lśnił pot, ale mimo to zdobył się na grymas uśmiechu pod krzaczastą brodą. Ci ludzie z baru zrobili dla niego wszystko, co było w ich mocy. Krwawienie prawie ustało, a na okaleczonym kolanie miał ortezę. Reszta będzie należała do lekarzy, kiedy już dotrą do szpitala.

Nari szamotała się z kurtką, usiłując ją zdjąć, a Sajaara szlochała, przeklinając Boga i diabła, aż w końcu zemdłała. Na plecach miała trzy rany. Dwie były powierzchowne i krew wokół nich już krzepła, ale trzecia, w miejscu, w którym poroże przebiło jej ramię na wylot, była niepokojąca. Krwawienie z tej rany spowolniło, ale nie ustało. Nari zmieła bluzę, którą Teig kazał jej wziąć z tylnego siedzenia, i przycisnęła ją do barku Sajaary od strony pleców, po czym oparła przyjaciółkę o siedzenie.

Potem zajęła się jej przodem.

Uaz pędził drogą dość cicho, jeśli nie liczyć odgłosu silnika. Nari chwyciła za krawędzie rozdarcia w przesiąkniętej krwią koszuli Sajaary i rozerwała je, odsłaniając ranę na ramieniu. Zmusiła się, żeby nie myśleć o tym, jak ta rana powstała, wyrzuciła z pamięci obraz tamtych ludzi cieni, zakrwawionego poroża oraz krzyku Sajaary.

I innych krzyków, kiedy umierał Timur.

Ręce Nari zadrżały. Przerwała na chwilę, walcząc ze wzbierającymi w niej emocjami, i przyjrzała się nieprzytomnej przyjaciółce. Roześmiana Sajaara, tak bardzo zakochana w swoim mężu, tak zadowolona z życia w miejscu, które wielu innych uznałoby za zamarznięte piekło na ziemi. Dla nich był to raj. Sajaara lubiła nazywać je ich miłosnym gniazdkiem, choć Timur podśmiewał się, że taka z niej romantyczka.

Nari wiedziała, że na tym skraju prawdziwej dziczy można odnaleźć spokój. Ale problem z mieszkaniem na takim odludziu polegał na tym, że gdy pojawiała się niebezpieczeństwo, nie było u kogo szukać pomocy.

– Nic ci nie jest – powtórzyła Nari, odgarniając przyjaciółce włosy z twarzy.

Delikatnie położyła dłoń na policzku Sajaary; czuła smutek i przerażenie, nie chciała jednak ryzykować obudzenia jej i sprowadzenia z powrotem do świata, w którym jej mąż leży martwy na ulicy sześćdziesiąt kilometrów za nimi. Wcześniej rozdarła bluzę Teiga na pół, więc teraz złożyła drugą połówkę i przycisnęła ją do zakrwawionej, postrzępionej rany z przodu ramienia Sajaary.

– No i...? – wychrypiął Prentiss.

Wzdrygnęła się.

– Przepraszam – odparła cicho po angielsku. – Chodzi o to, że jestem...

Sfrustrowana wzruszyła ramionami. W ciągu kilku ostatnich godzin zdała sobie sprawę, że jej angielski jest lepszy, niż mogłaby przypuszczać. Na przestrzeni lat nauczyła się więcej, niż się jej wydawało. Ale zabrakło jej angielskich słów, aby wyrazić, jak bardzo czuje się odrętwiała, zszokowana i przerażona.

– Rozumiem – powiedział Prentiss z łagodną życzliwością w oczach. – Co z krwawieniem?

Gdyby Nari była w stanie wykrzesać z siebie uśmiech, zrobiłaby to. Doceniała jego wysiłek, by zając ją rozmową, odwrócić uwagę. Na początku Prentiss był kłótliwym zrzędą, ale teraz rzeczywistość została odarta z wszelkich pozorów normalności. Wspólnie stali się świadkami potworności, oddychali powietrzem przepełnionym strachem. Byli ocalałymi i ten fakt związał ich ze sobą. Nari jeszcze nigdy nie była tak wdzięczna za przyjaciela.

– Plecy ma... w porządku – odparła. Jak powiedzieć po angielsku, że krew krzepnie? – Ta dziura tutaj... – Wskazała głową na dłoń, którą przyciskała bluzę do ramienia Sajaary. – Jest mniejsza, ale... brzydka. Ale krwawi teraz wolniej.

Prentiss zwilżył wargi i powoli skinął głową.

– Nic nam nie będzie. Potrzebujemy tylko szpitala i drinka.

Nari się wzdrygnęła, a Prentiss chyba dostrzegł jej ból, bo ujrzała żal w jego oczach.

– Przykro mi z powodu Timura – powiedział, zerkając na nieprzytomną Sajaarę. – Wydawał się dobrym człowiekiem.

Wróciła myślami do tych wieczorów, które z nimi spędzała, śmiejąc się i dobrze bawiąc, a choć była tą niepotrzebną trzecią, to jednak czuła się mile widziana. Timur i Sayara pozwalali jej uszczknąć trochę ich ciepła i miłości.

– Był bardzo dobry – przytaknęła.

Przesunęła się, bo od długiego siedzenia w niewygodnej pozycji bolały ją mięśnie. Potrąciła nogą Prentissa i z jego gardła wymknął się cichy okrzyk.

Zacząła go przeproszać, ale przerwał jej machnięciem ręki. Jego blada dotąd twarz poszarzała i Nari wiedziała, że Anglik potrzebuje miejsca, żeby odpocząć.

Uniosła oddarty kawałek bluzy i zobaczyła, że rana na ramieniu Sajaary zasklepiła się nieco bardziej. Wciąż była zakrwawiona i wilgotna, ale już nie ciekła z niej krew.

– Czuwaj nad nią, dobrze? – poprosiła Nari. – Przejdę na przód. Potrzebujesz więcej miejsca.

– Wszystko gra – skłamał Prentiss, ale w oczach miał wdzięczność.

Nari przedostała się na przednie siedzenie. Butem uderzyła w dach i zahaczyła o lampę sufitową, ale udało jej się precyzyjnie przesuwać na miejsce pasażera obok dziewczynki. Una w ogóle nie zareagowała, choć Nari przesunęła ją zdecydowanym ruchem na środek ławy i przez dobrą chwilę zapinała im obu pasy bezpieczeństwa. Warkot silnika i dudnienie opon na drodze tworzyły biały szum.

Una siedziała z odchyloną w tył głową, wpatrując się w pustą drogę przed sobą, jakby zahipnotyzowana każdym kilometrem wyławianym z ciemności przez światło reflektorów. Teig za kółkiem wyglądał na równie nieprzytomnego. Twarz mu zwiotczała, a oczy zmętniały i przez chwilę Nari zastanawiała się, czy ten monotony szum i jednostajny widok nie podziały na niego usypiająco. Wtedy ujrzała, że jego wargi wydymają się lekko przy wydechu, i zrozumiała, że choć od ich ucieczki z Ołoncho minęła prawie godzina, Teig nadal jest w szoku.

– Teig?

Patrzył przed siebie. Przez moment Nari poczuła się tak, jakby stała się duchem, niewidzialnym i niesłyszalnym dla żyjących. A może biorąc pod uwagę pusty wyraz twarzy Teiga, to on był duchem, nieświadomym tego, że opuścił świat żywych.

– Hej, Teig. – Nie chciała przechylać się nad Uną, żeby pociągnąć go za kurtkę, więc tylko do niego pomachała.

Mocniej ściskając kierownicę, Teig skinął głową, dowodząc, że żadne z nich nie stało się duchem. Słyszał ją, wiedział, że istnieje.

– Jak tamci, z tyłu? – zapytał.

– Nie jestem lekarzem. Ale... niedobrze.

Prentiss odchrząknął, zdrowym kolaniem trącił oparcie siedzenia.

– Hej. Mów za siebie. Ja trzymam się świetnie.

Nari zmusiła się do uśmiechu.

– Nie wykrwawiasz się na śmierć. Jeśli to znaczy „świetnie”, to trzymasz się świetnie.

Teig oderwał na moment wzrok od drogi, żeby spojrzeć na Nari.

– Serio. Co z nimi?

Nie odpowiedziała od razu, przez chwilę się zastanawiała. Prentiss mógł mieć rację. Jego noga wymagała operacji i leczenia, żeby uniknąć ewentualnego zakażenia, ale jeśli dotrą do szpitala na czas, to z tego wyjdzie, choć potem pewnie będzie utykał i budził się w nocy do końca życia. Sajaara zaś właśnie została wdową i przeżyła potworną traumę, ale jeżeli jej rany będą się nadal goiły, to jej stan można by właściwie uznać za taki sam jak Prentissa.

– Teraz już będzie dobrze. – Nari spojrzała na siedzącą obok niej dziewczynkę. Oczy Uny błyszczały w blasku deski rozdzielczej. – Za trzy kwadranse będziemy w szpitalu.

Teig osunął się głębiej na siedzeniu i rozluźnił palce na kierownicy.

– Więc mogę trochę zwolnić? Boję się, że wpakuję nas do rowu i zamrozimy na śmierć.

W mroku na przednim siedzeniu samochodu rozległ się szept. Padło jedno słowo.

– Nie.

Nari spojrzała na Teiga, a on na nią. Malująca się na ich twarzach konsternacja dobitnie świadczyła, że nie odezwało się żadne z nich. Dopiero kiedy Una przemówiła ponownie, Nari zdała sobie sprawę, że to był jej głos. Twarz dziewczynki pozostała nieruchoma, oczy wciąż były utkwione w oblodzonej drodze rozciągającej się przed nimi w świetle reflektorów. Tym razem odezwała się krótko, ale po jakucku.

– Co ona powiedziała? – zapytał Teig, szybko przenosząc wzrok między Nari a małą. – Co to było?

– Chciałaś zwolnić – odparła Nari. – Powiedziała: „Jedź szybciej”.

Wpatrywała się z niepokojem w dziewczynkę. Teig zaczął zasypywać Unę pytaniami po angielsku, od czasu do czasu błagając Nari spojrzeniem o tłumaczenie na jakucki, ale kobieta nie reagowała na jego prośby. Oczyma wyobraźni widziała Unę siedzącą w pustym domu, gdy jej rodzice, sąsiedzi i przyjaciele zniknęli. Pusty dom w pustej wiosce... dopóki na ulicach nie pojawiły się wilki. Dopóki z lasu nie wyszedł *parnee*.

Słodka, młoda buzia Uny, taka gładka i smutna, pozostawała niewzruszona. Dziewczynka patrzyła przez przednią szybę, sprawiając wrażenie nieświadomej tego, co powiedziała, jakby te słowa wydobyły się z jej wnętrza bez udziału przytomnej myśli. Gdyby Teig również jej nie usłyszał, Nari pomyślałaby, że to sobie wyobraziła, ale nie... Mała nie tylko przemówiła – wręcz nakłaniała ich do przyspieszenia, a zatem zdawała sobie sprawę z sytuacji. I rozumiała Teiga, który mówił po angielsku.

– Dziewczynko – powiedziała cicho Nari po jakucku, spuszczając głowę i próbując zmusić Unę, by spojrzała jej w oczy. A potem zadała pytanie, które tliło się w jej głowie, odkąd kilka godzin temu wyjechali z Akucka.

– Co to było? – rzucił ze strachem w oczach Teig. – Co jej powiedziałaś?

Nari zerknęła do tyłu, gdzie teraz Prentiss i Sajaara albo spali, albo byli nieprzytomni.

– Zapytałam ją, przed czym uciekamy.

Teig posłał jej pełne wątpliwości spojrzenie.

– Dlaczego myślisz, że ona to wie?

– Przed chwilą sądziłam, że jesteśmy bezpieczni – odparła. – Ale Una tak nie uważa. A to znaczy, że wie więcej niż my. Wie, że powinniśmy się bać.

Teig odpowiedział uśmiechem niedowierzania.

– Ja już się boję. Ty nie?

Nari wyrzła przez okno, wbijając wzrok w ciemny las za połaciami śniegu.

– Sądziłam, że jesteśmy bezpieczni – powtórzyła.

Z tylnego siedzenia dobiegło ich ciche pochrapywanie Prentissa. Nari odwróciła się z powrotem do Teiga, ale i on, i dziewczynka znowu wbijali wzrok w przednią szybę, oboje z pustym wyrazem twarzy. Knykie mężczyzny zbieleły od zaciskania palców na kierownicy, ale Una siedziała spokojnie i bez emocji, jakby przed chwilą wcale się nie odezwała.

Sajaara mruknęła coś na tylnym siedzeniu. Jej oddech stał się nierówny. Nari obejrzała się na nią nad siedzeniem, ale jej przyjaciółka osunęła się na swoim miejscu i twarz znalazła się w cieniu, więc trudno było

dostrzec jej wyraz.

– Hej, Nari – odezwał się Teig bezbarwnym głosem. Bez emocji.

– Tak?

Teig przekrzywił głowę w lewo, pokazując na okno.

– Tam coś jest. Depcze nam po piętach. Tuż przy skraju lasu.

Miał rację.

– Wilki?

– Raczej nie. To chyba coś innego. Coś gorszego.

Ludmiła powoli, w bólu, wracała do świata. Ostre klucie w klatce piersiowej nie pozostawiało miejsca na wątpliwości. Miała wrażenie, jakby ktoś wbijał jej nóż między żebra, prosto w mostek. Gdyby miała siłę krzyczeć, zawodziłaby z taką rozpaczą i bólem, że duchy Traktu Kołymskiego zdjąłby niepokój. Ale nie było noża ani ręki, która by go wbijała. Tylko serce starej kobiety, pokonane przez wiek, wysiłek i papierosy, które paliła przez kilkadziesiąt lat, dopóki troskliwy siostrzeniec nie przekonał jej do porzucenia nałogu.

Zawał serca.

Ból w karku i ramionach pozostał, choć przygasł w porównaniu z tym w piersi. Ludmiła mogła nabierać tylko małe hausty powietrza, mrugając przy tym, żeby odzyskać ostrość widzenia. Szeptła modlitwę – na tej drodze robiła to po raz pierwszy za siebie, a nie za opuszczone dusze.

„A kimże ty jesteś? – pomyślała. – Jeśli umrzesz tutaj, czy będziesz mniej zapomniana?”

Absurdalna myśl. Oczywiście, że Alfryd by ją opłakiwał. Zająłby się jej pochówkiem, zadbał o księdza i nabożeństwo żałobne. Jej duch spocząłby w spokoju, kochany i pamiętany, nie tak jak te biedne dusze tutaj. A jednak jakaś cząstka niej nie mogła pozbyć się obaw, że uwięźnie tu z nimi, i kiedy ta myśl pojawiła się w jej umyśle, poczuła, jak bardzo za nią tęsknią. Do jej uszu dochodziły szept pełne wdzięczności i współczucia. Niemalże znowu czuła ich wszystkich pod tą drogą, jakby wykopywali się, aby móc ją pociągnąć w dół i z miłości na zawsze zatrzymać przy sobie.

– Nie – rzuciła chrypliwie. Zamrugęła, wciąż usiłując poprawić ostrość widzenia. Połowa lewego oka pociemniała i Ludmiła nagle zrozumiała, że to nie kosmyk włosów opadł jej na twarz. I to nie kominiarka przekrzywiła się, przesłaniając widok. Była to wina zawału serca albo udaru, a może jednego i drugiego.

Ludmiła zawsze zakładała, że umrze we własnym łóżku. Nigdy nie przypuszczała, że umieranie będzie takie bolesne.

„Unieś głowę. Wstań”.

Czy to były jej myśli, czy raczej szept umarłych? Nie obchodziło jej to. Były konieczne. Samo poruszenie ciałem, napięcie mięśni przy każdej próbie ruchu, sprawiało, że nóż wnikał głębiej w klatkę piersiową, a ból rozchodził się wzdłuż ramion. Ale ruszyła się, uniosła głowę. Kominiarka chroniła jej twarz przed przymarznięciem do drogi. Ludmiła wsysała powietrze przez zęby. Chciała krzyczeć, ale ból na to nie pozwalał.

Samochód. Jej samochód. Czerwony poblask tylnych świateł nie mógł być dalej niż pięćdziesiąt metrów. Tutaj, w tej białej martwocie świat był tak cichy, że słyszała pomruk silnika. Wciąż pracował, bo przecież napełniła bak przed kilkoma minutami.

„Minutami?”

Przez jaki czas była nieprzytomna? Nie miała pojęcia, wiedziała tylko, że nadal żyje, co oznaczało, że nie trwa to długo. Gdyby się poruszała, a krew krążyła w jej żyłach, mogłaby zachować czujność i przeżyć znacznie dłużej, ale leżąc na drodze w temperaturze pięćdziesięciu stopni poniżej zera... pozbawiona przytomności nie przeżyłaby zbyt długo. A ból był wystarczającym dowodem na to, że jej życie jeszcze się nie skończyło.

Ludmiła podciągnęła nogi pod siebie, bojąc się podnieść przy pomocy rąk. Kiedy wstawiała, nóż wbił się w nią mocniej, aż z oczu pociekły jej łzy. Poczuła, jak zamarzają na skórze, zanim zdążą przebyć centymetr do miejsca, w którym materiał kominiarki ciasno przylega do twarzy.

Ledwo czując nogi, ruszyła z trudem w kierunku samochodu, wpatrując się w jego tylne światła. Ziąb muskał jej oczy i wpełzał pod kaptur, drażniąc odsłonięte maleńkie skrawki skóry, ale nie wzbudził dawnego strachu. Dolna część ciała w ogóle nie czuła zimna, a ból w klatce piersiowej sprawiał, że groźba zamarznięcia na śmierć nie miała znaczenia.

Wiatr zakręcił się w kółko jak pies goniący własny ogon, a potem musnął ją po plecach, jakby była

małym dzieckiem, a on kochającym ojcem, który kładzie dłoń na jej krzyżu i delikatnie ją ponagla, ale i podtrzymuje, żeby się nie przewróciła. Wiedziała, że gdyby ten wiatr był dość silny, uniósłby ją i postawił przed samochodem.

Wiedziała też, że to wcale nie jest wiatr.

Łzy nadal płynęły i zamarzały, ale teraz były to łzy wdzięczności. Te duchy ją kochały. Umarli chcieli, by żyła.

Ledwo przytomna, szła chwiejnym krokiem, aż wpadła na tył auta. Broniąc się przed nożem, który ciął coraz głębiej, przekręcał się mocniej, odbierał jej zdolność do odzyskania, a nawet zaczerpnięcia oddechu, Ludmiła przesuwiała się wzdłuż samochodu, dopóki nie dotarła do drzwi od strony kierowcy. W oczach jej pociemniało, poczuła, że opuszczają ją siły, i pomyślała, że tam umrze.

Ale zamiast tego otworzyła oczy i odkryła, że jakimś cudem udało jej się uchylić drzwi.

Wgramoliła się do środka. Ból przy wspinaniu się na siedzenie wyrwał jej z trzewi prawdziwy krzyk – pierwszy raz miała na to dość siły, ale wtedy zabolą ją jeszcze bardziej. Ciepło wydobywające się z kratki wentylacyjnych uchroniłoby ją przed zamarznięciem na śmierć, gdyby tylko zdołała zamknąć drzwi. Płacząc i trzęsąc się, dała radę to zrobić, choć było to najtrudniejsze zadanie, jakie kiedykolwiek przyszło jej wykonać.

Opadła na siedzenie. Obraz przed oczami poszarzał, a potem zaczął ciemnieć. Ludmiła spojrzała na gałkę radia. Bardzo chciała je włączyć. W odtwarzaczu tkwiła kasetka *Western Stars*. Nie był to jej ulubiony album Springsteena, ale też go uwielbiała, a gdyby udało jej się puścić muzykę i usłyszeć jego głos, przynajmniej nie czułaby się taka samotna.

Przynajmniej nie umarłaby taka samotna.

Ale nie mogła unieść ręki nawet na tyle, żeby włączyć muzykę.

Jękliwy dźwięk wydobywający się z płuc nie był piosenką, tylko wyrazem smutku i bólu. Nie zamarzniesz tu na śmierć, o nie. Jeszcze nie. Ale jeśli wcześniej nie załatwi jej serce, to w końcu zabraknie benzyny w baku – i co wtedy?

Ludmiła poczuła, że odpływa w niebyt, ale zdołała odmówić kolejną modlitwę, tym razem w myślach. A potem ten cichy, jękliwy dźwięk bólu i smutku wydobywający się z jej ust zaczął przypominać melodię *Drive All Night*. Słaby, piskliwy fałsz, w którym nikt inny nie rozpoznałby tej piosenki, ale Ludmiła nie nuciła jej dla nikogo innego. Tak jak modliła się za siebie, tak śpiewała tylko dla siebie.

Potem, kołysana dudnieniem silnika i owiewana ciepłymi podmuchami z kratki wentylacyjnych, pozwoliła, aby ogarnął ją mrok, który miłosiernie uciszył ból.

Nie śniła.

Teig ścisnął kierownicę tak mocno, że rozboleły go mięśnie szyi i ramion. Jak daleko było do tej stacji benzynowej prababci Uny? „Kurwa”, rzucił w myślach. Stracił rachubę minut i kilometrów. Prentiss ciągle chrapał na tylnym siedzeniu, chociaż terenówką porządnie trzęsło na koleinach. Z tyłu dobiegały też sapania i jęki Sajaary, więc Teig pomyślał, że albo straciła przytomność z powodu ran, albo tak bardzo skupiła się na bólu, że nie miała już sił na rozmowę.

Tak więc Teigowi zostały siedzące z przodu Nari i Una. Dziewczynka wypowiedziała kilka zdań po jakucku, piekielnie zaskakując jego i Nari, ale teraz znowu zamilkła. Przy ryku silnika i łoskocie opon nie mógł narzekać, że w samochodzie jest cicho, ale i tak nigdy nie przeżył cichszych chwil.

– Ciągle tam są? – spytała Nari, przerywając milczenie.

Teig zacisnął palce na kierownicy tak mocno, że aż go zabołały, i musiał się przemóc, aby się odprężyć, rozluźnić dłonie i utkwic wzrok w tej przeklętej drodze. Obrzucił spojrzeniem niską zaspę po lewej, a dalej dwanaście metrów cętkowanego śniegu i las, który ciągnął się wzdłuż drogi. Nari pytała, czy to były wilki, na co szczerze odparł, że nie wie, choć te istoty bardzo starały się wyglądać jak wilki.

– Okej, tak – powiedział, jeszcze raz zerkając w lewo. Cienie przesunęły się nieco poza linię drzew, śmigając przez las, jakby nie stanowił dla nich żadnej przeszkody. – Tak, ciągle tam są.

Nari usiadła głębiej na swoim siedzeniu. Teig widział, że wpatruje się w dziewczynkę, jakby desperacko pragnęła, by Una znów się odezwała, a jednocześnie bała się tego, co może od niej usłyszeć. W głowie wirowało mu sto myśli. Te wszystkie słowa, które pragnął uwolnić, choć wiedział, że powinien trzymać je skute w kazamatach umysłu. To, co kłębiło mu się w głowie, było niemożliwością, a jednak od zapadnięcia zmroku widział już dzisiaj tak wiele rzeczy, które wymykały się definicjom możliwego i niemożliwego, że łatwo było ześliznąć się w głąb tej króliczej nory.

– Pieprzyć to – rzucił. Rozejrzał się w lewo i w prawo, po czym wbił oczy w drogę przed sobą. Brudnobiała wieczna zmarzlina wydawała się w tej chwili jedyną pewną rzeczą na świecie. – Dlaczego tak na nią patrzysz? Myślisz, że ona coś wie, tak powiedziałaś. Ale co niby wie?

– Więcej niż my – powtórzyła Nari. – Jak chce, to mówi. Więc jeśli nie mówi, to... tak woli.

– Myślisz, że widziała, co się stało z ludźmi z jej wioski?

Nari niespokojnie przyglądała się dziewczynce jeszcze parę sekund, a potem zamrugała i odwróciła wzrok. Teig pomyślał, że może i ona nie chce uznać tych niemożliwości, które kołaczą się w jej głowie.

– Ona coś widziała. Myślę, że coś wie. – Nari obróciła się na swoim siedzeniu i spojrzała na Unę. – Co ty wiesz, mała?

Teig poczuł suchość w gardle. Zerknął na nie ukradkiem, starając się utrzymać samochód na drodze przy prędkości, do której Trakt Kołymski nigdy się nie nadawał. Nari opierała jedną dłoń o deskę rozdzielczą i patrzyła na dziewczynkę tak, jak mogłaby patrzeć na groźnego psa, którego potrąciła samochodem i teraz boi się tego, że jest ranny, ale i tego, że może ją ugryźć.

Twarz Uny była jak gładka, pozbawiona wyrazu maska, a jej ciało kołysało się w rytm jazdy, lecz poza tym było nieruchome. Jej klatka piersiowa prawie się nie unosiła, kiedy dziewczynka robiła wdech. Jakby zupełnie przestała oddychać. Jakby nie było w niej życia. I jakby nigdy nie otworzyła ust, żeby cokolwiek powiedzieć.

– Hej, Ariuna! – zawołała Nari po angielsku. – Co wiesz? – Przeszła na jakucki, powtórzyła pytanie raz, a potem drugi. Za trzecim razem chwyciła Unę za ramię i potrząsnęła nią.

Teig wzdrygnął się, przekonany, że mała odwróci się nagle i krzyknie na Nari. Ale ona się nie poruszyła, choć uścisk na jej bicepsie wyglądał na mocny i musiał być bolesny.

– Puść ją – powiedział Teig.

Nari zamrugała, patrząc w przednią szybę, i wytrzeszczyła oczy z przerażenia. Teig szybko spojrzał na drogę, przeklinając samego siebie, że dał się tak rozproszyć. Uaz zjechał w lewo, a przed nimi był zakręt. Teig skręcił, serce waliło mu jak młotem. Palce płonęły z bólu, zbyt długo i zbyt kurczowo zaciskane na kierownicy, ale trzymał ją mocno i pruł dalej. Czuł, że koła zaczynają wymykać mu się spod kontroli i że jeśli skręci jeszcze o stopień lub dwa, to pokoziołkują w zaspę albo wręcz nad nią przefruną i stoczą się ze zbocza na prawo, między drzewa. A gdyby nawet przeżyli taką kraksę i to

zimno, pozostałyby jeszcze ścigające ich cienie.

Teig wstrzymał oddech, lekko przekręcił kierownicę w lewo. Opony po stronie pasażera zaryły w zaspę i terenówka przechyliła się w lewo, tak że Una i Nari zsunęły się na niego, mimo że miały zapięte pasy bezpieczeństwa. Na tylnym siedzeniu Prentiss wyrzucił z siebie potok przekleństw, a Sajaara wrzasnęła z bólu głosem dzikiej kotki w rui.

Uaz wrócił z impetem na drogę. Teig popuścił pedał gazu, ale tylko trochę. Czuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Przytrzymał kierownicę tylko wewnętrzną częścią dłoni, aby krew mogła znowu napłynąć do palców.

Nari trajkotała po jakucku, rosyjsku bądź w innym języku, wygodniejszym dla niej niż angielski, i Teig pomyślał, że gdyby rozumiał, co do niego mówi, to pewnie dowiedziałby się o sobie ciekawych rzeczy. Ta kobieta zafascynowała go, kiedy spotkał ją po raz pierwszy, gdy ujrzał te czeremchowe włosy i usłyszał jej swobodny śmiech, ale nigdy się nie spodziewał, że ją pozna. A już na pewno nie w takich okolicznościach.

Una wciąż milczała z twarzą pozbawioną emocji. Nari przesunęła się z powrotem, żeby zrobić więcej miejsca na przednim siedzeniu, ale dziewczynka została tam, gdzie przeniosła ją grawitacja, tak blisko Teiga, że mężczyzna musiał unosić prawą rękę nieco wyżej, niż było mu wygodnie, żeby nie szturchać jej łokciem w twarz. Ta mała go niepokoiła, teraz jednak, gdy poczuł ciepło jej ciała z tak bliska, to pragnienie, by ją chronić, które ogarnęło go parę godzin temu, jeszcze się wzmogło. Una go przerażała, ale w jakimś odległym zakamarku jego umysłu czaiło się poczucie winy, które go nie opuszczało i kazało mu się zastanowić, czego chciałaby od niego Olivia. Jej duch nigdy mu się nie ukazał, ale siostra umiała nawiedzać go na inne sposoby.

Zerknął na Nari, wiedział, że to dziecko niepokoi i ją. Ale powtarzał sobie, że nie można winić Uny, jeśli widziała coś, o czym nie jest gotowa mówić. Jeżeli wiedziała, co porwało jej rodzinę i przyjaciół, i za bardzo się bała, by na nowo przeżywać ten koszmar, to jak mogli mieć jej to za złe? Była ocalałą.

– Damy radę – powiedział cicho tylko do niej, choć usłyszeli go wszyscy inni. Spojrzał na Nari. – Cokolwiek wie, to nie nasze zmartwienie. Musimy zadbać o jej bezpieczeństwo. Cholera, o bezpieczeństwo nas wszystkich. Niech ktoś inny kombinuje, co się dzieje i dlaczego.

Teig szybko zerknął w lusterko wsteczne, bojąc się znowu oderwać oczy od drogi, ale chciał sprawdzić, co u Prentissa. W ciemności zdołał dostrzec jedynie zaciemniony profil i ramię przyjaciela. Sajaara wsunęła się tak głęboko w fotel, że widział tylko czubek jej głowy; niebieski blask deski rozdzielczej rzucał na jej włosy lekki połysk.

– Myślałam, że jesteś mądry – powiedziała Nari szorstko. Zimno.

Teig znowu ścisnął kierownicę, skupiony na drodze. Chciałby wiedzieć, ile zostało im minut, ile kilometrów.

– A teraz myślisz, że jestem głupi?

Nari cmoknęła językiem.

– Mówisz tak, jakby to wilki nas ścigały.

Teig nie miał na to odpowiedzi. I nawet nie spojrzał w las po lewej stronie. Wiedział, że biegnące cienie ciągle tam były, ciągle ich ścigały, nadążały za samochodem pędzącym z prędkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę, a może i szybciej. Nie chciał ich więcej oglądać, nie chciał o nich myśleć ani mówić Nari tego, co sama już wiedziała: że wilki nie biegają tak szybko ani tak daleko, że nie zlewają się z ciemnością i nie wyłaniają z niej, jakby same były jej częścią – płynnym mrokiem w kształcie sierści i kłapiących szczęk. Coś takiego nie było możliwe.

Więc nie spojrzał ponownie w lewo.

Ważne, że miał ręce na kierownicy i dość benzyny w baku, aby dowieźć ich w bezpieczne miejsce. Może nie znał zbyt dobrze pozostałych, ale był to winien Prentissowi. Nie mógł ocalić siostrzyczki – chodził do szkoły i sypiał we własnym, bezpiecznym łóżku, kiedy ona cierpiała, kiedy porywacz ją dręczył, a w końcu zabił i spalił... ale teraz mógł, do cholery, ocalić Unę.

Powtarzał sobie, że nie wierzy w przeznaczenie, szczęśliwe zbiegi okoliczności ani całe to gówno, lecz jakaś cząstka niego nie potrafiła uwolnić się od myśli, że znalazł się na Syberii nie bez powodu. I może tym powodem była ta dziewczynka. Może po dzisiejszej nocy będzie mógł wreszcie spać. Może jego życie nie zawsze będzie takim rozczarowaniem.

Wnętrze samochodu cuchnęło krwią i potem. Drzwi były lodowate w dotyku, a choć ogrzewanie działało na najwyższych obrotach, szyby pokrywały pajęczyny szronu. Ale Teig wciąż widział przez przednią

szybę i wciąż mógł prowadzić.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział do Uny.

I do Nari.

I do siebie.

I do...

Nagle na tylnym siedzeniu rozległ się krzyk.

Tęgi Anglik zaryczał jak lew w agonii, tyle że ten ryk nie ustawał. Mimo osłabienia Prentiss poderwał się z miejsca i wyrznął bokiem w okno. Jego czaszka odbiła się od szyby i na szkłe pojawiła się rysa, ale Teig nie zwrócił na to uwagi. Wykręcił się na siedzeniu i nie zdejmując nogi z gazu ani nie puszczając kierownicy, usiłował patrzeć na drogę, we wsteczne lustro i na miejsca z tyłu – wszędzie naraz – co okazało się niemożliwe.

Przyhamował. Trochę zwolnili. Nie myśląc o mknących pod lasem cieniach, Teig obracał głową tam i z powrotem, jednocześnie obserwując trasę i próbując dojrzeć, co właściwie, do jasnej cholery, działo się tam z tyłu, bo Prentiss nie przestawał wrzeszczeć, ale teraz w tym ryku umierającego lwa dało się odróżnić jakieś słowa. Głównie imię Teiga.

– Zapal światło! Włącz to jebane światło, Teig! Teig! Patrz na nią, Teig! O Jezu, stój, zatrzymaj się, do cholery, wypuść mnie i... Teig, zatrzymaj ten jebany...

I tak dalej.

Wszystko to przeleciało przez czaszkę Teiga w jednej chwili – niczym tuzin rozbijających się naraz fal. Zerknął na twarz Nari i ujrzał, jak rozchylają się jej wargi, coraz szerzej, aż odsłaniają zęby, szykując się do krzyku, jak u kogoś, kto desperacko chce kichnąć, ale nie może.

I stało się.

Nari wrzasnęła tak, jakby ktoś właśnie rozpruł jej brzuch, a potem ten krzyk zmienił się w imię.

– Sajaara!

Przez cały czas mała Una siedziała sztywno między Teigiem a Nari, bezpiecznie zapięta pasem. Nie krzyczała, nie obracała się, nawet nie drgnęła. Przez chwilę, przez krótki błysk pośród tego wybuchu chaosu, Teigowi zdawało się, że widzi, jak jej oczy przesuwają się w lewo, ale nie patrzą na niego, lecz za niego – przez okno – na coś, co czaiło się w mroku. Co niepokoiło ją bardziej niż te krzyki.

– Sajaara! – ryknęła znów Nari.

– Przestań! – warknął Teig. – Jezu, przestań, kurwa, się drzeć!

Jeszcze raz przyhamował. Ze stu dziesięciu do dziewięćdziesięciu. Potem do sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. W mroku tylnego siedzenia Sajaara leżała zwinięta w kłębek, prawie w pozycji embrionalnej. Prentiss unosił zdrową nogę, jakby zamierzał ją kopnąć.

– Jack, co ty... – zaczął Teig.

I wtedy zobaczył, jak Sajaara odwraca głowę, a wokół niej kłębią się dziwne cienie. Kształty i krzywizny, których nie miało prawa tam być.

Nari włączyła lampę sufitową.

Teig ujrzał smugi czarnej krwi zalewające twarz Sajaary i wyrastające z jej czaszki krwawe poroże, które wciąż rosło, wydłużało się na jego oczach. Słyszał mlaskające trzeszczenie, kiedy czaszka rozpękała się pod naporem wyłaniających się z niej coraz grubszych rogów.

Teraz i on zaczął wrzeszczeć.

Później przekonywał się, że nie mógł nic poradzić, że musiał skrócić kierownicę. Bo co, do diabła, miał zrobić? Wdepnął hamulec – zareagowała pierwotna część mózgu, jaskiniowy instynkt przetrwania – i choć jego ciało wzdrygnęło się na widok Sajaary przemieniającej się na tylnym siedzeniu, ręce pozostały mocno zaciśnięte na kierownicy, a wtedy przednie opony skręciły w prawo i terenówka wpadła w boczny poślizg. Krzyki ucichły, jakby nawet Sajaara wstrzymała oddech, aby zobaczyć, czy wjadą w zaspę i stoczą się ze zbocza.

Może tak by się stało, ale droga była na tyle śliska, że samochód obrócił się wokół własnej osi i uderzył w zaspę po drugiej stronie drogi, gdzie zbocze wznosiło się, zamiast opadać. Uaz ściał wierzchołek zasp, wyrznął w zbocze pagórka i zatrzymał się z drżeniem. Silnik zawył, ale nie zgasł.

– Wyciągnijcie ją! – ryknął Prentiss.

Uniósł zdrową nogę i ciężkim butem wymierzył kopniaka w głowę Sajaary. Wyrastające z jej czaszki

rogi uderzyły w okno, ale nie rozbiły szyby. Kobieta zwróciła zdeformowaną twarz ku Prentissowi i splunęła na niego, obnażając czarne zęby. Oczy miała szeroko otwarte i nabiegłe krwią, a czarne źrenice nienaturalnie rozszerzone na tle słomkowożółtej tęczówki.

Prentiss przeklinał Boga, w którego nigdy nie wierzył. Sięgnął do tyłu, otworzył drzwi i wypadł na plecy prosto w zaspę z tak rozdzierającym okrzykiem bólu, jakby miał złamaną nie tylko rzepkę, ale i duszę.

Nari szarpała się z zamkiem w swoich drzwiach, belkocząc coś po jakucku. Teig pomyślał, że to przerażenie zmieszane ze współczuciem dla Sajaary. Słyszał, jak wielokrotnie powtarza imię przyjaciółki na zmianę z imieniem Boga. Kątem oka widział, że obejmuje ramieniem Unę, przyciska ją do siebie, gotowa wyciągnąć dziewczynkę z samochodu bez względu na to, jak sama czuła się po tym, co się stało z Sajaarą – cokolwiek to było.

Teig wrzucił tryb parkowania. Wycie silnika ucichło. Kolano musnęło lufę karabinu i mężczyzna poczuł ulgę. „Nie, nie, nie możesz tak po prostu... nie”.

Sajaara znowu splunęła. Poroże otarło się o dach nad jej głową.

Teig był już nienawidzony, patrzono na niego z wściekłością i pogardą, ale jeszcze nikt nigdy nie patrzył na niego tak jak ona w tej chwili. I czy to faktycznie Sajaara go nienawidziła i winiła za to, co ją spotkało, czy raczej coś, co w nią wstąpiło, kiedy została zaatakowana w uliczce koło baru? Obie opcje wywoływały w nim dziecinną reakcję, i to najgorszą z możliwych – chciało mu się płakać.

Nari otworzyła drzwi.

W tej samej chwili ręka Sajaary wystrzeliła nad oparciem siedzenia.

Jej palce wplątały się we włosy Uny i szarpnęły mocno, próbując przeciągnąć dziewczynkę na tylne siedzenie. Teig zaklął i chwycił nadgarstek napastniczki obiema rękami, aby rozluźnić uścisk. Spojrzał na dłoń zanurzoną we włosach Uny i zobaczył, jak z ludzkich palców Sajaary wyrzynają się brązowe, chropawe, kościste paluchy. Wszelkie myśli zamarły, zostało tylko działanie.

Nari ciągnęła ku sobie Unę, wciąż nieruchomą, nawet teraz, gdy ten stwór z tylnego siedzenia próbował jej dopaść. Ale kiedy nagle zaczęła się poruszać, zdawało się, jakby nigdy nie sprawiała wrażenia sparaliżowanej. Jedną ręką chwyciła Nari, a drugą Teiga. Jej stopa wystrzeliła do przodu, pod deskę rozdzielczą, gdzie zakotwiczyła się w sposób, który nie wydawał się przypadkowy, lecz zamierzony. Dziewczynka spojrzała na Teiga, a jej oczy zrobiły się białe jak śnieg. Gdy istota na tylnym siedzeniu charczała i ciągnęła ją do tyłu, drapiąc rogami dach samochodu, twarz Uny po raz pierwszy wykrzywił prawdziwy strach.

– Felix, pomóż mi – powiedziała dziewczynka perfekcyjną angielszczyzną, bez śladu akcentu. – Nie pozwól, żeby mnie zabrali. – Jej głos wydawał się znajomy niczym duch wyłaniający się z pogrzebanego w niepamięci wspomnienia. Niemożliwe, jasne, ale czy teraz cokolwiek było niemożliwe?

Teig puścił nadgarstek Sajaary. Una wrzasnęła, przeklinając go po jakucku, jak sądził. Jakimś cudem jej śnieżnobiałe

oczy zbieleły jeszcze bardziej. Teig chwycił karabin. Żółte ślepią rogatej istoty przylgnęły do broni, dostrzegając w niej zagrożenie, i wolna ręka bestii wyprysnęła do przodu, żeby ją złapać. Teig odtrącił wyciągniętą rękę i kolbą karabinu uderzył Sajaarę w twarz. Trafił w wypustkę z boku jednego rogu, co złagodziło cios, ale kolba rozbiła czaszkę i kobieta wrzas-

nęła. Teig dwukrotnie rąbnął kolbą w przegub stwora, który wreszcie puścił włosy Uny.

Nari wyskoczyła przez otwarte drzwi od strony pasażera, trzymając małą w objęciach.

Nienawiść płonąca w tych żółtych ślepiach wypchnęła Teiga za nimi. Nawet nie próbował otwierać drzwi po swojej stronie, tylko rzucił się przez przednie siedzenie i wypadł na śnieg. Na mróz. Podmuch wiatru natychmiast dopadł go pod otwartymi drzwiami, szorował po jego odsłoniętej twarzy i wysysał powietrze z płuc. W samochodzie Teigowi się zdawało, że w ogóle nie oddycha, chciał tylko przeżyć, desperacko starając się nie myśleć o tym stworze na tylnym siedzeniu, ale teraz czuł każdy rozpaczliwy oddech, a serce waliło mu tak mocno, jakby zamierzało wyskoczyć z piersi.

Udało mu się wstać, nie wypuszczając karabinu z dłoni. Za jego plecami Nari trzymała kwilącą Unę – a może to kwiliła Nari. Teig uniósł broń i wycelował w samochód. Lampa sufitowa wciąż się paliła i w jej świetle Sajaara na tylnym siedzeniu wyglądała jak postać z groteski. Krew oblepiała jej twarz i włosy. Poroże urosło tak bardzo, że musiała mocno pochylać głowę, nie mogąc jednak jej unieść, ograniczona ciasnotą samochodu. Sajaara – ta istota – kręciła nią tylko w prawo i w lewo, szybkimi, nerwowymi, prawie ptasimi ruchami. Przednie drzwi po stronie pasażera były otwarte, ale nie dałyby rady przecisnąć się nad siedzeniem,

żeby do nich doskoczyć. Prentiss zdążył już uciec tylnymi drzwiami po stronie kierowcy i Sajaara zwróciła się w ich kierunku, jakby nieświadoma, że może otworzyć te bliżej siebie. Jakby zapomniała, jak to się robi, albo ta rogata istota, która w niej rosła, nigdy nie była w samochodzie.

– Teig! – wrzasnął Prentiss. – Jezu, kurwa, Chryste, Teeeeeeig, nie zostawiaj mnie tu!

– Idę! Już idę! – Teig pokijał głową, jakby musiał to sobie potwierdzić. Szukał czystego pola do strzału. Ale myśl o zabiciu Sajaary, o strzeleniu do niej wyprowadzała go z równowagi. Wiedział, że to nie jest ona, ale tkwili już tak głęboko w tym koszmarze, że jakaś część niego uważała to wszystko za nierealny sen, z którego w końcu wszyscy się obudzą. Łącznie z Sajaarą. A gdyby ją zastrzelił...

Nie było szans, żeby strzelić i nie rozbić którejsz szyby, a wszystkie były im potrzebne. Chroniły ich przez zimnem. I wiedział, że jeśli przeżyją najbliższe dwie minuty, będą potrzebowali tej ochrony, żeby nie zamarznąć.

Oddychał powietrzem tak lodowatym, że samej zimie zakręciłoby się w głowie, ale ruszył naokoło uaza, przeciął snopy światła przednich reflektorów i dotarł na stronę kierowcy. Prentiss leżał na drodze i ciągnął po śniegu okaleczoną nogę, zostawiając za sobą krwawy ślad. Zrozpaczony, nieszczęśliwy, zdezorientowany życiem, które doprowadziło go do tu i teraz, rzucił Teigowi błagalne spojrzenie.

Sajaara wyczołgiwała się z tylnego siedzenia, jakby zapomniała, że można stać na dwóch nogach. Krew na jej twarzy i we włosach zaczęła zamarzać, gdy tylko uderzył w nią wiatr. Wzdłuż drogi przetoczył się nagle tak silny podmuch, że zatrzasnął otwarte drzwi, które przygniotły i złamały jej lewą kostkę. Skowyt, który wyrwał się z gardła tej istoty, odbił się echem od wiecznej zmarzliny i dotarł aż do drzew.

Prentiss przeklął w stronę Teiga:

– Do kurwy nędzy, Felix!

Ze zdrtwiałą twarzą, zdrtwiałym sercem i zdrtwiałymi rękami Teig uniósł karabin i wycelował w Sajaarę. W tej samej chwili grunt zadrżał mu pod stopami. Nie było to trzęsienie ziemi, tylko pojedynczy wstrząs, potem następny. I jeszcze jeden. Teig, zdezorientowany, zalany świeżą falą strachu, która zadała kłam jego wrażeniu odrętwienia, przesunął się, aby stanąć między Prentissem a Sajaarą, i dalej celował w to coś na czworakach, tuż przy ziemi.

– Co to jest, do cholery? – warknął. Rzucił okiem w stronę Nari i Uny, które przeszły na przód samochodu, a potem zerknął na Prentissa. Wszyscy wyglądali na równie zdezorientowanych i przestraszonych jak on sam.

Ziemia znów się zatrzęsła, a z oddali dobiegł go trzask przewracających się wysokich sosen. Teig odwrócił się w stronę lasu, zaczynającego się jakieś dziesięć metrów od zasy, która pochłonęła tył samochodu. Całe powietrze uszło z jego płuc. Wilgoć na wargach zaczęła zamarzać, kiedy tak stał z rozdziawionymi ustami, niezdolny zmusić umysł do określenia, co widzą jego oczy. Coś poruszało się między drzewami, ale nie były to skaczące cienie. Kolejne drzewa się przewracały, trzeszczały, łamały... i nagle wszystko znieruchomiało. Kilkaset metrów w głąb lasu coś stało – coś tak wysokiego, że swoją sylwetką przesłaniało część nocnego nieba. Teig widział tylko kształt tej postaci, jakby ona sama była niewidzialna, a jej wyłaniający się zarys wyglądał na przyprószonego śniegiem. Niczym zamieć w kształcie olbrzyma majaczącego w oddali. Obserwującego.

Una zaczęła krzyczeć.

Sajaara odwróciła się i rzuciła w jej stronę, zapominając o Prentissie.

Teig wycelował i strzelił temu czemuś, co kiedyś było Sajaarą, prosto w głowę, rozsadzając lewą stronę czaszki i część poroża, które z niej wyrastało. Istota runęła w zaspę, stoczyła się na drogę i leżała tam, zwrócona ku niemu, jeszcze podrygując. Połowę twarzy miała zmiażdżoną, ale jedno oko zostało i wciąż wpatrywało się w niego; czarna źrenica była już tylko małym punkcikiem, ale ta żółta tęczówka zdawała się rosnać, rozkwitać, zalewana krwią tworzącą na oku cienką powłokę.

Teig czuł za plecami obecność teraz bezgłośnej, nieruchomej postaci, ale nie odwrócił się w jej stronę. Przemknęło mu przez myśl, że jeśli uda, że jej nie zauważa, to może ona nie zauważy jego.

– Prentiss, włącz do jebanego auta.

– Muszę... Chryste, jak to boli.

Teg wiedział. Skinął na Nari, która zrozumiała go natychmiast. Podniosła Unę, podbiegła do drzwi od strony pasażera i umieściła dziewczynkę na przednim siedzeniu.

Teig zarzucił sobie karabin na plecy, a potem pomógł przyjacielowi wstać i oprzeć się na zdrowej

nodze. Było trudniej niż wcześniej. Prentiss stał stabilnie, ale stracił więcej krwi i osłabł, a przy jego wzroście Teig musiał zebrać wszystkie siły, żeby pokonać z nim te trzy metry dzielące ich od samochodu, otworzyć drzwi i rzucić go na tylne siedzenie. Prentiss jęknął z bólu, co zabrzmiało, jakby się poddawał, i ten dźwięk wcale się Teigowi nie podobał. Kiedy starał się pomóc przyjacielowi wygodniej się ułożyć, przesunąć go, Prentiss otoczył go ramionami i wymamrotał mu do ucha:

– Umrę tu, stary. Może wszyscy tu umrzemy.

Teiga zmroził chłód bardziej lodowaty niż cały ziąb Syberii. Odsunął się, przytrzymał otwarte drzwi i spojrzał na Prentissa.

– Mowy nie ma. Jak tu umrzesz, to będzie moja wina, bracie. A ja nie mam zamiaru z tym żyć.

Prentiss zamknął usta, nie mówiąc już ani słowa na temat tego, co jeszcze może się stać, ale nie wyglądał na przekonanego.

– Spierdalaj – rzucił Teig z czułością i zatrzasnął drzwi.

Kiedy wśliznął się za kierownicę, Nari i Una już były na swoich miejscach, przypięte pasami. Una nie wpadła z powrotem w katatonię, ale siedziała ze zwieszoną głową, nie patrząc na nikogo. Drżała, lecz nie sądził, że to z zimna. Jej twarz pokrywały kropelki potu, a dreszcze bardziej przypominały gorączkę.

– Ugrzęźliśmy – powiedziała Nari.

Teig skinął głową. Wiedział, że tylne koła zaryły się w zaspie. Nie był głupi. Ale uaz miał napęd na cztery koła i Teig wynajął go, bo ze wszystkiego, co przeczytał, wynikało, że będzie to idealny pojazd na chwile takie jak ta.

Ta myśl go rozśmieszyła. Rzecz w tym, że nie istniały chwile takie jak ta.

Zatrzasnął drzwi, wrzucił tryb jazdy i wcisnął pedał gazu tak delikatnie, jak tylko potrafił. Gdyby zrobił to zbyt szybko, opony zakopałyby się na amen. Zamiast tego ciężar terenówki sprawił, że wytoczyli się na drogę, jakby wcale nie wpadli w tę zaspę.

Teig odetchnął z ulgą.

Poślizg sprawił, że samochód obrócił się w złą stronę, więc Teig wykonał zawracanie na trzy tak powoli, żeby Prentiss nie przeklął go z tylnego siedzenia. Nari miała zamknięte oczy i coś szeptała, pewnie modlitwę. Teig popatrzył na Unę, a dziewczynka odwzajemniła spojrzenie tymi śnieżnobiałymi oczami, które tak bardzo przypominały mu o niewidzialnym kształcie majaczącym nad drzewami na zachodzie.

„Felix”, pomyślał. Ona nie tylko przemówiła po angielsku, ale zawołała go po imieniu, którego chyba nigdy nie słyszała.

Przyspieszając, wyjrzał przez okno i zobaczył zwłoki istoty, która kiedyś była Sajaarą. Za nią, za zaspą, na odcinku między drogą a drzewami, pojawiły się cztery cienie. Przekrzywiły wilcze łby i przez chwilę patrzyły na odjeżdżający pojazd, a potem zawróciły między drzewa i ruszyły lasem, bez trudu nadążając za uazem.

Po sylwetce wyłaniającej się ponad drzewami nie było śladu.

Ale w lusterku wstecznym Teig ujrzał jeszcze jedną postać. Kształt, który widział już wcześniej, znów sadył długie, niespieszne kroki, jakby miał do dyspozycji cały czas świata. Jakby wiedział z niezachwianą pewnością, że jeszcze zdąży ich dopaść. Wysoki i chudy, z porożem na głowie – ich śladem kroczył *parnee*.

Uaz przyspieszył i Teig patrzył, jak rogata istota w lusterku robi się coraz mniejsza i zaraz znika, pochłonięta przez noc.

Ale on wiedział, że *parnee* wciąż tam jest. Wciąż się zbliża.

Ręce trzęsły mu się na kierownicy, reflektory przeszukiwały drogę przed nimi. Spojrzał na Unę. Dziewczynka znów wpadła w apatię i tylko patrzyła przed siebie, niewzruszona i nieruchoma.

Błagała go o pomoc. Powiedziała, że oni ją ścigają, czy coś w tym stylu. Teig miał wiele pytań, ale jedno wybijało się ponad inne: kim, do cholery, byli ci „oni”?

I nagle przyszło mu do głowy, że jest jeszcze jedno pytanie, równie ważne. Chodziło nie tylko o to, kto ją ścigał, ale także dlaczego.

Nie był pewien, czy chce poznać odpowiedź.

Nari chciała wysiąść. Pomimo ciemności i morderczego zimna, a nawet mimo tego czegoś, co za nimi podążało, chciała wydostać się z tego samochodu. Była dalej od tej małej.

– Zatrzymaj się – zażądała.

Ale Teig wręcz przyspieszył. Jechał teraz niebezpiecznie, w pełni rozbudzony i skupiony na drodze, lecz bardziej bezładnie niż wcześniej. Ile minut minęło, odkąd porzucili martwą Sajaarę na poboczu drogi? Na pewno nie więcej niż kwadrans. Ile czasu dzieliło ich od tej stacji benzynowej, która zdaniem Teiga należała do prababki Uny? Nie mogli być daleko, nie aż tak, jak twierdził. Jeszcze pół godziny? Mniej?

Nari odwróciła się do niego, starając się wyprzeć ze świadomości obecność siedzącej między nimi dziewczynki.

– Zatrzymaj samochód.

Teig wzdrygnął się, jakby krzyknęła, i spojrzał na nią, jakby zwariowała. Zresztą może faktycznie oszalała.

– Nic z tego. Jeśli chcesz do toalety, to musisz wytrzymać aż do...

– Chcę wysiąść. – Nari usłyszała spokój w swoim głosie, głuchą matowość, i zastanowiło ją, czy Teig uzna, że to skutek szoku, czy też jego własna trauma przesłoni mu ten fakt.

– Umrzesz – odparł Teig, jakby kończył w ten sposób rozmowę.

– Jeśli zostanę w tym aucie, to umrę, tak.

Prentiss z tyłu zakaszłał przez sen. Już nie chrapał, tylko ciężko oddychał i od czasu do czasu nieświadomie pojękiwał. Nari zastanawiała się, dlaczego Sajaara była... co, zainfekowana? Czemu Sajaara, a nie Prentiss? Jego pogryzły te wilki, a Sajaarę przebiły rogami tamte potwory w Ołoncho. A co z tymi istotami? Skoro Sajaara się przemieniła, to czy i one zostały wcześniej zainfekowane? Czy kiedyś były zwykłymi ludźmi, jak ona? Tyle pytań...

Nari stłumiła ciekawość. Nie chciała znać odpowiedzi, chciała tylko przeżyć.

Prentiss musiał się znaleźć w szpitalu, ale najpierw dojadą do stacji benzynowej. To dobrze. Jeśli wysadzą tę małą, zanim *parnee* ich dopadnie, to może uda im się dotrzeć cało do szpitala.

Teig zmarszczył brwi.

– Myślisz, że będziesz bezpieczniejsza tu na drodze niż w szpitalu?

Nari gwałtownie wypuściła powietrze, ale nie powiedziała mu, że wątpi, czy dotrą tam żywi. Siedząca między nimi dziewczynka trwała w bezruchu, jakby dzięki temu mieli zapomnieć, że kiedykolwiek się odzywała.

Nari skierowała na nią wzrok, zastanawiając się, czy to lekkie uniesienie kącików ust Uny było tylko przywidzeniem, czy też ta mała kpi sobie z niej nawet teraz. Kpi z nich obojga.

– Jeśli nie chcesz wypuścić mnie, to wysadź ją. Teraz, Teig. Zatrzymaj samochód.

Rzucił jej zdezorientowane spojrzenie z ukosa.

– Wysadzić Unę?

– A ty jak byś to powiedział? Wywalić ją. Wyrzucić. Wysadzić.

Teig zerknął na dziewczynkę, Nari też, ale Una w ogóle nie zareagowała na ich wymianę zdań. Jakby naprawdę była w stanie katatonii albo głuchoniema, ale Nari wiedziała, że tak nie jest.

– Próbujemy ją uratować – powiedział Teig. – Skąd, do cholery, ci się to wzięło?

Nari jeszcze raz spojrzała na dziewczynkę. Czy ona nie odwróciła się lekko w jej stronę? Czy jej oczy nie były... inne niż przedtem? Samochód podskoczył na dziurze w jezdni i Nari prawie krzyknęła przestraszona. Teig jechał dalej, jakby ta rozmowa wcale się nie odbyła. Czy on nie czuł krwi na tylnym siedzeniu ani tego dziwnego zwierzęcego smrodu, który zostawiła po sobie Sajaara?

Z bijącym sercem Nari odwróciła się i wyjrzała przez okno. Noc wydawała się ciemniejsza niż kiedykolwiek. Skroplona para zamarzała na wewnętrznej stronie szyby. Pęknięte okno w tylnych drzwiach po stronie kierowcy przepuszczało za dużo zimna i nawet przy włączonym na maksa ogrzewaniu dostrzegła w powietrzu swój oddech. W bijącym z deski rozdzielczej blasku widziała własne odbicie, a także upiorne odbicia Teiga i Uny. Z jakiegoś powodu czuła się bezpieczniej, patrząc na dziewczynkę w ten sposób, ale musiała sobie przypominać, że to nie to samo co oglądanie tygrysa w klatce. Między nią a tą małą nie było

żadnej przegrody.

– Ona mówiła po angielsku – powiedziała Nari. Głos uwiązał jej w gardle i musiała odchrząknąć.

– Ty też mówisz po angielsku – odparował Teig. – Czy to nie może poczekać, aż...

– Mówiła lepiej niż ja, Teig. Słyszałeś. Lepiej niż ty. Bez akcentu. Ani nic.

– Jej wujek doskonale znał angielski – odparł Teig, przyspieszając i nie odwracając wzroku od drogi. Jechał już pewnie co najmniej sto trzydzieści kilometrów na godzinę po śniegu i wiecznej zmarzlinie Traktu Kołymskiego. – Może chce zostać przewodniczką, jak on. Na początku też czułem niepokój, ale to ma sens.

– Widziałeś – wtrąciła Nari i znów odwróciła się do okna, żeby przyjrzeć się odbiciu Uny. – Sajaarę... to, co się z nią stało. Widziałeś, jak złapała tę małą. Widziałeś... – W głowie jej pulsowało. Kotłowały się w niej żal, strach i szok. Timur leżał martwy na ulicy przed własnym barem. A teraz Sajaara, piękna Sajaara, o dobrym, życzliwym sercu, która traktowała ją jak siostrę, niemal odkąd się poznały... Nari nie mogła uwierzyć, że odeszła. To było jak jakieś złudzenie, koszmar na jawie. Ta przemiana, która nią zawładnęła, ta wykrzywiona twarz, te rogi rozsadzające jej...

„Jej czaszkę. Mój Boże”.

Wstrzymując oddech, Nari zdała sobie sprawę, że zaczęła płakać. Ze złością otarła łzy. Płacz jej nie pomoże, a na pomoc przyjaciołom było już za późno. Doznawała jednej straty za drugą, w środku czuła pustkę, ale wciąż żyła i wołała, żeby tak zostało.

– Co chcesz powiedzieć? – zapytał Teig. Ostrożnie, jakby musiał usłyszeć odpowiedź, ale bał się słów, które zaraz padną.

– *Parnee* nie ściga nas – odparła Nari krótko i najwyraźniej, jak potrafiła. – Ściga ją. I myślę, że powinniśmy mu ją oddać.

Teig dodał gazu i silnik ryknął głośnie. Nari zerknęła na prędkościomierz. Już sto trzydzieści siedem kilometrów

na godzinę. Serce jej przyspieszyło i poczuła mrowienie w klatce piersiowej, ale nie było to wcale przyjemne.

– Jadę najszybciej, jak mogę... – zaczął Teig.

– Za szybko – przerwała mu Nari.

Rzucił jej twarde i bardzo krótkie spojrzenie. Przy tej prędkości musiał patrzeć na drogę. Terenówka podskakiwała i dygotała, ale do tego została stworzona, a zresztą była z wypożyczalni. Teig musiał nią dojechać do stacji benzynowej i szpitala. Pewnie go nie obchodziło, co się stanie z samochodem później. Ale przecież musieli dojechać tam żywi.

– Teig, zwolnij – powiedziała.

Nie posłuchał.

– Nie próbuję nawet zgadywać, co się dzisiaj wydarzyło. Wiem tylko, że zginęli ludzie. Zabrałem tę małą, żeby ocalić jej życie, tak samo jak razem z Prentissem zabraliśmy ciebie z pobocza. A teraz próbuję uratować nas wszystkich...

– Ja też! – warknęła Nari.

Siedząca między nimi dziewczynka naprawdę się wzdrygnęła. Wcale nie była w katatonii. Tylko udawała. Nari przestało to obchodzić. Powiedziała, co miała do powiedzenia – Una już to usłyszała.

– Zatrzymaj samochód – powtórzyła znowu. – Wysadź ją albo ja wysiądę.

Ręce Teiga zacisnęły się na kierownicy jak pięści.

– Nikogo nie będę wysadzał. Chcesz, żeby zginęła? Nie dam ci jej zabić.

Nari wycodziła coś po jakucku. Myślał, że ona chce zabić tę małą? Przecież tylko próbowała ratować siebie. I jego, i Prentissa też. Co do Uny... Nari pomyślała, że dla niej może już być za późno.

Prentiss zaczął kaszleć na tylnym siedzeniu. Odchrząknął, jego oddech stał się świszczący. Nari pomyślała, że stracił za dużo krwi.

– Teig, posłuchaj – wychrypiął Prentiss. – Jest coś, co musisz usłyszeć, stary, i chcę, żeby naprawdę to do ciebie dotarło. Weź to sobie do serca.

Droga skręcała w lewo. Teig zwolnił do stu dwudziestu. Opony chrzęściły na śniegu i trochę się ślizgały, ale Teig utrzymał kierunek na południe i przyspieszył, gdy tylko znowu znaleźli się na prostej.

– O co chodzi? – spytał.

Prentiss chwycił się oparcia siedzenia i spróbował się podnieść. Nari uświadomiła sobie, że nie zapiął

pasów. No jasne, nie po tym, jak trzeba było go wepchnąć na tylne siedzenie uaza. W myślach wciąż słyszała jego krzyk, kiedy Sajaara się przemieniała, a potem zaczęła pełznąć w jego stronę. Żal ścisnął jej wnętrzności, ale Sajaara już nie żyła. Nari nigdy wcześniej nie spotkała Prentissa, ale ten facet próbował ocalić jej życie. Miała nadzieję, że sam przy tym nie zginie.

– Wiem, co się dzieje w twojej głowie, Felix – chrząknął Prentiss. – To, co mówi Nari, brzmi jak kompletna szajba, ale w tej chwili nie zamierzam w nic wątpić. Dosłownie w nic. Nie mam ochoty wyrzucać nikogo z samochodu, nie na ten cholerny ziąb ani tym bardziej w szpony tego czegoś, co się tam czai. Ale nie myślisz trzeźwo, Teig, więc zaraz cię otrzeźwię.

– Co ty nie powiesz? – odparł Teig. – Jezu, Prentiss, dasz mi w spokoju poprowadzić? Ja tylko chcę dojechać na miejsce, okej? To już niedaleko. Chyba. Czy nie możemy po prostu...

– To nie jest Olivia, stary. Cokolwiek spotkało tę małą i cokolwiek dzieje się teraz, nie jesteś temu winny ani za to odpowiedzialny. Ona nie jest Olivią.

Nari ujrzała, jak Teig wykrzywia twarz i zaciska szczęki. Bez względu na to, jakie słowa i emocje uwięzły mu w gardle, nie był gotowy się nimi podzielić.

– Kim jest Olivia? – spytała.

Teig nie odpowiedział. Prentiss westchnął i położył się z jękiem. Silnik zadudnił, uazem zatrzęsło, a wpadające przez pęknięte okno zimno przeszło Nari do szpiku kości.

Zbliżali się do kolejnego zakrętu. Teig znowu zwolnił, ale jeszcze mniej niż poprzednio. Opony trzymały się drogi, radząc sobie z zakrętem, lecz Nari wstrzymała oddech na parę sekund zwątpienia. Kiedy skręcali, Una zsunęła się na Teiga, a on pozwolił jej zostać w tej pozycji, jak gdyby wtuliła się w niego dla ochrony, którą on chętnie jej zapewnił.

Nari uważnie przyglądała się małej. Wcześniej nie była pewna, ale teraz ujrzała, jak kącik jej ust unosi się lekko, co mogło być tylko zaczątkiem uśmiechu.

Teig jechał dalej, szybciej niż kiedykolwiek.

Zbyt szybko.

Starzenie się nauczyło Ludmiłę wielu rzeczy. Dla młodych niektóre z nich mogłyby uchodzić za mądrość, lecz były też takie, którymi chętnie podzieliłaby się z siostrzeńcem i jego kolegami, ale których nie dałoby się właściwie przekazać słowami. Najważniejsza z tych trudnych lekcji dotyczyła bólu. Młodzi ludzie nigdy nie rozumieli swoich ciał ani tego, jak wszystko jest w nich połączone. Trzymając marionetkę, można pociągnąć za jeden sznurek poruszający nogą, ale ręka i ramię też wtedy zareagują. Podobnie miała się sprawa z bólem. Mięśnie, ścięgna i nerwy były ze sobą o wiele bardziej zestrojone, niż wydawało się młodym. Oni nie wiedzieli, że uraz jednej kostki może prowadzić do nadużywania drugiej, powodując ból, który wkrótce przeniesie się do biodra, nerwu kulszowego, kręgosłupa, karku i mózgu.

Ludmiła sądziła, że zdobyła wielką mądrość, jeśli chodzi o ból. Tej nocy zdała sobie sprawę, jak błogo była nieświadoma. Tej nocy dostała prawdziwą lekcję.

Ból odebrał jej przytomność i ból ją przywrócił. Z ostrym westchnieniem otworzyła oczy. Na początku bolał ją tylko kark, czuła ukłucia u podstawy czaszki, ale po pierwszym mrugnieniu ból znowu wbił się w jej lewy bark. Próbowała uspokoić oddech i poczuła taki ciężar, jakby sam diabeł siedział jej na piersi.

Jęknęła, choć mówiąc szczerze, jęk ten zabrzmiał jak słowa, po których kazałaby siostrzeńcowi – gdyby nadal był małym chłopcem – wyszorować usta szarym mydłem. Słowa, których sama nauczyła się dopiero przed trzydziestką. Jedno z nich było angielskie.

– Fuuuuuuuuuuuck.

Dało jej to pewną satysfakcję, dziwną ulgę. Było jak odrobina buntu przeciwko wszystkiemu, w co wierzyła, wszystkiemu, czego ją uczono. Jak stawianie oporu, a w tej chwili opór był jej bardzo potrzebny.

– Fuuuuuuuuuuuccckkkkk.

Łzy w oczach wyschły. Kleiły się od nich rzęsy. Myślała, że popłynie ich więcej, ale nie, nie będzie więcej płaczu. Ból trwał, wbijał się mocno, lecz strach brał nad nim górę i trochę go tłumiał. Strach i smutek. To nie tak miało być.

Cichutko grała muzyka. Bruce. „Szef”. Najlepsze, co dało światu New Jersey. Takie stwierdzenia rozśmieszały ludzi, bo oczywiście Ludmiła nigdy nie była w New Jersey i tylko raz oglądała zdjęcia z tego stanu, kiedy Alfryd wyszukał w internecie fotografie Asbury Park, za sprawą tytułu pierwszego albumu Springsteena. Mimo to nie miała żadnych wątpliwości. Nie musiała wiedzieć nic więcej o New Jersey, aby

mieć pewność, że w tym stanie nigdy nie powstało nic lepszego niż ten człowiek i jego muzyka.

Bruce pomagał.

Ciepło wydobywające się z otworów wentylacyjnych w samochodzie pomagało.

Ale Ludmiła nie była głupia. Westchnęła i natychmiast przeszył ją tak silny ból, że aż zazgrzytała zębami i przez kilka sekund wręcz nie słyszała muzyki. Potrzebowała lekarza. Więcej – powinna się znaleźć w szpitalu, choć pewnie to też niewiele by jej pomogło. Ile czasu zajęłoby dotarcie do szpitala? Zrobienie operacji? Uratowanie jej życia?

Parsknęła śmiechem, a przynajmniej tak jej się wydawało. Może zaśmiała się tylko w myślach. Nie miała tyle czasu. Nie miała czasu, żeby dokończyć błogosławienie zmarłych leżących pod drogą. To zadanie pozostanie niedokończone. Kiedy ona odejdzie, nikt nie podejmie tej misji.

„Przepraszam – pomyślała. – Tak mi przykro. Niech was błogosławią wszyscy bogowie i święci, wszystkie duchy na ziemi i w niebie. Próbowałam”.

Ludmiła wiedziała, że nie powinna była zwlekać tak długo, czekać, aż się zestarzeje. Co prawda matka byłaby zniesmaczona samym pomysłem tej krucjaty, stanowczo by się temu sprzeciwiła, nazwałaby bluźnierstwem. Ale teraz Ludmiła czuła się jak tchórz i hipokrytka, bo zwlekała tyle lat, nim wreszcie podjęła tę misję i zaczęła realizować swój cel.

Powieki zatrzepotały i znowu załała ją ciemność. Mijały minuty, światło wróciło. Światło i Bruce, i ciepłe powietrze wiejące z otworów wentylacyjnych. Warkot silnika. Ile czasu zostało, zanim skończy się paliwo? Gdyby usta mogły się ułożyć w uśmiech, zrobiłyby to. Ha! W samochodzie jest więcej benzyny niż życia w Ludmile.

Świadomość odpływała i wracała, ale ból trwał.

Skończyła się piosenka. Pomyślała, że to *Rosalita*, choć teraz wszystko jej się rozmywało. W chwili ciszy przed rozpoczęciem się następnego utworu Ludmiła usłyszała coś cudownego. Zbliżający się warkot silnika. Diabeł na jej klatce piersiowej zrobił się jeszcze cięższy, chwycił jej serce i ścisnął, aż jęknęła, a Springsteen zaczął grać na gitarze.

Samochód. Może terenowy. Znów się zastanowiła, ile czasu zająłby dojazd do szpitala.

Wsluchiwała się w coraz bliższe brzęczenie silnika, zadając sobie pytanie, czy jej serce wytrzyma.

Teig zbyt późno zauważył reflektory.

Mętnik myśli zasnuwał mu głowę niczym mgła. Pragnienie przetrwania płonęło w piersi wielkim ogniem, a jednak jakimś cudem zwyciężyły nad nim inne instynkty – Teig musiał ocalić Prentissa, ochronić Unę. Czy Nari naprawdę myślała, że ta dziewczynka to jakiś potwór? Może jej umysł był nieco zwichnięty – zresztą do diabła z tym „może” – ale kto by trochę nie sfiksował po tym, co ta mała zobaczyła? Co przetrwała?

„Trzeba to przetrwać. Oto klucz”.

Teigowi też trochę odbiło. Czuł to, lekkie łaskotanie z tyłu mózgu, w tej starej, jaskiniowej części, gdzie mieszkał strach. Nari musiała czuć to samo po ujrzeniu tego, co spotkało Sajaarę, co właśnie zrobili, po tych rogach i tamtych dźwiękach. „Boże, te dźwięki”.

Przez większość życia Teig zostawiał za sobą ślad w postaci rozczarowań i frustracji. Zawodził innych na całej linii, ale teraz był odpowiedzialny za życie tych ludzi. Za tę dziewczynkę, tę pechową kobietę i za Prentissa – brata, którego nigdy nie miał, ale który wybrał go na swego przyjaciela. I który przy nim wytrwał, kiedy wszyscy inni postanowili się wycofać, odwrócić do niego plecami.

Teig nie chciał ich zawieść.

A jednak zawiódł.

Czaszka i zęby grzechotały mu w głowie, opony dudniły na nierównej drodze. Zimno sączyło się przez pęknięcie w oknie. Szyba zaczęła zamarzać. Terenówka trzęsła się na wybojach, a Teig słyszał ciche chrzęsty i trzaski, gdy powiększało się pęknięcie w tylnym oknie po stronie kierowcy. Wiedział, że szyba nie wytrzyma zbyt długo, ale co innego mógł zrobić poza dalszą jazdą? Do stacji benzynowej nie mogło być więcej niż dwadzieścia minut. Gdy szyba się rozleci, na pewno zamarzną, ale przy ogrzewaniu włączonym na maksa nie zamarzną na śmierć. Dojadą do tej stacji, a jej właścicielka da im coś, czym załatają to okno, może taśmę izolacyjną, żeby je uszczelnić. Byle zyskać trochę czasu na zawieszenie Prentissa do szpitala.

– Co zrobisz? – spytała Nari.

Jej słowa docierały do niego powoli, mózg nie był w stanie skupić się na kolejnej myśli. Co zrobi z czym? Z Prentissem? W związku z kompletnym fiaskiem, które go tu spotkało? Z ludźmi, którzy zginęli?

A może co zamierza powiedzieć policji? Albo tej starej kobiecie na stacji benzynowej?

Kiedy zrozumiał, o co pyta, rzucił jej twarde spojrzenie.

– Chodzi ci o Unę?

Nari wykrzywiła usta i zerknęła na siedzącą między nimi dziewczynkę, ale nie odpowiedziała. Jakby bała się Uny. Dopiero teraz zauważył, jak bardzo się od niej odsunęła. Owszem, Una przybliżyła się do niego, szukając ciepła albo ochrony, ale Nari wręcz przycisnęła się do drzwi.

„Felix”, pomyślał.

Ta mała użyła tego imienia. I mówiła doskonałą angielszczyzną, bez akcentu. Sposób, w jaki do niego przemówiła, brzmiał znajomo i kojarzył mu się z odległymi wspomnieniami. Ale Teig wiedział, że to umysł płata mu figle. Czyli mała znała angielski, i co z tego? Jej wujek Kaskił był przewodnikiem wycieczek, więc nie wydawało się to aż tak nieprawdopodobne.

– Zrobię dla niej to samo, co robię dla ciebie i Prentissa – odparł Teig. – Uratuję ją.

Uaz trafił na kolejny wybój. Pęknięta szyba się rozprysła. Wokół posypały się drobinki szkła i do samochodu wtargnął brutalny ziąb. Prentiss jęknął i zaklął słabym głosem. Nari też przeklęła i objęła się ramionami. Una nawet nie drgnęła.

Teig odbił w bok, ale bardzo nieznacznie. Przestraszył się, chociaż przeczuwał, że szyba się rozleci. Trzymał nogę na gazie, a wskazówka prędkościomierza wskazywała niezmiennie sto trzydzieści kilometrów na godzinę.

Nari ze złością rąbnęła dłonią w deskę rozdzielczą.

– Zwolnij!

Czy ona nie rozumiała, że zimno jeszcze wszystko pogarszało? Że tym bardziej należało przyspieszyć? Tak, to był jej kraj, jej terytorium, ale nie musiał znać tego miejsca, żeby nie chcieć tu zamarznąć ani dać się złapać tym ścigającym ich cieniom.

Przed nimi był zakręt w prawo. Teig nacisnął hamulec i zwolnił prawie do stu dziesięciu, z nadzieją, że opony będą trzymały się drogi. Prentiss wymamrotał krótką modlitwę do Boga, w którego nigdy nie wierzył, i to przestraszyło Teiga. Zerknął w lusterko wsteczne. Tylko na sekundę.

Nari krzyknęła jego imię.

Teig zmrugał oczy, osłepiony światłami samochodu z naprzeciwka. Wiedział, że spieprzył sprawę, ale nie było czasu na przeproszenie. Wdepnął hamulec i uaz zaczął gwałtownie zwalniać, lecz trafił na oblodzenie i zamiast się zatrzymać, wpadł w poślizg. W uszach Teiga rozbrzmiał krzyk Nari, pełen rozpacz i bezsilności. Pędzili prosto na tamten samochód. Teig szarpnął kierownicą w prawo, próbując się z nim minąć, być może urywając mu boczne lusterko i tracąc własne. Ale wtedy tyłem uaza mocno zarzuciło, obrócił się bokiem i nagle światło reflektorów załało drzwi po stronie kierowcy.

Uderzenie przypominało eksplozję. I tak też brzmiało. Szyby rozprysły się w drobny mak.

Poduszka powietrzna wybuchła Teigowi w twarz. A potem stracił przytomność.

Minęło piętnaście, może dwadzieścia sekund.

Ocucił go warkot silnika. Układ grzewczy nadal dzielnie próbował ich ogrzewać, ale zimno długo czekało na taką okazję i teraz ochoczo wykorzystywało każdą sekundę. Powieki Teiga były prawie sklezione i aż jęknął, otwierając oczy. Przy zderzeniu jego szyja obróciła się w lewo i miał wrażenie, że naciągnął sobie wszystkie mięśnie. W ustach miał drobiny rozbitego szkła bezodpryskowego, a kiedy zaczął je wypluwać, poczuł krew na wargach i języku. Ostrożnie spróbował unieść ręce, żeby strącić szkło z twarzy, i nagle odkrył, że nie może poruszyć prawym ramieniem.

Ogarnęła go panika. Odwrócił głowę – poczuł przeszywający ból szyi – i odetchnął z lekką ulgą, widząc, że to Una przywarła do niego i przyciska jego ramię do boku.

Potem ujrzał krew na jej twarzy i blade wgłębienie po uderzeniu. W mgnieniu oka zrozumiał, co się stało. Wszystko zdradził mu kąt – jej głową szarpnęło w lewo, tak jak jego, tyle że ona uderzyła czaszką w kierownicę. Gdyby przy zderzeniu nie wyleciało okno po stronie kierowcy razem z przednią szybą, Teig pewnie oberwałby tak samo.

– Nie – wyszeptał. Krzywiąc się z bólu, wywinął się spod niej, uważając na jej głowę i szyję. – No, proszę, mała.

Wyszło to trochę bełkotliwie. Skutek urazu kręgosłupa i wstrząśnienia mózgu czy tylko zimna? Nie miał pojęcia.

Drzwi po stronie pasażera otworzyły się ze zgrzytem metalu. Teig podniósł wzrok, zły na siebie, że zapomniał o Nari... i Prentissie. Może jednak wyrzwał głową w szybę. Nari wysunęła nogi z samochodu i obejrzała się na niego. Trzymając się lewą ręką za prawy obojczyk, obolały od ucisku naprężonego pasa bezpieczeństwa, przepchnęła się na zewnątrz, na drogę.

– Czekaj – starał się powiedzieć Teig. Zabrzmiało to jak jęk, więc spróbował ponownie i tym razem wyszło, jak należy. Zamrugał i strzeliła w nim iskierka gniewu.

Tylko na kogo był zły?

Nari wciąż masowała prawy bark, ale pochyliła się i zajrzała do samochodu, a wtedy zobaczył w jej oczach błysk jej własnego gniewu. Przypomnił sobie, że wiele razy mówiła mu, by zwolnił. Jego gniew wyciekał jak hel z balonika.

– Weź ją – powiedział, z wielkim trudem odpinając pas bezpieczeństwa Uny.

Nari spojrzała na niego z powątpiewaniem. Nie chciała mieć z tą małą nic wspólnego. Teig o tym wiedział, widział to w jej oczach.

– Uderzyła się w głowę – dodał. – Pomóż mi ją wyciągnąć!

Przez chwilę myślał, że go zignoruje, ale dokąd miałyby pójść, gdyby ich tu zostawiła? W mniej odludnym miejscu mogliby wezwać policję i lawetę. Przyjechałaby karetka, może więcej niż jedna. Ale tutaj byli zdani na siebie, przynajmniej na razie, a Teig chciał ocenić ich obrażenia i stopień uszkodzenia auta.

Trzydzieści jebanych kilometrów. Chyba tylko tyle dzieli ich od tej stacji benzynowej. Równie dobrze mogłoby to być trzydzieści tysięcy, jeśli nie mieli pojazdu, którym by tam dojechali.

Spróbował uporządkować myśli. Wsiąść. Sprawdzić uaza. Sprawdzić samochód, w który uderzyli, i jego pasażerów. Sprawdzić własnych pasażerów, a także siebie.

Zdenerwowana, krzywiąc się z bólu, Nari sięgnęła do auta. Teig delikatnie przesunął Unę po siedzeniu. Włosy zasłaniały jej twarz, ale nie całkowicie – wglębienie w głowie zmieniło się w szybko puchnący guz. Jej czoło i policzki obsypane były odłamkami szkła, a twarz spływała krwią, ale dziewczynka oddychała.

Nari wyjmowała ją z uaza tak, jakby miała mogła wybuchnąć.

Teig wreszcie odpiął swój pas. Głowa mu pulsowała, ale zdołał się odwrócić i spojrzeć do tyłu. Dopiero wtedy przypomniał sobie, że Prentiss nie był przypięty. Kiedy tylne okno eksplodowało, leżał na siedzeniu, z głową po stronie pasażera i nogami po stronie kierowcy, co oznaczało, że w chwili zderzenia Prentiss rąbnął w tamte drzwi stopami. Jedno kolano zgięło się prawidłowo, ale okaleczona lewa noga była w ortezie, którą zgmiotło. Metalowa rozpórka wyskoczyła i wbiła się w mięsień uda. Złamane kolano wygięło się pod paskudnym kątem.

Jedyną pociechą był fakt, że Prentiss zemdlął z bólu. Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała z gwałtownym drżeniem, więc było jasne, że mężczyzna cierpi nawet w stanie nieprzytomności. Lodowata krew sączyła się ze świeżej rany na udzie i spływała po nogawce podartych spodni do kałuży na podłodze.

Teigowi chciało się płakać na ten widok, ale jego przyjaciel wciąż żył.

– Kurwa – warknął, a potem ryknął: – Kurwa!

Nari coś do niego krzyknęła. Nie pierwszy raz. Teraz zdał sobie sprawę, że już wcześniej słyszał jej głos, ale tego nie zarejestrował. Chciał ją zrugać za to, że go rozprasza, i za te bzdury o Unie, ale przecież nie mógł jej obwiniać. Po prostu chciała na kogoś nakrzyczeć. Jak każdy na jej miejscu.

Mimo łomotania w czaszce i obolałej szyi przeczołgał się przez przednie siedzenie i wysiadł po stronie pasażera. Musiał podnieść karabin i przesunąć go przed siebie, jeśli nie chciał gramolić się nad nim, a kiedy już go chwycił, przypomniał sobie, że są ścigani i broń może się przydać. Od tej chwili trzymał ją kurczowo, jak koło ratunkowe.

– Chciałaś wsiąść i się przejść – sarknął na Nari. – No to teraz masz!

Nawet na niego nie spojrzała.

Światło z rozbitych reflektorów rozpraszało ciemność, otulając wszystko wokół sennym półmrokiem. Przód uaza po prawej stronie był zmiażdżony, a przebita opona sflaczała i bezużyteczna. Silnik nadal warczał, ale widać było, że bez zmiany opony samochód dalej nie pojedzie, a możliwe, że po zmianie też nie. Teig gwałtownie wciągnął powietrze, które przeszło mu płuca. Oczy miał suche jak pustynia, a kiedy zamrugał,

odniósł wrażenie, że siatkówkę pokrywają drobinki piasku. Wiatr smagał bezlitośnie i Teig poczuł, jak jego ciało się spina w reakcji na atak przeciwnika, którego nie widzi i z którym nie może walczyć. Dotąd za każdym razem, kiedy wysiadał z samochodu, nosił balaklawę, ale teraz zostawił ją w środku i zarówno twarz, jak i szyję miał odsłonięte. Ziąb wciskał się pożądliwie pod ubranie, pieszcząc go i obejmując, wpijając lodowate palce głęboko w ciało, aż do kości.

Choć koszmar sytuacji, w której się znaleźli, w pełni do niego docierał, Teig gapił się na Nari ze zdumieniem. Trzymała Unę w objęciach, jak gdyby zapomniała o wszelkich związanych z nią obawach. Co innego przyciągało teraz jej uwagę.

Na drodze, tuż obok otwartych drzwi tego drugiego samochodu, stała jakaś stara kobieta. Mimo warkotu silnika i szumu wiatru Teig usłyszał nagle *ding, ding, ding* przypominające kierowcy o niedomkniętych drzwiach. Zmarszczył brwi, pewien, że dobiegły go także znajome dźwięki muzyki, i odruchowo usiłował je zidentyfikować. Saksofon. Szorstki tembr głosu. Staruszka przyciskała obie ręce do piersi, jakby się modliła albo coś ją bolało, a z głośników jej auta płynęła piosenka Bruce'a Springsteena. Uznałby to za sen, gdyby nie groza tej nocy i jego ból.

Kobieta postąpiła krok do przodu i zachwiała się. Marszczyła czoło, ale na jej ustach błąkał się niemal błogi uśmiech. Zdezorientowany Teig ruszył, by jej pomóc.

– Tak mi przykro – wypalił, zanim sobie uświadomił, że ona prawdopodobnie nie zrozumie ani słowa z tego, co mógłby do niej powiedzieć.

Patrzyła na niego nieostrym spojrzeniem, jakby wcale go nie widziała. Uraz głowy jak nic.

Potknęła się i Teig złapał ją jedną ręką, bo w drugiej miał karabin. Przytrzymał ją jak tancerz, który właśnie przechyla partnerkę. Oczy kobiety były zaciśnięte z bólu, a pomarszczona skóra wokół nich perliła się od potu. Zza jej kominiarki dobiegł go stłumiony głos, ale Teig oczywiście nic nie rozumiał.

– Nari, co ona mówi? Co z nią nie tak?

– Duchy – odparła Nari, klęcząc na drodze z Uną w ramionach. – Mówi coś o duchach na drodze. Nie... pod drogą. Chce je pobłogosławić. Mówi, że na nią czekają.

Teig podtrzymał staruszkę, dopóki nie udało mu się doprowadzić jej z powrotem do samochodu. Oparł ją o niego i choć trochę chwiała się na nogach, zdołała utrzymać się o własnych siłach. Oczy miała zamknięte, ale powoli je otworzyła, zamruwała i spojrzała na niego.

– Coś panią boli? Słyszysz mnie pani? – zapytał Teig.

Nie miało znaczenia, w jakim języku mogłaby udzielić mu odpowiedzi. I tak je znał. W pierwszej chwili pomyślał, że jej ból jest skutkiem zderzenia, ale teraz zastanawiał się, czy w momencie wypadku w ogóle siedziała w samochodzie. Drżała i oddychała nierówno, a on nabrał pewności, że to zawał albo udar. Przez sekundę poczuł się jak Dorotka w krainie Oz, przygarniająca kolejnych nieznanym na drodze wybrukowanej żółtą kostką, tyle że zamiast do Szmaragdowego Grodu wszyscy ci, których pakował na tylne siedzenie uaza, musieli dotrzeć do cholernego szpitala.

„Przebita opona”, przypominał sobie. Tym samochodem nikt już nigdzie nie dotrze.

Kobieta oderwała się od swojego auta, ale udało jej się zachować pozycję stojącą. Chwyciła się za lewe ramię. Oczy miała zapuchnięte i Teig zastanawiał się, czy ona zdaje sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje. Wiatr śmigał wokół nich wszystkich i ze świstem ocierał się o otwarte drzwi samochodów, a choć silniki obu pojazdów nadal głośno pracowały, groza, która czaiła się w zakamarkach umysłu Teiga, odkąd razem z Prentissem wyruszyli w podróż Traktem Kołymskim, teraz zaczęła przekradać się do jego serca. Nieważne, czy od stacji benzynowej dzieliło ich trzydzieści, czy może trzysta kilometrów, przed nimi niezmiennie ziała nicość – najcichsza i najpiękniejsza z pułapek. Chłód kąsał mocno, głęboko zatapiając w nich zęby. Teig próbował przywołać w myślach słowa, którymi mógłby wyrazić takie zimno, ale miał wrażenie, że do tego celu potrzeba zupełnie nowego słownictwa. Zastanawiał się, czy w języku jakuckim istnieją wyrazy zdolne opisać tego lodowatego żniwiarza, który ich teraz prześladował. To mordercze powietrze, ziąb, do przeżycia którego człowiek nie został stworzony.

I wtedy coś w sercu Teiga się obudziło. Dotąd czuł przerażenie i desperację, zabójczy chłód i bliskość śmierci, rozpacz i trwogę; czuł, że ziemia usuwa mu się spod stóp, a wszelkie pojęcie o tym, co normalne i możliwe, po prostu wyparowuje. To nowe coś wydawało się obce, bo od dawna tego nie czuł i zapominał, że istnieje.

Nadzieja. Zapaliła się, jakby ktoś pstryknął włącznikiem. Teig poczuł, że ta nagła sytuacja wyrwywa

go z odrętwienia, ale zamiast desperacji wzbudziła pęd do działania.

– Nari, posadź Unę na tylnym siedzeniu auta starszej pani – powiedział.

Ostrożnie, żeby za mocno nie potrącić staruszki, pochylił się nieco i rzucił karabin na przednie siedzenie. Ujął starszą panią za ramię, delikatnie odsunął od samochodu i przytrzymując w pozycji stojącej, ocenił uszkodzenia pojazdu. Przód został częściowo zmiążdżony, ale z silnika nic nie dymiło, a opony były całe. I co najważniejsze, silnik nie zgasł.

Nari mogła się z nim kłócić, żądać wyjaśnień, ale Teig już wiedział, że jest mądrzejsza od niego. Zrozumiała natychmiast. Przednia szyba była rozbita, ale samochód pozostawał na chodzie. Mogli czekać na drodze, lecz była późna noc i szansa, że ktoś akurat będzie tamtędy przejeżdżał i ich uratuje, graniczyła z cudem. Przejechanie trzydziestu kilometrów z wybitą przednią szybą przy temperaturze co najmniej czterdziestu pięciu stopni poniżej zera... nie mogło być ani bezpieczne, ani wygodne. Groziło odmrożeniami albo czymś jeszcze gorszym. Ale Teig pomyślał, że z włączonym ogrzewaniem przynajmniej dojadą żywi do stacji benzynowej prababci Uny.

– Jak ona się nazywa? – zapytał. – Możesz ją spytać?

– Ludmiła – wychrypiała stara kobieta. – Się nazywam.

Czyli mówiła trochę po angielsku. Zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć, gdzie ostatnio słyszał to imię.

– Dobrze, Ludmiło. Pomożemy ci.

Podtrzymał bladą staruszkę, a Nari otworzyła tylne drzwi i postawiła Unę na ziemi, żeby dziewczynka mogła wsiąść do auta. Teig wiedział, że w środku będzie ciasno. Una, Nari i staruszka musiały zmieścić się na tylnych siedzeniach, żeby dla Prentissa znalazło się miejsce z przodu. Potrzebował Nari, by go tam przenieść – wprawdzie nawet przy jej pomocy nie mogło być łatwo, ale musieli to zrobić, bo inaczej jego przyjaciel albo by zamarł, albo wykrwawił się na śmierć, a Teig nie zamierzał dopuścić do żadnej z tych opcji.

– Już dobrze – powiedział do Ludmiły, która westchnęła przeciągle, jakby się poddawała. – Hej. Zawieziemy panią do szpitala.

Zmrużyła oczy. Może i słabo mówiła po angielsku, ale знаła to słowo i się jej nie spodobało. Pokręciła głową. Pokonując ból, próbowała uwolnić się od Teiga, jakby nie chciała jego pomocy.

– Hej, dosyć – zaczęła Nari po angielsku, a dokończyła niespokojnym potokiem jakuckich słów.

Una poruszała się jak w półśnie i Nari musiała pomóc jej się przesiąść z uaza do drugiego samochodu, ale przez cały czas ostrym tonem wydawała polecenia staruszce.

Ludmiła pokręciła głową w prawo i w lewo. Uniosła palec i kiwając nim w geście napomnienia, mówiła coś po jakucku, najwyraźniej nie zgadzając się z Nari.

– Co to, do diabła, ma... – zaczął Teig.

Ludmiła padła na kolana. Teig krzyknął i wyciągnął ku niej rękę, którą ona odtrąciła. Zaczęła głaskać koleiny w wiecznej zmarzlinie, wpatrując się z czułością w ziemię.

– Duchy – wyjaśniła Nari, ale Teig i tak już zrozumiał. Staruszka myślała, że pod powierzchnią drogi leżą ciała. Zważywszy na historię Drogi Kości, Teig nie wątpił, że kobieta ma rację, po tysiącokroć.

– Przekaż jej, że jeśli nie pojedzie teraz z nami, to stanie się jednym z nich – powiedział Teig.

Nari posłała mu jednak tylko smutne spojrzenie.

– Ona wie. Myślę, że tego chce.

Teig spojrział na kobietę na czworakach i poczuł, jak jego pęd do działania lekko słabnie. Być może Ludmiła właśnie umierała, na jego oczach. Może Nari miała rację i staruszka chciała, żeby tak się stało, ale jak mogła oczekiwać od niego –

do diabła, od kogokolwiek – że będzie tu stał i patrzył, jak uchodzi z niej życie, albo jeszcze gorzej: że zabierze jej samochód i zostawi ją samą na tej drodze.

– Nie – powiedział. – Pomóż mi z nią.

Ukląkł na jedno kolano i wyszeptał coś do Ludmiły po angielsku, mając nadzieję, że go zrozumie i będzie współpracować. Gdyby zemdląca, po prostu wpakowałby ją do auta. Ona jednak pokręciła głową, odtrąciła jego rękę i zaczęła się modlić. Tak przynajmniej pomyślał Teig, zważywszy na rytm wymawianych słów i pełen szacunku ton głosu. Spróbował raz jeszcze.

– Teig – powiedziała Nari chrapliwie.

W jej głosie usłyszał ponaglenie i zjeżył się. Sam wiedział, że czas goni.

– Teig... patrz.

Jej ton sprawił, że serce забиło mu szybciej. Lód zachrzącał mu pod butami, kiedy się odwracał, zapominając o Ludmile. Zesztywniał, wbijając wzrok w uaza, którego zostawił na chodzie, obróconego w poprzek drogi, z nieprzytomnym Prentissem leżącym na tylnym siedzeniu.

Znad zasy tuż za uazem patrzyła na niego para reniferów. Ich czarne ślepia aż lśniły. Cierpliwe i rozumne.

Una na tylnym siedzeniu samochodu Ludmiły wydała z siebie piskliwy krzyk i zaczęła walić w oparcie przed sobą, jakby to mogło sprawić, że pojazd ruszy. Chciała, żeby wsiedli do środka i odjechali tak szybko, jak tylko pozwoli im na to silnik. I Teig by to zrobił... ale nie bez Prentissa.

Już miał zawołać do przyjaciela, bo przyszło mu do głowy, że gdyby Prentiss był przytomny, to może by im się udało. I wtedy uderzyła go pewna myśl. W tej części świata renifery były powszechne. Zaśmiał się cicho, patrząc na te wielkie, niemrawe zwierzęta. To przecież nie były tamte ścigające ich cienie. Tamte wilki.

I wtedy jeden z reniferów nagle stanął na tylnych nogach i spojrzał na Teiga, jakby prowokując go do poruszenia się albo odezwania. Drugi zgramolił się z zasy i też wstał. Ich ciała zmieniły się w wysokie, podobne do człowieka stwory, ale poroża zostały. One i te czarne, lśniące oczy.

Istota stojąca bliżej uaza wyrwała tylne drzwi, sięgnęła do wnętrza i wywlokła Prentissa na drogę, a wtedy on, gwałtownie zbudzony bólem, zaczął krzyczeć. Wpatrujący się w Teiga stwór zdawał się z niego śmiać i ciężko stąpał kopytami, kiedy ten drugi wdrapywał się na zaspę, ciągnąc Prentissa za zdrową nogę, a potem obie istoty rzuciły się wciąż na dwóch nogach przez śnieg w kierunku drzew – wlokły Anglika, który ślizgał się po ziemi i wrzeszczał.

Teig słyszał go bardzo wyraźnie – Prentiss wołał jego imię.

Siedząca w samochodzie Ludmiły Una umilkła.

Ludmiła widziała to wszystko przez mgłę bólu. Ci ludzie byli obcy, ale poznała ich imiona z krzyków. Wiatr wył i śmigał obok samochodów. Silniki mruczały, a duchy szeptały jej

do ucha. Ten mężczyzna – Teig – wołał swojego wielkiego brodatego przyjaciela, którego coś wlokło po śniegu. Teig podbiegł do zasy, po czym obejrzał się i rzucił jej gorączkowe spojrzenie.

Strata. Szok. Rezygnacja. Widziała, jak kolejno malują się na jego twarzy, kiedy zdał sobie sprawę, że właśnie odebrano mu wszelką możliwość wyboru. Co mógł teraz zrobić ten osamotniony Amerykanin, nieprzygotowany na otwarcie oczu w taki sposób?

Dostrzegła ten moment, w którym podjął decyzję.

Zawrócił ku niej. Ludmiła wciąż tkwiła na drodze, na czworakach. Ta kobieta, Nari, ujęła ją za ramię, żeby mogła się podnieść i usiąść na tyłku jak pies. Coś mówiła, ale jej słowa zlewały się w niewyraźny bełkot i staruszka pomyślała, że widocznie część jej mózgu zaczęła obumierać. Pewnie serce przestało już bić. Wyobrażała sobie, jak ten umierający mięsień twardnieje i czernieje w coraz silniejszym uścisku kamiennej pięści. Matka zawsze powtarzała, że Ludmiła ma okropną wyobraźnię.

– Podnieś ją – rzucił Teig w stronę Nari. – Wsadź ją do auta, ale już!

Ludmiła pojęła. Z amerykańskich piosenek nauczyła się dość angielskiego, żeby wychwycić większość słów, ale co więcej, rozumiała strach na jego twarzy i widziała, jak patrzy na tę dziewczynkę na tylnym siedzeniu – dziewczynkę, która nie była tym, czym się wydawała. Ludmiła widziała, jak Teig mruży oczy, bliski płaczu lub krzyku z rozpacz, jak napina ramiona, wyraźnie rozgorączkowany.

Nari spróbowała podnieść ją za ramiona, mówiąc coś po jakucku, przymilając się, aby nakłonić ją do wstania z jezdni i powrotu do samochodu. Jej własnego, w którym drzwi po stronie kierowcy były wciąż otwarte. Właśnie zaczął się utwór *Somewhere North of Nashville* z melancholijnego, arcy mistrzowskiego albumu *Western Stars*. Ludmiła pomyślała, że to najpiękniejsza pieśń pogrzebowa, o jaką mogłaby prosić.

– Nie – odparła, odpychając dłoń Nari. Z bólu zacisnęła zęby. Mogło to wyglądać tak, jakby się uśmiechała. – Wy... jedźcie... – dodała, gdy zdobyła się na odrobinę angielskiego.

Nari przykucnęła obok niej, przytrzymując ją za ramiona i szukając jej wzroku oczami pełnymi przerażenia.

– Nie zostawimy pani tutaj samej, to byłaby pewna śmierć – powiedziała po jakucku.

Ludmiła chciała się uśmiechnąć, ale ból jej to uniemożliwił. Powoli skinęła głową i odpowiedziała w tym samym języku:

– Nie będę umierała sama. Mam przepiękne towarzystwo.

Wciągnęła powietrze, rozkoszując się jego ciepłem. Wiedziała, że to iluzja. I wiedziała, że zimno ją zabije, jeśli serce pierwsze nie załatwi sprawy. Ale ból zmienił Ludmiłę. Poczowała rumieniec na twarzy. Modlitwy, które odmawiała przez tak wiele lat, i te dzisiejsze zdawały się unosić teraz wokół niej.

– Do jasnej cholery! – ryknął Teig, ruszając w jej stronę, popatrując na nią jednym okiem, bo drugim obserwował zaspę, z okolic której te dwa potwory porwały Prentissa. – Pakuj ją do środka!

Próbował złapać ją za drugie ramię. Ludmiła szykowała się, by go odepchnąć. Tuż zanim jej dotknął, ujrzała, że nagle ogarnia go jakaś łagodność, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, co się przed chwilą stało.

Spojrzał na nią miękkim wzrokiem.

– Zaniosę panią. Będę uważał.

Nari wstała.

– Nie. Jedźmy.

Teig rzucił jej przerażone spojrzenie, którego znaczenie było oczywiste. Czy ona naprawdę chciała porzucić tutaj tę umierającą staruszkę? Jedyłą odpowiedzią Nari był malujący się na jej obliczu smutek. Jasne, że nie chciała zostawić tu Ludmiły, ale nie było już dla niej ratunku. Zdradził to wyraz jej twarzy, a Ludmiła się z nią zgodziła.

– Jedźcie – powiedziała do Teiga po angielsku. – Ze mną okej.

Nari i Teig wymienili spojrzenia, które wystarczyły za całą rozmowę, choć trwały tyle co trzy uderzenia

serca. To była ta chwila, w której musieli zdecydować, czy chcą podnieść tę staruszkę z ziemi i siłą wepchnąć ją do samochodu.

Nari znów odezwała się po jakucku:

– Zaraz wrócimy – obiecała.

Ale Ludmiła widziała, że ta kobieta nie jest pewna, czy w ogóle wróć. Mimo miazdzącej serce pięści Ludmiła zmusiła się do lekkiego uśmiechu, żeby udzielić Nari rozgrzeszenia, którego będzie potrzebowała później. O ile przeżyje.

– Ruchy. Jedziemy! – rzucił Teig, ruszając do samochodu.

Ludmiła patrzyła, jak odchodzi, i widziała żal w oczach Nari. Dziewczynka, która nie była tym, czym się zdawała, zrozumiała, że podjęto decyzję, i zaczęła wysiadać z samochodu, jakby zamierzała uciekać na piechotę. Nari chwyciła ją, wepchnęła z powrotem na tylne siedzenie i usiadła tuż obok. Mała zaczęła pisać, jakby została porwana. Jedno wydawało się jasne: nie chciała jechać tam, gdzie zamierzali ją zabrać.

Teig zatrzasnął drzwi po stronie kierowcy i ściszył Springsteena. Ale to Ludmile nie przeszkadzało. Słyszała jego głos w głowie i sercu. Był teraz przy niej, szepcząc jej do ucha tak samo jak duchy mężczyzn i kobiet leżących bez życia pod tą drogą. Obserwowali ją. Czują na sobie ich wzrok i ich miłość do niej. Ta pociecha otuliła ją niczym cudowny kokon. Ludmiła trochę osłabła, ale pozostała na kolanach, czekając, by do nich dołączyć.

Ryknął silnik jej samochodu. Opony wpadły w lekki poślizg, kiedy Teig omijał swoją bezużyteczną już terenówkę. Zwiększył obroty i przejechał prosto przez zaspę. To auto nie nadawało się na długą jazdę po śniegu i wiecznej zmarzlinie, ale nie było takiej potrzeby. Ludmiła widziała, jak rogate istoty wlokły tego wielkiego mężczyznę po ziemi. Wiedziała, że nie odeszły zbyt daleko.

Czekały.

Prentiss miał wrażenie, że się unosi. Uszy wypełniał mu szum, a głowa podskakiwała. Mocne szarpnięcie ramienia sprawiło, że ból przebiegł mu wzdłuż kręgosłupa, ale przede wszystkim czuł zimno i pęd, jakby anioły zabrały go przed jego czasem. Jedwabista gładkość kurtki szeleściła po śniegu. Głowa znowu podskoczyła i już wiedział, że wcale się nie unosi. On umierał.

Porwał go mrok...

Odetchnął gwałtownie i odzyskał przytomność, gdy jego ciało stoczyło się po niewielkim zboczu i zatrzymało u podstawy drzewa. Okaleczoną nogą uderzył w pień, zanim znieruchomiał z rozrzuconymi kończynami, ale nic przy tym nie poczuł. Ból promieniował od biodra do kręgosłupa, ale w nodze czuł tylko odrętwienie. Gdyby była amputowana, mógłby przynajmniej odczuwać ból fantomowy, ale nie – wciąż była przytwierdzona do ciała, tyle że przestała wysyłać jakiegokolwiek impulsy do mózgu. Może była to łaska, lecz Prentissowi chciało się krzyczeć.

Pod kurtką i pod koszulą miał pełno śniegu – skutek wleczenia go po ziemi.

Zamroczony od utraty krwi albo wstrząśnienia mózgu, Prentiss zdołał się unieść i oprzeć na łokciu na tyle, żeby móc się rozejrzeć. Coś zawarczało za jego plecami i spowił go piżmowy, zwierzęcy smród, tak silny, że aż się skrzywił i wstrzymał oddech. Pamiętał tamte wilki, które go zaatakowały i rozszarpały mu nogę, ale gdy się odwrócił w stronę gardłowego dźwięku i ujrzał wyłaniający się z mroku kształt, okazało się, że to nie wilk.

Przypomniał sobie sylwetkę sprzed kilku chwil, to coś, co wyrwało drzwi uaza i chwyciło go za nogę. Choć bestia się przyczajęła, pochylała i wykrzywiała, jakby niepewna, jaką formę chce przyjąć, poroże nadawało jej wysokość dwóch albo dwóch i pół metra. Ślepie mogła mieć żółte albo złote, lecz kiedy mrugała, zdawały się czarne – nie tak jak noc, heban czy smoła, ale tak, jakby ktoś wybił dziury w materii wszechświata i z tych prześwitów wзираło to, co może się kryć po drugiej stronie.

Istota chwyciła go za brodę. Prentiss jęknął, kiedy podniosła go ze śniegu. Próbował utrzymać równowagę na jednej nodze, a bestia pochylała łeb, aby go obwąchać, przybliżając wydłużony pysk do jego twarzy. Wypuściła oddech. Prentiss poczuł smród zwierzęcych wyziewów, ale chociaż powinny być ciepłe i wilgotne, były zimne. Chłodniejsze nawet od tego brutalnego, nocnego wiatru. Jego twarz pokrył szron... i wtedy bestia go puściła. Okaleczona noga nie zdołała go utrzymać – runął na ziemię. Uderzył twarzą o śnieg, a zamrożona skóra pękła.

Leżał bez ruchu, gdy druga para kopyt przestąpiła nad nim, jakby wcale go tam nie było. Zbyt słaby, by wykrzyczeć swój strach albo sprzeciwić się bólowi, zaczął płakać. Jego ojciec był łagodnym człowiekiem,

ale matka dorastała w domu, w którym nauczyła się gardzić emocjami, widząc w nich oznakę słabości, zwłaszcza u chłopca. Już w dzieciństwie zawstydziała go, kiedy płakał.

Tej nocy nigdy by mu nie wybaczyła, ale on i tak szlochał.

Ciało nie mogło mu dać już nic więcej.

W tej samej chwili, gdy Nari zatrzasnęła drzwi, zdała sobie sprawę, jaki popełniła błąd. Teig uratował ją, zabierając z pobocza drogi, kiedy zepsuł się jej SUV. To on wydostał ją z opustoszałego miasteczka, gdzie to wszystko się zaczęło. Wątpliwe, czy bez niego zdołałaby przeżyć ten atak w barze. Kiedy więc krzyknął do niej, że ma wsiadać do jedyne go sprawnego auta na tej cholernie zamrożonej drodze, posłuchała go.

Co gorsza, wpełchnęła do środka Unę i usiadła obok niej. Obok tej małej z diabłem w oczach.

A teraz chciała wysiąść.

– Teig, stój! – krzyknęła. – Proszę!

Ale on już jej nie słyszał. Nie myślał o niczym poza Prentissem. Nari złapała się zagłówka siedzenia przed sobą, kiedy Teig zakręcił kierownicą, a gdy samochód wpadł w poślizg przy półobrocie, wcisnął gaz do dechy. Auto skoczyło w kierunku zasy i Nari zabrakło tchu. Co ona sobie myślała?

Znowu do niego krzyknęła. Tylko imię, ale w jej głosie pojawił się nowy, pierwotny tembr, bo z tego koszmaru zaczęła wyłaniać się prawda. Pograżony w mroku, opętany strachem i walką o życie ludzki umysł mógł poddać się władzy czystego instynktu. Tryb przetrwania mógł wyłączyć racjonalne myślenie i praktycznie uniemożliwić skupienie się na czymkolwiek innym niż schronienie, bezpieczeństwo i możliwość zaczerpnięcia następnego oddechu.

Przód samochodu wypchnęło do góry, gdy uderzyli w zaspę. Zimowe powietrze wdarło się przez wybitą przednią szybę i Nari schyliła się w ochronie przed przenikliwym zimnem. Samochód opadł ciężko po drugiej stronie zasy, miażdżąc kilkucentymetrową warstwę mocno ubitego śniegu. Zimowe opony przebiły się przez nią i znalazły oparcie na znajdującej się pod spodem wiecznej zmarzlinie, a rozpęd zrobił resztę. To auto nie zajechałoby zbyt daleko, ale przecież wcale nie musiało. Zmrużyła oczy przed lodowatym wiatrem i niespełna trzydzieści metrów dalej ujrzała ciemne kształty tykawatych, zgarbionych, majaczących na tle linii drzew istot, które obserwowały zbliżający się ku nim pojazd. Jedna z nich pochyliła się i poderwała z ziemi korpulentną postać

Prentissa.

– Skurwiele! – ryknął Teig, waląc w klakson, który zabrzmiał niczym okrzyk wojenny. – Kurrrrrrwa!

Nari spojrzała na klamkę drzwi obok siebie. Mogłaby je otworzyć i wyskoczyć. Może coś by sobie złamała, a może nie. Może dałaby radę dotrzeć z powrotem do uaza i zawlec do niego Ludmiłę, przynajmniej dla schronienia. Jeśli te stwory dostaną, czego chcą od Teiga i Prentissa, to może jej nie zabiją. Może dadzą jej spokój, choćby tyle, żeby zdążyła zmienić koło. Może wtedy nie zamrznie. Może, może, może.

Obejrzała się na miejsce wypadku.

Parnee stał w zaspie, przez którą właśnie przedarli się samochodem, i patrzył, jak się oddalają.

Siedząca obok niej Una otrząsnęła się już po uderzeniu w głowę i znów zaczęła piszczeć.

Krzyczące dziecko powinno było obudzić w Nari najróżniejsze uczucia i pragnienie jego ochrony. Ale obejrzała się w samą porę, aby zobaczyć, że Una szarpie się z klamką po swojej stronie, próbując ucieczki, którą Nari zaledwie przed chwilą sama rozważała. Samochodem zarzuciło, zaczął zwalniać i Teig znowu docisnął gaz, klnąc na opony i mając nadzieję, że zdoła złapać lepszą przyczepność. Jechali prosto na te rogate istoty stojące przed drzewami.

Nari złapała Unę za włosy w momencie, gdy dziewczynka osiągnęła swój cel i drzwi otworzyły się szeroko. Wciągnęła małą z powrotem do środka. Una wrzasnęła, wymachując przed sobą nogami i kopiąc w otwarte drzwi, dopóki się nie zamknęły, kiedy samochód wjechał w koleinę. Przez ten krzyk Teig po raz pierwszy stracił koncentrację. Zawahał się na chwilę i obejrzał przez ramię.

– Jedź, kurwa! – wrzasnęła na niego Nari.

Una wbiła palce w dłonie kobiety, próbując się wyrwać, ale Nari mocno trzymała w garści jej włosy.

– Co ty wyprawiasz? – warknął Teig.

Una się obróciła, wciąż usiłując uwolnić włosy, i spojrzała na Nari oczami, które nie mogły należeć do dziecka. Widoczna w nich nienawiść, tak jak inteligencja i wrogość, przynależała do kogoś znacznie starszego.

Nagle Nari poczuła, że już nie chce opuścić samochodu. Jeszcze nie. Dopóki to się nie skończy. Przez

całe życie pragnęła być wolna, odciąć się od ciężaru zobowiązań, ale jeśli nie doprowadzi tego do końca, to nigdy się nie uwolni.

Ignorując krzyki Uny, mocniej zacisnęła palce na włosach dziewczynki, a potem podniosła wzrok i napotkała spojrzenie Teiga w lusterku.

– Chcą jej – powiedziała. – Więc ją oddamy.

Śnieg zrobił się głębszy. Opony w nim tonęły. Samochód po raz ostatni znalazł oparcie dla kół i skoczył naprzód z taką siłą, że zarył przodem w niewielki rów tuż przed linią drzew. Bez porządnego machania łopatami nie było szans, aby wydostać się stamtąd do późnej wiosny.

Teig siłą otworzył drzwi. Śnieg nie pozwalał odsunąć ich do końca, ale jakoś udało mu się przecisnąć i wyjść. Zajrzał z powrotem do środka, na Nari i Unę. Widząc, jak ta kobieta zaciska palce na włosach dziewczynki, jakby ją porywali, a nie ratowali, poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Pomyślał o tamtym vanie i szczeniaku. Nie, to mu się wcale nie podobało.

– Trzymaj ją – powiedział – ale dla jej bezpieczeństwa, a nie naszego. Gdy to się skończy, wszyscy wracamy do domu.

Nari zbladła. Wykrzywiła górną wargę.

– Chyba cię pojebało.

– Zrób to! – Teig sięgnął na przednie siedzenie i chwycił karabin.

Do tej chwili starał się nie patrzeć na te istoty... tych rogatych ludzi. Ani na drzewa, ani na cienie, ani nawet na Prentissa. Teraz jednak wstrzymał oddech, przełknął ślinę i podniósł wzrok. Pod lasem stały cztery stwory, przynajmniej tyle udało mu się ich dostrzec – ogromne renifery, które stanęły na dwóch nogach, porzuciły zwierzęcość i stały się czymś innym. Jednak w głębi lasu ujrzał kolejne ślepia i wiedział, że bestii jest więcej. Nisko nad ziemią, między drzewami a reniferami, w zaroślach czaiło się kilka cieni, które albo bały się wyjść, albo trzymały się w pobliżu na wypadek, gdyby były potrzebne.

Teig przenosił spojrzenie od jednej bestii do drugiej i oddychał płytko, parząc płuca lodowatym powietrzem. Nagle ziemia zatrzęsała się pod jego stopami. Śnieg zaczął się osuwać i pękać, zakołysały się drzewa. Spojrzał w górę i w lewo – na północ – aż zobaczył rozsuwane na boki wierzchołki drzew; niektóre z nich wręcz pękały. Powietrze znieruchomiało, wiatr ucichł i zapadła cisza, jeśli nie liczyć trzeszczenia drzew i drżenia światła.

„Co ja narobiłem?“, pomyślał.

W przerwach między kolejnymi mrugnięciami jego mózg prześledził całą drogę wstecz. Jak on się znalazł w tym miejscu? W tej chwili, od której nie było już odwrotu. Przecież chciał tylko nowego początku, żeby odbudować swoje życie i reputację, żeby jego starzy przyjaciele zrozumieli, że nigdy nie miał złych intencji i że pragnął... że zasługiwał na ich przebaczenie. Chciał dowieść, że jego marzenia nie leżą poza zasięgiem możliwości, i wynagrodzić wszystko tym, którzy nie stracili w niego wiary.

Ale wytrwał przy nim jedynie Prentiss.

A teraz...

Jedna z istot chwyciła jego przyjaciela za tył kurtki i podniosła go z taką łatwością, jakby był szmacianą lalką. Prentiss miał krew na opuchniętej twarzy i brodę oblepioną śniegiem, a lewą nogę skręconą w kolanie, tak że stopa zwrócona była tyłem do przodu. Z nogawki spodni i z buta zwisały krwawe sople. Nagle drgnął i zamrugnął – oczy miał zaczerwienione, ale żył.

Jeszcze żył.

To Teig go tu przywiózł, tego faceta, który był dla niego bratem.

Ziemia znów się zatrzęsała. Rogata istota podniosła Prentissa nieco wyżej i potrząsnęła nim jak wojownik wymachujący trofeum przed wrogiem. Głowa Prentissa opadła do tyłu i z jego otwartych ust wydobył się krzyk rozpaczony pokonanego.

Czające się w głębi lasu cienie zaczęły wtórować mu wyciem, ale Teig wiedział, że to nie wyraz wspólnoty, lecz kpina. Czuł rozpacz przyjaciela, czuł beznadziejność tej chwili. Znaleźli się w ślepych zaułku, wokół panował jedynie chłód i mrok. Zima wbiła w niego swe szpony, gdy tylko przestał się poruszać, gdy przestały napędzać go wściekłość i strach, a ogarnęła ponura groza. Kiedy mrugał, sklejały mu się rzęsy. Wilgoć oddechu zmieniała się w kryształki lodu na wardze i podbródku. Mimo rękawic zdrętwiały mu palce. Pozostał tylko ból w paliczkach dłoni, a Teig wiedział, że i on zniknie.

Uniósł karabin i oparł lufę o drzwi samochodu, na wypadek gdyby brak czucia w palcach miał mu przeszkodzić w celowaniu.

– Oddajcie mi przyjaciela, skurwiele! – rzucił.

I strzelił jednemu rogowemu w lewe oko, aż eksplodował mu tył czaszki.

Ludmiła klęczała na drodze ze zwieszoną głową i z zamkniętymi oczami, całkowicie zatopiona w sobie. Jej ciało, choć smagane wiatrem, było ciepłe niczym w środku lata, a ona czuła, jak ból odpływa i ogarnia ją słodkie zadowolenie. Wsłuchiwała się w warkot silnika bezużytecznego uaza, ale dźwięk ten mieszał się z szeptem powietrza wzdłuż drogi i ponad zaspami, a także z cichymi modlitwami, które do niej docierały – nie wychodziły z jej własnych ust, lecz z ust dawno zmarłych. Śpiewali jej i modlili się za nią, tak jak dotąd robiła to ona.

Zachręścił śnieg, przerywając tę cichą symfonię silnika i duchów. Kobieta podniosła wzrok i zobaczyła zbliżającego się piźmowca. Ich oczy się spotkały i zwierzę zamarło, jakby nie chciało przekroczyć granicy tabu. Ludmiła spróbowała uśmiechnąć się do niego, niepewna, czy jej twarz wyraża to, co czuje, ale piźmowiec zastrzygł uszami i postąpił ku niej jeszcze dwa kroki. Przekrzywił głowę i przyjrzał się jej z ciekawością zwierzęcia, z fascynacją, która mogła się zrodzić jedynie z niewinności.

Wtedy za nim pojawił się niedźwiedź.

A potem inne zwierzęta. Wspinały się na zasy, żeby się jej przyjrzeć, a Ludmiła poczuła, jak na jej twarz wypływa błogi uśmiech. Trzy biegnące klusem na południe rosomaki błysnęły zębami. Jeden zaatakował drugiego i przez chwilę się przekomarzały, dopóki trzeci nie przywołał ich do porządku, a wtedy znowu zainteresowały się Ludmiłą. Za nimi kroczyły drogą długie cienie. Z początku szły wyprostowane, ale wkrótce opadły na czworaki, a gdy się zbliżyły, zmieniły się w wilki, chociaż Ludmiła nie była pewna, czy w takiej postaci rozpoczęły tę noc.

Zza śnieżnej zasy wynurzyła się masywna postać i wskoczyła na dach porzuconego przez nieznanomych uaza, którego silnik pracował na jałowym biegu. Tygrys syberyjski.

„Mój Boże, jaki piękny”. Wypuściła powietrze, chociaż teraz każdy następny oddech był dla niej cenniejszy niż poprzedni. Na świecie zostało już tylko około pięciuset tygrysów syberyjskich, a ten przyszedł do niej. Zawarczał cicho i umilkł, a może dudnienie w jego klatce piersiowej zlało się z dudnieniem dobiegającym spod maski samochodu. Pojawiało się coraz więcej zwierząt, wśród nich jeszcze kilka niedźwiedzi brunatnych, z których jeden miał na grzbiecie sześć wtulonych w futro brązowych burunduków, zadzierających łebki i spoglądających z ciekawością to na Ludmiłę, to na samochód.

Z oddali dobiegł odgłos wystrzału. Odbił się echem, a większość zwierząt odwróciła się, żeby spojrzeć na wschód, w stronę źródła dźwięku. Dwa wilki stanęły na zadnich łapach, żeby lepiej widzieć. Jak na zwykłe zwierzęta miały zbyt proste grzbiety, ale Ludmiła wiedziała od początku, że były czymś więcej. Jej babka była szamanką i chociaż nigdy dotąd nie otaczało jej tak wiele leśnych duchów, Ludmiła widziała w ich oczach mądrość wieku i chłoneła prastary smak ich oddechu.

Zachręścił śnieg. Na drodze zastukały kopyta. Znowu spojrzała na północ, skąd nadchodziła para największych reniferów, jakie w życiu widziała. Szły obok siebie, zderzając się bokami i porożami, niczym trącający się nosami kochankowie, którymi być może były.

Za nimi kroczył *parnee*.

Leśne duchy ponownie skierowały uwagę na Ludmiłę. Z każdym krokiem *parnee* zdawały się tężeć, ich ślepią się zwięzały, a ona wiedziała, że zaciągną ją w las i szybko się tam z nią uporają. Nie miała nic przeciwko temu, naprawdę. Zostanie częścią lasu w żadnym razie nie stanowiło dla niej niepożądanego zakończenia.

Spod niej podniosły się szepty. Pieśń i chór modlitw, które każdy inny uznałby za zwykłe gwizdanie wiatru. Rosomaki usłyszały to jako pierwsze. Przysiadły na tylnych łapach i zastrzygły uszami. Przekrzywiły łby i kiwnęły nimi prawie jednocześnie, jakby właśnie podjęły decyzję. Kiedy burunduki na grzbiecie niedźwiedzia zrobiły to samo, a potem sam niedźwiedź i reszta zwierząt, rosomaki zawróciły i wdrapały się na zaspę po wschodniej stronie. Tygrys zeskoczył z uaza, nie poświęciwszy Ludmile nawet spojrzenia.

Wszystkie zwierzęta się oddaliły, idąc śladem pozostawionym przez nieznanomych w jej samochodzie. W końcu został tylko piźmak, który jako pierwszy przyciągnął jej wzrok, a po chwili również on zszedł z drogi i zniknął w ciemnościach.

Ludmiła oddychała cicho.

Czyjś but zaszurał na drodze.

Podniosła oczy i spojrzała w twarz *parnee*. Ostatnie ze zwierząt już zniknęło, łącznie z parą reniferów, i pozostała tylko ta istota, szaman leśnych duchów, nie człowiek i nie zwierzę, nie zjawą i nie demon, lecz duch. Tak, tym właśnie był.

Parnee westchnął. Poczowała otulające ją ciepło i zapach lasu wczesną wiosną, kiedy jesienne liście jeszcze się rozkładają, choć wyrastają już nowe i zakwitają kwiaty. Objęła się ramionami i spostrzegła, że w ogóle nie czuje palców. Powieki jej się sklepiły i musiała unieść rękę, aby otrzeć z nich kryształki lodu. Kiedy znów mogła je rozewrzeć i spojrzeć, *parnee* już nie było. Nie widziała go, z prawej strony dobiegło ją skrzypienie butów na śniegu i domyśliła się, że ruszył za resztą... ścigać nieznajomych... odebrać im tę dziewczynkę o czarnych, okrutnych oczach.

Silnik uaza rzeźił jeszcze przez chwilę, a potem dał za wygraną. Owiany mroźnym powietrzem, cyknął parę razy, po czym umilkł. I już nawet nie syknął.

Teraz jedynymi dźwiękami wokół Ludmiły były trzaski zamarzającego i pękającego śniegu. Oraz nierówne, świszczące oddechy wydobywające się z jej płuc. Serce ucichło.

Osunęła się na bok i upadła z rozrzuconymi rękami i nogami.

Przez chwilę myślała, że widzi otaczające ją w ciemnościach duchy zmarłych.

– Och, przyjaciele – wychrypiała. Bo to byli jej przyjaciele. Przybyły po nią duchy północy, wściekłość natury, której żaden człowiek nie zdoła odeprzeć, i odeszły, zostawiając ją w spokoju.

Sprawiły to ich modlitwy – pieśni pogrzebanych w przeklętej ziemi pod Drogą Kości. Całymi latami robiła wszystko, co w jej mocy, aby ich błogosławić, wyzwalać, chronić i prowadzić, a teraz to oni chronili ją.

Ludmiła odwróciła głowę. Tkanina kominiarki i skóra wokół oczu oderwały się od drogi, do której zdążyły przymarznąć. Ale przynajmniej mogła spojrzeć w dół, przez lód oraz stwardniałą wieczną zmarzlinę, i dostrzec pogrzebane pod nią kości.

Kości i czaszki, których puste oczodoły zdawały się odwzajemniać jej wdzięczne spojrzenie.

– Dziękuję wam – wyszeptwała.

I Ludmiła odeszła z tego świata. Przeniosła się do nich. Stała się jeszcze jednym ciałem na Drodze Kości.

Teig nie wołał do rogatych istot, że mają uwolnić Prentissa.

Właśnie strzelił jednej z nich w oko i widział, jak pada martwa na śnieg, więc uznał, że zrozumieli przekaz. Strzał odbił się echem od drzew, ale poza tym wszystko rozegrało się w ciszy. Trzy inne wyprostowane renifery stały pod lasem, a w zaroślach za nimi jarzyły się ślepiea podkradających się coraz bliżej cieni. Jedna z rogatych istot wciąż trzymała Prentissa w górze.

– Felix – wychrypiał Prentiss. – Nie rób...

Te słowa były tak ciche, że nigdzie indziej nie dosięgłyby jego uszu, ale tutaj wiatr zdawał się im pomagać; podmuch, który powiał obok Prentissa, zaniósł jego głos do Teiga wraz z dziwnie ludzkim odorem wyprostowanych reniferów.

Nari krzyczała do Teiga, kilka razy powtarzając jego imię nagłym tonem, który może wywołać jedynie przerażenie. Teig nie ośmielił się ani na chwilę oderwać wzroku od Prentissa, ale wtedy tylne drzwi samochodu staruszki otworzyły się i Nari wywlokła dziewczynkę z tylnego siedzenia.

Una zaczęła pisać i drapać Nari po twarzy.

Rogate istoty uderzały kopytami o ziemię, niespokojnie i czujnie. Ta, która trzymała Prentissa, potrząsnęła nim jak grzechotką. Ostrzegawczo.

– Przestań! – krzyknął Teig do Nari, nie odwracając się w jej stronę. – Co ty wyprawiasz?

– Zrób to, Teig! – odkrzyknęła Nari. – Dokonaj wymiany!

Wrzaski Uny stały się jeszcze głośniejsze. Drapała Nari, próbując się uwolnić i dzikim wzrokiem szukając drogi ucieczki.

Teig rzucił ostre spojrzenie w kierunku Nari.

– Przestań! Nie mogę... to małe dziecko!

– Nie mamy pojęcia, czym ona jest! – wrzasnęła Nari.

Jakimś cudem jej słowa zabrzmiały głośniejsz niż wystrzał.

Teig odwrócił się, by popatrzeć na Nari i Unę, i zobaczył w ich oczach przerażenie. Ale one wcale nie bały się tych zbliżających się do nich wyprostowanych stworów ani tych wilkopodobnych cieni, które

wysunęły się z lasu i zaczęły ich okrażać. Nie... Nari i Una o wiele bardziej bały się siebie nawzajem. Teig wpatrywał się w oczy Uny – pełne odwiecznej inteligencji, pełne nienawiści – i wiedział, że Nari musi mieć rację. Ale cokolwiek czaiło się w jej oczach, Una była dzieckiem i Teig nie mógł tak po prostu oddać jej tym potworom, które po nią przyszły. Nie przyjechały vanem ani nie zwabiły jej szczeniakiem, ale tak czy inaczej były potworami.

Poczuł się tak, jakby miał zaraz oszaleć. Chciało mu się wyc.

– Teig! – wychrypiał Prentiss.

Trzymająca go rogata istota ryknęła coś do Teiga słowami, które nie brzmiały jak angielskie, ale nie wymagały tłumaczenia. Prentiss zatrzęsł się i po jego nodze spłynęły siki – kapąły i zaraz zamarzały. Teigowi chciało się płakać. Zamiast tego podniósł karabin, wyszedł zza otwartych drzwi samochodu i ruszył w kierunku grupy pod lasem. Dwa wilki sunęły brzuchami po śniegu, podkradając się do auta i Teiga, ale on zmrużył oczy i wycelował. Ubrane w rękawice dłonie nawet nie drgnęły. Wiedział, że jeśli pociągnie za spust, rozsadzi mózg rogatego potwora razem z połową jego czaszki. Prentiss spadnie na ziemię. Jego połamana, powykręcana noga, pokryta soplami krwi i moczu, zostanie zmiażdżona pod jego ciężarem.

I co potem?

Teig w końcu zaszlochał. „Co potem?”

Trzymający Prentissa rogaty potwór coś krzyknął. Pozostałe stwory ruszyły w kierunku Teiga. Ten wypuścił powietrze i wycelował. Prentiss jęknął i ich oczy się spotkały. Teig się zawahał, napotykając spojrzenie swojego przyjaciela, jedyne, który wytrwał u jego boku.

– Ruthie – wychrypiał Prentiss. – Powiedz Ruthie...

Rogaty potwór chwycił go za głowę i jednym ruchem skrzył mu kark.

Po czym rzucił zmasakrowane ciało w śnieg.

Teigowi zabrakło tchu, by krzyknąć.

Wycelował z karabinu i strzelił do tego, który zabił Prentissa. Trzęsły mu się ręce i kula przeszła ramię potwora. „Jezu, nie. Prentiss... bracie, wybacz, że...”

Ranny rogaty stwór przestąpił nad zmasakrowanymi, zakrwawionymi szczątkami Prentissa i wyciągnął rękę w stronę unieruchomionego w śniegu samochodu. Wskazywał na Nari i Unę, ale Teig dobrze wiedział, że Nari nie zwraca uwagi na te demony, czymkolwiek, do diabła, były. Ziemia znów się zatrzęsała i kolejne drzewa z trzaskiem runęły na ziemię. Powietrze nad lasem znieruchomiało. Zamajaczył tam jakiś kształt, niewidoczny, lecz zauważalny z uwagi na wiatr, który go opływał, oraz wierzchołki drzew zdających się wyrastać z powietrza, jakby środek lasu się uniósł, aby obejrzeć impas trwający na jego skraj.

Wilki podkrały się bliżej. Jeden z nich wskoczył na maskę samochodu, a wtedy Teig obrócił lufę karabinu i wycelował w jego żółte ślepie. Pazury nie zarysowały lakieru. Metal nie ugiął się pod ciężarem bestii. Istota, która wbijała wzrok w Teiga, prowokując go do strzału, miała postać wilka, ale nie jego ducha. Teig dostrzegał to teraz, kiedy rozpacz ścisnęła mu gardło i pobawiła go tchu. Rogate istoty zaczęły się zbliżać, dołączając do wilków, a Teig chciał już tylko paść na kolana jak tamta staruszka na drodze i poddać się temu, co miało nastąpić.

Wtedy dziewczynka wydała z siebie kolejny krzyk, najbardziej wściekły i rozpaczliwy z dotychczasowych, i Teig się wyprostował. Odzyskał dech, nacisnął spust. Kula trafiła wilka w szyję, szarpnęła nim tak, że się zatoczył i spadł z maski w śnieg. Po ostatnim spotkaniu z tymi bestiami Teig wiedział, że postrzelony stwór wkrótce znowu przemieni się w skradający się cień, a potem w wilka, jeśli taką postać zechce przyjąć. Ale czymkolwiek ta istota była, przez chwilę cierpiała i to bardzo Teiga cieszyło.

Una wrzasnęła. Teig się odwrócił i ujrzał, że Nari trzyma dziewczynkę za włosy, odciąga ją od otwartych tylnych drzwi samochodu, wlecze po śniegu. Widział wyraz jej oczu, kiedy wykręcała małej głowę, żeby pokazać jej twarz rogatym istotom, tak jak rzeźnik prezentuje klientom wyborny kawałek wołowiny. To porównanie sprawiło, że gejzer wymiocin podszedł mu do gardła. Teig odwrócił się na bok i zwymiotował resztki zawartości żołądka, po czym znów spojrzął z wściekłością na Nari.

– Nie ma, kurwa, szans! – ryknął. – Wracaj z nią do samochodu! Wracaj i...

– I co? – odwrzasnęła Nari z dzikim wzrokiem, a Una rzuciła się i drapała ją, próbując uciec. – Ile masz naboji? Co możesz zrobić? Mamy do wyboru oddać ją albo zginać, a ja nie chcę umierać! Nie za to coś! To nie jest Una, Teig!

Nari znów obróciła dłoń, którą trzymała dziewczynkę za włosy, żeby pokazać mu jej twarz. Una wrzeszczała dziko, zdzierając sobie gardło i pryskając śliną.

– To po nią przyszli. Coś w niej jest. Nie chcą nas, chcą tego, co jest w niej, i nie pozwolą nam zabrać tego dalej na południe. Zabiją każdego, kto spróbuje to przed nimi ochronić.

Dziewczynka nagle znieruchomiała w rękach Nari, jakby te słowa ją uciszyły, jakby znów wpadła w katatonię. Teig zrobił krok w jej stronę – w stronę ich obu – a wtedy miała zamierzyła się nogą i kopnęła Nari, próbując wyzwolić się z uścisku i rzucić po karabin Teiga.

Nari szarpnęła ją za włosy. Una zaczęła na nią pluć i ją drapać. Odwróciła się i splunęła na Teiga z zajadłą nienawiścią w oczach.

Trzymając karabin, jakby miał w sobie jakąś magiczną moc, Teig potoczył wzrokiem po wilkach i trzech rogatych istotach, które otoczyły samochód i jego byłych pasażerów. Podeszły bliżej, ale zatrzymały się, kiedy Nari potrząsnęła Uną, jakby chciała wręczyć im ją w ofierze.

Teig spojrział na Prentissa, który leżał martwy na śniegu, w ciemności. Pomyślał o tych wszystkich rzeczach, które powinien był mu powiedzieć, o tych przeprosinach bez przekonania, na które się zdobył, zamiast wziąć na siebie pełną odpowiedzialność za wszystko, co kiedykolwiek spieprzył. Pomyślał o tym, ile zawdzięcza Prentissowi, i o tym, co jego przyjaciel by teraz zrobił, gdyby to Teig leżał martwy na śniegu poplamionym jego własną krwią, a on stałby tu żywy z karabinem w ręku.

Jakiegokolwiek zło czało się za oczami Uny, jej ciało należało do dziecka, a on miał ją oddać tak po prostu, bez walki? Nie musiał się zastanawiać, co pomyślałaby o tym Olivia.

Już to wiedział.

– Nari, przetłumacz to.

Wbiła w niego wzrok. Dziewczynka znowu wrzasnęła i Nari szarpnęła ją za włosy. Teig stanął do niej przodem, a tyłem do potworów z lasu.

– Nie rób tak! Nie krzywdź jej!

Nari patrzyła na niego, jakby ujrzała go po raz pierwszy.

– Przyszli po nią.

– Po prostu przetłumacz, co powiem, proszę. – Teig wziął głęboki oddech i zwrócił się twarzą do rogatych istot. Wilki cofnęły się nieco, uważnie go obserwując. Może coś rozważając.

Rogaty, który stał najbliżej, ten, którego Teig postrzelił w ramię, przekrzywił z zaciekawieniem głowę obciążoną porożem tak bardzo, że aż kołysała się lekko, niemal hipnotycznie. Teig przyjrzał się jego twarzy i zaczął mówić.

– Nie chcę umierać – powiedział.

Nari powtórzyła jego słowa po jakucku – przynajmniej myślał, że to jakucki – i miał nadzieję, że te istoty zrozumiały.

– Nie mogę pozwolić wam zabrać tej dziewczynki – ciągnął.

Nari popatrzyła na niego z mieszaniną strachu i furii. Teig odwzajemnił jej spojrzenie i nie spuszczał z niej wzroku, dopóki nie uległa, kontynuując tłumaczenie.

– Nie mogę pozwolić wam zabrać tej dziewczynki – powtórzył – i nie chcę umierać. Ale chcę znaleźć inny sposób, jeśli to możliwe. Jeśli moja znajoma ma rację, to wcale nie chodzi wam o tę małą, lecz o coś, co jest w niej. Czy możecie... – Teig zastanowił się nad tym, co teraz miał powiedzieć. Spojrzał w górę, nad wierzchołki drzew, w miejsce, które omijał wiatr, w falujące powietrze, które dowodziło, że jest tam coś ogromnego, co ich obserwuje i słucha. Poczuł, że tych słów nie powinien kierować do rogatych stworów, ale do tamtej obecności, która sprawiała, że gięły się drzewa i drżała ziemia, która tchnęła zimą i uchylała wiatr. – Czy możesz zabrać z niej to coś, nie zabijając jej? – zapytał.

Nari powtórzyła jego pytanie.

Una zamarła w jej uścisku, gdy zrozumiała, do czego zmierza Teig. To coś, co tkwiło pod jej skórą, zaczęło skomleć jak pies, który dopiero teraz pojął, że ujadanie na nic się nie zda.

Jeden po drugim rogaci skłaniali głowy. Wilki, te ścigające ich cienie, wśliznęły się z powrotem między drzewa. Teig rozglądał się zdezorientowany, dopóki nie ujrzał trzech rosomaków sunących po śniegu w ich stronę, a za nimi piżmowca, trzech ocieżytałych niedźwiedzi i dwóch wielkich reniferów, które nie opanowały jeszcze sztuki chodzenia na zadnich nogach, jak te rogate istoty.

Kiedy renifery się rozstały, Teig zobaczył stojącą za nimi postać, której się spodziewał. Oczywiście, że tak. *Parnee* podążał za nimi, kilometr za kilometrem, uparcie i cierpliwie. W mroku wydawał się stworzony z samej nocy. To, co go okrywało, wyglądało jak mech. Odsłonięta skóra przypominała w niektórych miejscach smaganą wiatrem korę, a w innych garbowaną skórę, ale większą część jego twarzy pokrywała warstwa miękkiego scypułu. Kiedy wdychał i wydychał powietrze, scypuł na ustach wydymał się jak pajęczyna na wietrze. Od chwili, kiedy zobaczyli go po raz pierwszy, znacznie się zmienił, urósł i nabrał bardziej zwierzęcych cech, jak gdyby im dalej szedł na południe, tym więcej wchłaniał dziczy. Wyrastające z czaszki poroże oraz guzki na czole i skroniach nie przypominały rogów tych wyprostowanych reniferów – poroże *parnee* było pożółkłe i spękane jak starożytna kość słoniowa. Było nowe, lecz wyglądało, jakby rosło od tak dawna, że bardziej przywodziło na myśl gałązki koralowca niż wyrostki kostne na głowie jelenia. A jednak *parnee* nosił ten misterny splot tak, jakby nic nie ważył.

Teig ledwie mógł oddychać. Minął czas na ucieczkę i krzyk. Najbliższe chwile były kwestią życia lub śmierci. Rzucił karabin na śnieg u swoich stóp.

– Weź mnie w zamian.

Za jego plecami Nari wyszeptala coś, co zabrzmiało jak modlitwa, a potem jego imię.

– Co ty wyprawiasz?

Teig nie spuszczał wzroku z *parnee*, który przekrzywił głowę. Warstewka scypułu na jego twarzy unosiła się wraz z oddechem. Na lewej skroni przebijał się guzek nowego rogu. Teig nie spodziewał się, że takie słowa wyjdą z jego ust, ale kiedy tak się stało, poczuł, że powiedział to, co należało.

Zawsze chciał wierzyć w duchy, pragnął dowodów. Spotkał tak wielu ludzi, którzy twierdzili, że dręczą ich zjawy, a jego dręczyło wyłącznie morderstwo Olivii. Wiedział, że jeśli teraz przeżyje, będzie go dręczyła także śmierć Prentissa. Jedną, a może jedyną rzeczą, która łączyła jego siostrę i przyjaciela, było to, że oboje mu zaufali, wierzyli, że ich ochroni, gdy będą go potrzebowali. Może nie był winien ich śmierci, ale myśl, że jest inaczej, prześladowała go, drażyła umysł.

„Prentiss”.

„Jezu Chryste, Jack, tak mi przykro. Osiem tysięcy dolarów. Twoje życie było warte o wiele więcej”.

Już nie spojrzysz na zwłoki przyjaciela. Obiecał to sobie.

– Nari – powiedział, nie odwracając spojrzenia od *parnee*. Nie odważył się zerwać kontaktu wzrokowego, bał się, że ta więź może być jedynym, co nie pozwala tym leśnym duchom pozabijać ich wszystkich. – Przetłumacz moje słowa. Musisz...

– Teig, co ty robisz?

– Po prostu tłumacz, do cholery – powtórzył, cedząc każdy wyraz, ale nie podnosząc głosu.

Tym razem Nari nie protestowała. *Parnee* przekrzywił głowę w drugą stronę. Powłoka scypułu na jego twarzy rozdarła się nieco bardziej i w otworze błysnęło czarne oko. Przybyłe zwierzęta przyglądały mu się z uwagą i ciekawością, ale istoty z rogami tupały kopytami i parskały, wydychając ciepłe oddechy w mroźne powietrze z coraz większą niecierpliwością.

– Coś jest w tej małej – powiedział Teig, podnosząc ręce i pokazując wnętrza urękawiczonych dłoni, jakby się poddawał. Zawahał się, ale kiedy Nari zaczęła tłumaczyć jego słowa na jakucki, ruszył do przodu. – Cokolwiek zrobiłeś ludziom w Akucku, było próbą schwytania lub powstrzymania tego czegoś w niej. Mam rację?

Nari wciąż jedną ręką trzymała Unę za włosy, a drugą ścisnęła jej ramię. Zastygła w śmiertelnym bezruchu dziewczynka uważnie patrzyła i słuchała, a wrogość w jej oczach była teraz tak wyraźna, że Teig był wściekły na siebie, że nie zauważył jej wcześniej.

Kiedy Nari skończyła tłumaczyć, oboje wpatrywali się w twarz *parnee*, obserwując, jak pokrywający jego oblicze scypuł faluje w rytm oddechów. Mijały sekundy i Teig już zaczął tracić ostatnią iskierkę nadziei, gdy *parnee* wolno skinął głową.

– Okej – powiedział Teig. – Okej, jasne. I rozumiem, że nie obchodzi cię życie moje, Nari ani nikogo innego, kto mógłby stanąć między tobą a... tym, na co polujesz. Ale nie mogę ci jej oddać.

Gdy Nari to przetłumaczyła, rogate istoty zaczęły tupać i parskać, a śnieg zachrząścił, kiedy ruszyły naprzód. Pod powłoką scypułu *parnee* wydawał się niemal rozbawiony.

Teig uniósł obie ręce.

– Proszę, posłuchaj. Cokolwiek w niej jest... nie było tam zawsze, prawda? Z tego, co rozumiem, przedwcześniej była zwykłą dziewczynką. Coś w nią wstąpiło. Opętało ją albo zainfekowało, jakoś tak. Może nie potrafisz tego z niej wyrwać. Może to musi mieć swoje siedlisko, żywiciela czy cokolwiek innego, ale chcę wiedzieć, czy możesz to przenieść. Wydobyć to z niej i włożyć we mnie.

Nari przetłumaczyła drżącym głosem, a Teig zastanawiał się, czy to drżenie jest skutkiem strachu, czy rozpacz. Tak czy inaczej powtórzyła wszystko, a *parnee* uważnie obserwował Teiga, mrużąc oczy. W jego wzroku widać było podejrzliwość i powątpiewanie, a po chwili być może i wyrok.

Mijały sekundy. Zwierzęta wydawały się niespokojne, ale jedno po drugim odwracały się, by spojrzeć na *parnee*, i zastygały w bezruchu. Rogate istoty też się zatrzymały, a wyczuwalne z ich strony zagrożenie jakby zmalało. Jeden z nich opadł z powrotem na czworaki i między kolejnymi uderzeniami serca przemienił się z leśnego boga w zwykłego renifera.

Parnee zrobił głęboki wdech i nagle jakby wyższy, wbił wzrok w trójkę pasażerów i ich beużyteczny samochód. Teigowi mocniej zabiło serce. Nie czuł już rąk ani nosa, choć były zakryte. Nawet gdyby przeżył następną minutę lub dwie, i tak musiałby dotrzeć do jakiegoś schronienia i ciepła. „Jeden cud naraz”, pomyślał. Zdumiony tym, że wciąż żyje, wpatrywał się w *parnee* i jego zwierzyniec.

Zimno wdzierало się coraz głębiej. Teig zacisnął szczęki. Adrenalina buzowała mu w żyłach, ratując go przed najgorszym, ale już bolały go kości, a mięśnie zaczęły się kurczyć.

– Teig – wyszeptała Nari ledwo słyszalnie, bo wiatr zagłuszał jej słowa. – Na pewno wiesz, co robisz?

Kiedyś wymamrotałby jakąś nonszalancką odpowiedź, ale tamten stary Teig był popsuty i beużyteczny. Dzisiejszy Teig nie miał łatwych odpowiedzi. Wiedział jedynie, że nie może dłużej nic nie robić, że nie może pozwolić, aby inni cierpieli tylko po to, by on mógł ocaleć. Przez całe życie kierował się filozofią opartą na radach, których stewardesy udzielają po starcie samolotu. W nagłej sytuacji najpierw założy własną maskę tlenową, bo jeśli nie uratujesz siebie, to nie będziesz miał szans uratować nikogo innego. Całymi latami Teig robił wszystko, co mógł, aby utrzymać się na powierzchni. Porzucał projekt za projektem, szukając takich, które mogły przynieść sukces i pieniądze, co pozwoliłoby mu zatrudnić swoich lojalnych przyjaciół, często w ramach rekompensaty za czasy, kiedy ich porzucił albo zawiódł.

Wmawiał sobie, że dopóki ma choćby jednego przyjaciela, który dostrzega jego prawdziwe intencje, który w niego wierzy i wie, że jest dobrym człowiekiem, wszystko będzie w porządku. Tym przyjacielem był Prentiss, a teraz nie żył.

Wbrew złożonej sobie obietnicy Teig zerknął w stronę leżących na śniegu powykręcanych zwłok. W ciemności krew wydawała się czarna. Zamiast przerażenia, którego Teig mógł się spodziewać na twarzy martwego przyjaciela, ujrzał na niej jedynie smutek.

– Pieprzyć to – powiedział cicho pod nosem.

Poderwał głowę i wbił wzrok w *parnee*, uniósł prawą rękę i wyciągnął przed siebie drżący, zmarznięty palec.

– Pierdol się! Co stoisz i czekasz, aż zamarzniemy na śmierć, sukinsynu? – Teig uderzył się w pierś obiema dłońmi w rękawicach. – Weź mnie! Jestem tutaj!

Rogate istoty parskały i tupwały. Jeden z niedźwiedzi przyczłapał bliżej, trzęsąc się z irytacji, a kilka jebanych arktycznych wiewiórek, czy cokolwiek to było, goniło się w kółko w jego gęstym futrze na grzbiecie.

Parnee zrobił krok w stronę Teiga. Podmuch oddechu sprawił, że warstewka scypułu na jego twarzy zafalowała nieco wyraźniej. Wilgotne, czarne i zbyt duże jak na tę twarz oczy przeszywały bez jednego mrugnięcia. Iskra gniewu wzniciła w Teigu odwagę, ale teraz, gdy stanął oko w oko z *parnee*, jej płomień przygasł.

– Proszę – wyszeptał Teig. – Ja tylko chcę kogoś uratować. Ta dziewczynka... ona się o to nie prosiła. Czy jest jakiś sposób...

Parnee wyciągnął ręce, chwycił za kurtkę Teiga i szarpnięciem przyciągnął go do siebie, aż zderzyli się czaszkami. Wypustki niewyrośniętego poroża rozcięły skórę na czole Teiga i mężczyzna upadł na śnieg. Ciemność wdarła się na skraj jego pola widzenia, wzrok mu się rozmył.

Parnee wydał gardłowy okrzyk w języku, który nie przypominał Teigowi ani jakuckiego, ani jakiegokolwiek innego. Rogate istoty rzuciły się w stronę unieruchomionego samochodu. Nari wrzasnęła, gdy jeden ze stworów chwycił ją za włosy i szarpał tak, jak ona szarpała Unę. Ale wrzask Nari był niczym

w porównaniu z przeraźliwym piskiem dziewczynki. Gdy jeden z rogatych położył na niej ręce, oczy jej się wyróciły, błysnęły białka, a mała wrzasnęła, jakby ją żywcem obdzierano ze skóry.

Teig spróbował się podnieść. Ukląkł na jedno kolano i spojrzał w górę, na wierzchołki drzew ku miejscu, gdzie wiatr

i niebo przesłaniał niewidzialny monolit, z którego zdawała się wyrastać część lasu. Czy *parnee* służył tej istocie, czy też ona służyła jemu? Teig nie był tego pewien, niemniej popatrzył w górę, kierując nieme błaganie w ten pusty skrawek nocnego nieba.

– Proszę – powiedział.

Dziewczynka nadal krzyczała i walczyła.

Jeden ze stworów zbliżył się do Teiga, splunął na niego i kopnął go w głowę. Kopyto zetknęło się z czaszką i wszystko poczerniało.

Teig nie uratował nikogo – nawet siebie.

Jego pierwsza myśl – choć mętna – jest taka, że ma pękniętą czaszkę. Ból promieniuje z policzka i skroni po lewej stronie głowy. Coś niesie Teiga, kołysząc nim w przód i w tył. Chce otworzyć oczy, ale czy to wskutek opuchlizny, czy zamrożenia, powieki odmawiają posłuszeństwa. Słyszy skrzypienie śniegu i stęknienie, coś unosi go nieco wyżej, jakby jego ciężar stał się uciążliwy, ale podpowiada mu to tylko umysł. Zdezorientowany – świadomość tli się w nim jak słabo migoczący płomień świecy – czuje, że się porusza, a wiatr wieje mu w twarz, ale zimno robi swoje.

Znowu otula go czerń, bezpieczna i kojąca. Wita go serdecznie i w tej rozkosznej chwili, kiedy Teig przechodzi ze stanu świadomości do miękkiej nicości, doznaje ulgi i pragnie tej czerni, tak jak człowiek udręczony bezsennością chwytą się nici obiecanego snu.

Sen.

Miękka nicość.

Wstrząs, który nie jest wstrząsem.

Teig budzi się, miotany jakimś atakiem. Jego szczęki zaciskają się z taką siłą, że czuje, jak pęknięcie czaszki jeszcze się powiększa. Krzyczałby, ale nie ma siły. Ciało rzuca się i szarpie w uścisku niosącej go istoty, aż w końcu wyrwa się, a następnie spada. Uderza w śnieg, ból przeszywa mu tors i szyję, ale nie dotyka dłoni, stóp ani ramion – ich nie czuje w ogóle. Oczywiście, że nie.

Leży ogarnięty strachem i otępiały, a z głębi umysłu docierają do niego fakty zgromadzone na potrzeby tej wyprawy. W chwilach paniki bądź rozpaczy zawsze polegał na faktach. To dlatego programy, które realizuje dla telewizji, zawsze są takimi dziwnymi częstkami rzeczywistości. Temperatura wnętrza ciała dorosłego człowieka może spaść do dwudziestu sześciu stopni, a nawet do dwudziestu pięciu, i człowiek ten jest w stanie przeżyć. Wystawione na taką pogodę ręce szybko drętwieją, gdy odpływa z nich krew, ponieważ ciało robi wszystko, co może, aby zachować życie kosztem kończyn. Tutaj, przy temperaturze odczuwalnej bliskiej pięćdziesięciu pięciu stopniom poniżej zera, jego ciało już zdecydowało, że mimo rękawic i butów w razie konieczności poświęci ręce i stopy.

I tak robi.

Teig rzuca się na śniegu. Uderza się w tył czaszki i słyszy trzask kości. Nie jest w stanie myśleć o niczym innym poza bólem i zimnem. Te ekstremalne dreszcze, cały ten atak, to dobry objaw. Oznacza, że temperatura wnętrza ciała spadła do około trzydziestu czterech stopni Celsjusza i daleko jeszcze do dwudziestu pięciu.

Jego ciało wciąż się trzęsie, ale jest coraz bliższe drzeniu.

Czyjeś ręce podnoszą go ze śniegu. Chce otworzyć oczy. Są tu inni. Kobieta. Dziewczynka. Prentiss.

Nie. Prentiss nie żyje.

Zalewa go świeża fala rozpaczy, ale przynajmniej ten ból jest ciepły.

Istota wtyka go sobie pod pachę niczym torbę z zakupami, a on poddaje się kołysaniu w tył i w przód, aż ponownie zapada się w miękkiej nicości czerni.

Pochłania go ocean. Przypląwy i odpływy. Unosi się na falach. Ból twarzy i czaszki wycofał się w głąb mózgu i przybladł, stępsiał. Ale nawet unosząc się w tej nicości, Teig czuje linię pęknięcia czaszki. Jak szew, który spaja kość. A zimno wbija szpony w jego krawędzie, próbując go rozewrzeć i ukołysać mózg lodowatymi palcami. I może nie będzie to takie złe. Jeśli te palce przebiją się przez pęknięcie w jego czaszce, chłód wśliznie się do mózgu i ból ustąpi. Jak w dłoniach i stopach. Jak w ramionach i nosie, który kiedyś z pewnością miał. Teraz już go nie czuje. Ani twarzy.

Jest dobrze.

Jest mu dobrze.

I nagle już wcale nie jest.

Kiedy spada po raz drugi, uderza w chodnik. Na szczęście ramieniem, nie głową, która odbija się od grubej wyściółki w postaci rękawa kurtki i mięśni prawej ręki, pozbawionej czucia. Ociera oczy lewą dłonią w rękawicy i choć ma wrażenie, jakby robił to kijem bejsbolowym, a nie własną ręką, udaje mu się zetrzeć wilgoć i zdrapać lód, a w końcu znów otworzyć oczy. Powietrze uchodzi z jego płuc. Chciałby odzyskać to

ciepło, tę odrobinę, która mu pozostała. W mgiełce utraconego oddechu tworzą się kryształki lodu.

Słysząc stukot kopyt na drodze. Teig widzi stojącego nad nim okrakiem rogatego stwora. Pewnie to ten, który go niósł, myśli. Trzepocze powiekami i miękka, czarna nicość znowu ma go pochłonąć, ale rogaty to zauważa, pochyla się i szturcha go w bok pękniętej czaszki. Teigowi wyrywa się krzyk.

I ten dźwięk własnego bólu przywraca mu jasność umysłu.

Rogaty chwytą go za kurtkę i podnosi, jakby nic nie ważył. Kolana uginają się pod Teigiem, osuwa się, ale bestia go podtrzymuje i stawia na ziemi, a potem potrząsa nim, aż w końcu mężczyzna zmusza się do stania o własnych siłach, na nogach, których nie czuje. Ostrożnie, żeby się nie przewrócić, spuszcza wzrok i patrzy na swoje buty, by przekonać mózg, że wciąż ma stopy na swoim miejscu.

Słyszy ciche łkanie.

Ktoś płacze.

Teig niemal zaczyna się śmiać. Jego mózg jest tak samo odrętwiały jak ręce i stopy, ale wie, że to nie pora na łzy. Płacz donikąd ich nie zaprowadzi.

A jednak w głębi swego jestestwa, tam, gdzie wycofały się jego świadomy umysł i krew ze wszystkich kończyn, czuje, że może płacz jest jedynym, co im pozostało. Czy rozpacz to nie normalna reakcja na poczucie beznadziei? Może tak właśnie jest.

Ale wtedy Teig widzi *parnee*.

Niosącego na rękach nieprzytomną Unę.

I myśli, że może jednak istnieje nadzieja.

Rozgląda się i ku swemu zdziwieniu rozpoznaje otoczenie. Wrócili do Akucka, do domu Uny. Nawet budynki wyglądają znajomo. Niedaleko dostrzega dom, w którym ich przewodnik Kaskił umieścił jego i Prentissa na mniej więcej godzinę, zanim świat wywrócił się do góry nogami. Z drugiej strony widzi garaż i miejsce na drodze, gdzie zginął Kaskił i gdzie po raz pierwszy przelano krew Prentissa.

Przez miasteczko idą zwierzęta. Dwa niedźwiedzie brunatne człapią między budynkami, kierując się na północ, do lasu na skraju tego maleńkiego skrawka cywilizacji. Przed nimi znajome cienie sadzą długie susy. Dalej kroczą renifery, mulaki i inne czworonogi – Teig zaczyna rozumieć, że ogląda migrację. Wszystkie te zwierzęta, a raczej duchy dziczy, którymi w istocie są, zmierzają do wspólnego celu, a Teig zastanawia się, co to za miejsce.

Od tyłu podchodzą do niego dwie rogate istoty.

Teig się odwraca i widzi źródło szlochów, które przed chwilą słyszał – to Nari, oczywiście. Tak ma na imię. Kobieta o czeremchowych włosach. Przypomina sobie, jak zauważył ją w barze, jak była uderzająco atrakcyjna. Obecnie jest jego towarzyszką, a połączyło ich coś, czego nigdy by sobie nie życzył. Razem uciekali, ratując życie, niewyobrażalnie przerażeni...

„A teraz razem zginieemy”, myśli.

Teig mruży oczy. Wzrok mu się zamazuje, ale widzi, że ona nadal płacze. To łatwo zrozumieć. Bardziej dezorientujący jest sposób, w jaki się porusza. Nari idzie między dwiema rogatymi istotami – każda trzyma ją za rękę, niczym opiekuńczy rodzice, którzy zabrali dziecko na spacer. Kobieta stąpa mozolnie, nie zdradzając śladu buntu. Lewy rękaw jej parki jest rozdarty i w słabym, żółtawym blasku gwiazd przebijającym się przez nisko zawieszane nocne chmury Teigowi wydaje się, że widzi plamę krwi i błysk kości, jakby Nari została ranna. Albo ugryziona i to naprawdę głęboko.

– Nari? – chrypi Teig.

Ona podnosi wzrok. Coś w jej oczach sprawia, że lodowaty chłód przenika go na wskroś. Są wielkie, czarne i błyszczące.

Wtedy *parnee* odzywa się w tym języku, który nie jest jakuckim. Rogaty stwór, który niósł Teiga, popycha go. Teig macha rękami i prawie upada na twarz, ale antypoślizgowe wypustki na butach pomagają mu utrzymać równowagę. Rusza naprzód.

Wszyscy idą w tę samą stronę co zwierzęta. Na północ od Akucka, do lasu, poza peryferie ludzkiego świata, w głąb białej ciszy. Do dziczy, gdzie nie docierają ludzkie głosy. *Parnee* niesie Unę. Dwóch rogatych prowadzi Nari. Trzeci kroczy za Teigiem jak strażnik więzienny.

Pusta osada zostaje w tyle.

Nari nie czuła się tak, jakby umierała. Dłonie i twarz miała zimne, a stopy obolałe, ale szli przez wiele godzin, zanim dotarli do Akucka, i powinna już wpaść w głęboką hipotermię. Śmierć powinna jej szeptać do ucha. Ramię bolało i czuła, że rana zamarza, a potem pęka pod wpływem ruchu i krew znowu płynie świeżym strumieniem.

Jej ciało nie zdrętwiało, ale serce... to inna historia. Tak jak umysł.

Wiele się nauczyła od *parnee* w ciągu kilku godzin, kiedy szła ręką w rękę z tymi niemożliwymi istotami. Od czasu do czasu Teig budził się z chrząknięciem, a potem znowu tracił przytomność; z omdlenia wyrwał go zwykle wrzask Uny.

„Nie Uny”, musiała sobie o tym przypominać za każdym razem.

To coś, co żyło w Unie, wrzeszczało i walczyło z *parnee*, a potem wracało do stanu katatonii, w którym albo coś knuło, albo odpoczywało. Zbierając siły do następnej próby.

Marsz rozmył noc i przepływające minuty w niewyraźną plamę – Nari wmawiała sobie, że może to jakiś przebłysk piekła albo koszmar, a może na chwilę zsunęła się maska rzeczywistości, ale w końcu wszystko się ułoży, ona zaś wróci do swego życia jak bohaterka bajki. Ale wtedy dotarli do Akucka, nadal pustego, nadal wybrzmiewającego echem krzyków sprzed wielu godzin i rykiem silnika uaza, kiedy stąd uciekli, pozostawiając za sobą zakrwawione zwłoki Kaskiła.

Podniosła wzrok i ujrzała górujący nad nimi kształt, przezroczystą obecność, która ich tu przywiodła. Nie weszła do miasteczka, lecz krążyła wokół niego, a drzewa rozstępowały się przed nią jakby z własnej woli, a może kołysane wiatrem. W Akucku nie było teraz życia, ale Nari wiedziała, że w domach znajdują się piekarniki, szafki, lodówki, sypialnie, telewizory i inne oznaki tej gorączkowej, nieobliczalnej rzeczy zwanej cywilizacją.

Wiedziała też, że widzi ją po raz ostatni.

I to właśnie sprawiło, że zaczęła płakać.

Nim natknęli się na pierwsze zamrożone zwłoki, jej łyzy zdążyły wyschnąć. Uszli zaledwie kilkaset metrów w głąb lasu. Na ziemi leżała gruba warstwa wieloletniego śniegu, w którą buty Nari zagłębiały się z chrzęstem najwyżej na pięć do ośmiu centymetrów. Były tam jednak także inne ślady, ludzkie i zwierzęce. Wiele odcisków kopyt sprawiało wrażenie nienaturalnie dużych, a obok nich ciągnęły się ślady bosych stóp. Kiedy ujrzała je po raz pierwszy, myśl o mężczyznach, kobietach i dzieciach z Akucka wchodzących boso w las na północy nappełniła ją posępnym przerażeniem.

Drzewa były pokryte śniegiem i lodem. Jodły zdawały się niemal srebrzyste. Nieco barw przydawały wyzierające spod szronu igły sosen i modrzewi. Nari szła naprzód, czasem trzymana za ręce przez idące po obu jej stronach renifery, a czasem ich trójka zmieniała szyk i szła gęsiego, jak dzieci na szkolnej wycieczce w lesie, gdy muszą przechodzić między drzewami. Przed nią trzeci stwór szturchał potykającego się Teiga, a całkiem na przedzie kroczył *parnee*, który niósł Unę, przyciskając ją mocno do klatki piersiowej, jakby była bombą zdolną zniszczyć ich wszystkich, gdyby tylko zrobił jeden fałszywy krok. Otaczające ich zwierzęta poruszały się cicho. Burunduki skakały z gałęzi na gałąź, a inne płątały się pod nogami. Nari naliczyła już co najmniej sześć rosomaków, ale one potrafiły się przemykać błyskawicznie i niepostrzeżenie. W przeszłości zdarzało jej się usłyszeć ich niski, gardłowy warkot, coś między pomrukiem niedźwiedzia a hieny, ale te akurat były ciche jak klęczący w kościele pokutnicy. Nieco dalej przed nimi kroczyły niedźwiedzie i renifery, z trzaskiem łamiąc gałązki i krusząc lód, ale poza tym nie wydając żadnych odgłosów.

Szły w nabożnym skupieniu.

I tylko Nari krzyknęła, kiedy natknęli się na martwego człowieka. Zwłoki oparte były o *kisilach*, jeden z kamiennych słupów powstałych ponad sto milionów lat temu w górach Jakucji. *Kisilach* nie przynależał do tego lasu, tak samo jak ten zamarznięty człowiek.

Zamarznięty człowiek.

Miał na sobie szlafrok, nic więcej. *Parnee* wezwał mieszkańców Akucka poprzedniego dnia, mając nadzieję, że zdoła powstrzymać to coś, co wniknęło w Unę, przed ucieczką w dalszy świat. Las więził tę istotę przez wiele tysięcy lat i zamierzał zrobić to samo przez kolejne tysiące.

Mieszkańcy Akucka opuścili swoje domy. W odpowiedzi na wezwanie *parnee* odeszli, nie zamykając za sobą drzwi, zostawiając kawę na stole i porzucając opalane drewnem piece. Ale nie zabrali ze sobą małej Uny, a może im uciekła. *Parnee* i reszta leśnych duchów nie dbały o życie jednostek, więc kiedy mieszkańcy Akucka znaleźli się w głębi lasu, poczuli się zdezorientowani i porzuceni. I szybko zamarzli.

Nari o tym wiedziała. Czowała to tak, jakby przy tym była, jakby to pamiętała – i to uczucie przyprawiało ją o mdłości.

Wyrwała dłonie z uścisku swojej eskorty, padła na kolana i zwymiotowała w śnieg. Parujące wymiociny stopiły lód, po czym niemal natychmiast zaczęły zamarzać.

Kiedy Nari się odwróciła, żeby się podnieść, ujrzała, jak obie rogate istoty stoją nad zamrożonym człowiekiem przy granitowym słupie. Na twarzy trupa zastygł wyraz smutku wywołanego świadomością uchodzącego życia. Jego skóra była sinobiała, a może to pokrywający ją szron nadawał taki odcień. Rogaci przekrzywiali głowy z boku na bok, przyglądając mu się z ciekawością, jakby go rozpoznali. *Parnee* warknęła na nich w swoim starym języku, a oni odwrócili się niechętnie, aby dołączyć do tej dziwacznej procesji przed nimi. Chcieli ująć Nari za ręce, ale zignorowała ich i przyspieszyła kroku. Ze spuszczoną głową i pękającą z bólu czaszką, obejmowana przez lodowate powietrze jak w powitalnym uścisku, podążała za *parnee* z własnej woli, choć szli teraz przez coś, co wydawało się lasem zamrożonych trupów. Dzieci przytulone do matek. Ojcowie kryjący twarze w dłoniach z bólu albo ze wstydu, że nie mogli nic zrobić, by uratować swoje rodziny. Niektórzy mieli puste oblicza, jakby zostali zahipnotyzowani jakimś zaklęciem, które wyczyściło im umysły, a Nari wiedziała, że to szczęściarze. Ci, którzy przebudzili się z tego zaklęcia i mieli świadomość nadchodzącej śmierci, czuli, jak chłód przenika do kości i zatrzymuje serce – twarze tych umarłych będą ją prześladować. Sinobiałe, obramowane szronem, piękne i groteskowe niczym pogrążone w żałobie cmentarne anioły.

A było ich tak wielu. Co najmniej kilkudziesięciu.

Brnęli tak przez długie minuty. Wkrótce Nari straciła poczucie czasu. Zlodowaciałe zwłoki pojawiały się coraz rzadziej, ale teraz wydawały się jakby starsze. Nawet ich ubrania wyglądały, jakby pochodziły z wcześniejszej epoki. Cichy głosik z tyłu głowy mówił jej, że to niemożliwe. Przecież latem by stopniały i się rozpadły. Na pewno nie zachowałyby się w takim stanie, stojąc, klęcząc albo pochylając się nad kamiennym słupem, niby oplakując żonę, dziecko lub ojca, odebranych im przez te północne lasy. A jednak wzrok jej nie mylił.

Idący przodem Teig nagle osunął się na ziemię, jakby ktoś go wyłączył. Nari zawołała jego imię i podbiegła do niego, ujęła go za ramię i obróciła. Żaden z rogatych stworów nie próbował jej powstrzymać. *Parnee* – na czele stada – nie zwolnił kroku ani nawet się nie odwrócił.

– Teig, obudź się. Proszę... to ja – powiedziała. Jej głos brzmiał inaczej, nawet w jej własnych uszach. Nawet gdy odbijał się echem w jej obolałej głowie. Brzmiał szorstko i gardłowo.

Potrząsnęła nim ponownie i tym razem Teig jęknął i kiwnął głową, otwierając oczy i podnosząc na nią wzrok.

– Nari? Nie czujesz... Nawet nie wyglądasz na zmarzniętą. Ani na zmęczoną.

Zesztywniała. Jak miała mu to wyjaśnić? Jak powiedzieć, że już nie czuje zimna, że zamiast wyczerpania doznaje siły, że rana po ugryzieniu, rozerwane mięśnie i odsłonięta kość zaczęły się już goić? Czy nie widział tego w jej oczach? Nie rozumiał?

– Wstań, Teig – powiedziała. W jej głos wkradły się złość i uraza. Wiedziała, że on to słyszy, że widzi to w jej twarzy. – Chciałeś tego. Powinieneś być przytomny.

Teig zmarszczył brwi, wyraźnie dotknięty i zdezorientowany.

– Ja nie... dlaczego ty...

– Powinieneś być ją oddać.

Ból w jego oczach mógłby wzbudzić w niej trochę współczucia, ale Nari nie miała go już dla nikogo. To, co zostało, zarezerwowała dla siebie.

– Teraz to bez różnicy – powiedział Teig. – I tak nas wszystkich zabijają

– Nie... nie zabijają – odparła Nari. Chwyciła go za ramiona, podniosła z zamrożonej ziemi, jakby był dzieckiem, i postawiła na nogach. – Dostaniesz to, o co prosiłeś. Oszczędzą ją dzięki tobie. Ale ty chyba będziesz żałował, że jej nie zostawiłeś i nie uciekłeś. – Nari zrobiło się niedobrze. Odwróciła się od niego i ruszyła przed siebie, chrząszcząc butami na śniegu. Butami, które już na nią nie pasowały, nie tak, jak powinny. – Ja na pewno tego żałuję – dodała. – Ale już minął czas życzeń i żalu.

Teig zawołał jej imię. Zapytał, co miała na myśli. Nari ignorowała go, dopóki nie zadał pytania, którego zignorować nie mogła.

– Skąd to wszystko wiesz? – wychrypiął płaczliwie.

Nari parsknęła śmiechem, głos zaczął ją zawodzić. Co mogła powiedzieć? I co by to zmieniło?

Za jej plecami rogaci podtrzymali Teiga. Udało mu się przejść o własnych siłach o wiele dalej, niż mogli się spodziewać, ale teraz potrzebował ich pomocy. W porządku. Instynkt podpowiadał Nari, że zostało im niewiele drogi. Wzniesienie było już niedaleko.

Spojrzała w górę, w prześwit między drzewami i zobaczyła piękne migotanie na niebie – kształt Bugady Musun. Dziadek Nari był Ewenkiem, nie Jakutem, i często o niej mówił. Nari wciąż pamiętała go jako ogorzałego, wysuszonego starca owiniętego futrem, palącego fajkę i wspominającego dzieciństwo; te zaczerwienione, lodowatoniebieskie oczy wpatrzone gdzieś w głąb, jakby oglądał wyświetlającą się przed nim przeszłość. Opowiadał, że mając dziewięć albo dziesięć lat, polował ze swoim dziadkiem w północnych lasach, wiele kilometrów od najbliższego domostwa. Widzieli tam renifery chodzące na dwóch nogach, ale nie tylko to... Trafili na polanę, na której zebrało się kilka z nich – niektóre chodziły na czterech kopytach, inne na dwóch, a wszystkie z wyciągniętymi do góry szyjami. Na chwilę powietrze zamigotało i chłopiec zobaczył kobietę-renifera, której poroże sięgało nieba, a okrywająca ją skóra miała ten sam odcień co ogorzała twarz jego dziadka.

Kobieta-łania spuściła na nich wzrok. Dziadek Nari opowiadał później, że wśród wypustek jej poroża rosły drzewa i że z gałęzi jednego z nich spadło ptasie gniazdo, kiedy Bugady Musun skłoniła głowę, by na nich spojrzeć. Nawet gdy Nari była dość mała, aby uwierzyć w tę historię, i tak wiedziała, że dziadek ubarwił ten fragment o ptasim gnieździe.

Potem Bugady Musun znikła, przynajmniej przed oczu obu myśliwych, młodego i starego.

Nie odeszła, jak skwapliwie podkreślał dziadek. Po prostu stała się niewidzialna.

Bogini ta była patronką zwierząt, opiekunką wszystkich dzikich stworzeń północnych lasów. Na jej cześć dziadek Nari i jego dziadek odłożyli tego dnia strzelby i nie polowali, nawet na ptaki. Poszli spać głodni, lecz dostąpili zaszczytu oglądania Bugady Musun i nie chcieli jej obrazić.

Następnego dnia polowanie okazało się obfite jak nigdy wcześniej i obaj wierzyli, że był to dar Bugady Musun. Bogini rozumiała honor, głód i obowiązek.

Nari wpatrywała się w migoczące powietrze między drzewami i odniosła wrażenie, że kilka z nich unosi się wysoko nad ziemią. Wiedziała, że jest z nią bogini. Nie powstrzymało to bólu czaszki, z której zaczęły wyrastać wypustki poroża, ani ostrego ukłucia, kiedy oczniak przebił się przez skórę. Nie powstrzymało też serca, które przyspieszyło ze strachu, gdy zaczął się tworzyć scypuł. W oczach wezbrały jej świeże łzy, ale jeszcze raz spojrzała ku niebu. Pokrywa drzew zgęstniała, więc wzrok nie sięgał zbyt wysoko, ale ziemia lekko drżała i było słychać, jak drzewa odsuwają się na boki, gdy przechodziła bogini. Przynajmniej Nari nie była sama.

Teig nie miał tyle szczęścia. Biedny drań.

Nie, Teig został sam jak palec.

Mijając każde kolejne zamrożone zwłoki, Teig zastanawiał się, jakim cudem on sam ciągle żyje. Zupełnie stracił czucie w kończynach, ręce zwisały mu bezwładnie po bokach, a jednak wciąż jeszcze powłóczył nogami. Balaklawy zakrywała mu większość twarzy, ale wiedział, że to bez znaczenia. Odsłonięte fragmenty ciała dawno powinien mieć odmrożone, a tkanina balaklawy nie mogła go chronić przez cały ten czas. Może sprawiła to obecność *parnee*. Może zrobił coś, co utrzymuje go przy życiu i każe mu iść dalej. A może chodziło o widok martwych mieszkańców Akucka, zamrożonych tak błyskawicznie, że ich zwłoki przypominały lodowe rzeźby. Gdyby pozwolił nogom przestać się poruszać, wiedział, co go czeka.

Marsz utrzymywał go przy życiu.

Chciałby, żeby było inaczej, ale tak jak powiedziała Nari, czas życzeń minął. Odkąd usłyszał te słowa, minęło ledwie kilka minut, a teraz podniósł wzrok i ujrzał kolejne granitowe słupy. Te jednak były inne. *Kisilach* to naturalna formacja skalna, ale te tutaj tworzyły okrąg. Było ich dziewięć i wyrastały w równych odstępach na skraju polany. Ten widok nim wstrząsnął. To nie było Stonehenge, które składało się z kamieni ustawionych rękami starożytnych. Ta polana powstała naturalnie. Na niewielkiej przestrzeni chaotyczna dzicz stworzyła skromny płacheć porządku. Pośrodku polany, między granitowymi słupami, wznosił się nierówny pagórek. Wiatr zmiótł z niego większość śniegu, odsłaniając twardą warstwę wiecznej zmarzliny i wystające łyse skały.

U podstawy pagórka znajdowały się różne zwierzęta, nie te, które ich eksortowały, ale inne, najwyraźniej czekające na ich przybycie. Były tam wilki, gorale długoogonowe, coś, co mogło być lampartem amurskim, i jeszcze parę biegających stworzeń, które wyglądały jak skrzyżowanie lisa i bardzo zdezorientowanego szopa pracza.

„Jenoty azjatyckie”, pomyślał Teig. Nigdy wcześniej ich nie widział, a teraz patrzył, jak gonią się nawzajem z figlarnym entuzjazmem.

Chyba się uśmiechał, ale twarz miał zbyt odrętwiałą, żeby to poczuć. Padł na kolana i oparł się na dłoniach. Nie umknęło jego uwagi, że znalazł się na czworakach, jak reszta zwierząt.

Na polanie były też renifery. Czekwały tak samo jak pozostałe stworzenia. Teig przyjrzał się im, szukając oznak, że mogą się wyprostować i stanąć na tylnych nogach jak tamte rogate istoty, które właśnie weszły za nim na polanę, ale te tutaj wyglądały na zwykłe czworonogi, jeśli nie zwracać uwagi na to, jak go obserwowały, z wyraźną podejrzliwością w oczach. Nieufnie, jakby nie wierzyły, że dotrzyma słowa.

Teig ujrzał lodowatą mgiełkę własnego oddechu. Wydawała się coraz mniejsza, jak gdyby nawet tlen w płucach zaczął mu zamarzać.

Parnee chrząknął. Tupiąc butami, jakby to były kopyta, przeniósł nieruchomą Unę przez kamienny krąg na polanę i zaczął się wspinać na trzymetrowy pagórek. Wówczas zwierzęta się rozproszyły, czmychając ze wzniesienia i z polany, poza obręb kręgu z kamieni. Zerwał się świeży powiew wiatru. Pewnie tak zimny, że mógłby zabić, ale Teig poczuł tylko siłę jego naporu, która nieomal go przewróciła. I może do tego by doszło, gdyby stał na dwóch nogach, a nie na czworakach. Wiatr przyniósł dźwięk przypominający wycie wilków, lecz tak cichy jak szept i kiedy Teig podniósł wzrok, zobaczył, że te cienie, które ścigały ich niezmordowanie, w końcu dołączyły do reszty menażerii *parnee*. Jeden po drugim przemieniały się w wilki i gdyby nie błysk dumy i inteligencji w ich ślepiach, Teig nie zauważyłby różnicy między nimi a zwykłymi wilkami.

Parnee stanął na szczycie pagórka. Tuląc Unę jedną ręką, skinieniem drugiej przywołał Teiga.

Rozległo się skrzywienie śniegu, czyjeś dłonie chwyciły za lewe ramię mężczyzny i pomogły mu wstać.

– Podejdź do niego. O to prosileś.

Głos brzmiał ochryple. Niczym chrząknięcie. Zęby stukały tak, jakby usta mówiącej osoby nie nawykły do formułowania słów. Teig zerknął w lewo i zaraz tego pożałował. Nawet mimo scypułu częściowo przesłaniającego jej rysy i wypustek poroża, które zaczęły wyrastać z czoła, wciąż dostrzegał w tej twarzy Nari.

Chciałby ją stąd zabrać i uciec, lecz dla niej było już za późno. Dla nich obojga.

Ale dla Uny...

Może dla niej istniała jeszcze szansa.

Brnąc w śniegu, dotarł do wzniesienia i ruszył pod górę. Zdążył zrobić ledwie dwa kroki, kiedy Una zaczęła krzyczeć i miotać się tak gwałtownie, że *parnee* musiał użyć obu rąk, aby ją obezwładnić.

„To nie ona – pomyślał Teig. – To jest to coś, co się w niej ukrywa, co próbowało uciec”.

I wtedy gorzka żółć podeszła mu do gardła, bo przecież się zgodził, aby ten miotający się, drapiący ciało *parnee* i zdzierający gardło Uny stwór wstąpił w niego. Żeby uwolnić dziewczynkę, sam stanie się naczyniem dla tej starożytnej istoty.

Zawahał się.

Wszystkie zwierzęta zamarły, przerażone tym, co miało się stać.

Teig cofał lewą nogę, szukając oparcia dla buta. Wiedział, że tu umrze. Nawet jeśli *parnee* go nie zabije, jeśli rogaci nie rozszarpią go na strzępy ani nie rzucą wilkom na pożarcie, to zamarznie na śmierć. Ale spojrzawszy na szczyt wzniesienia, na tę plującą, warczącą dziewczynkę, i nie chciał, żeby to coś, co skaziło jej duszę, skaziło też jego. Może i musiał umrzeć, ale to nie powinno się stać w taki sposób.

Parnee warknął na niego w tym starożytnym, gardłowym języku, który wydawał się ni to ludzki, ni to zwierzęcy. Teig pokręcił głową. Nie rozumiał słów, ale mógł się domyślić ich znaczenia. Zawarli układ, on i *parnee*, a jeśli Teig nie dotrzyma swojej części, ta mała umrze. Straciła rodzinę, rodziców, przyjaciół, całe miasteczko. Nikt nie przybędzie jej z pomocą –

nikt żywy nie wiedział o jej istnieniu, nikogo nie obchodziła, poza Teigiem. Bez niego umrze. Nie był winien tego, co się stało z jego siostrą, choć przez te wszystkie lata dławiło go poczucie winy. Nie zdołał ocalić Olivii, ale tę dziewczynkę... ją mógł uratować.

I miałby się wycofać?

Zimno głębiej wbiło swe szpony. Teig poczuł ból w piersi. Myśli zwolniły. Zamrugnął. Czy ma tu zamarznąć, o kilka kroków od szczytu pagórka, zastygnąć jak lodowa rzeźba, przedstawiająca śmierć przez niezdecydowanie? Kiedy znów się poruszył, ręce i nogi miał jak powietrze, jakby stały się duchami kończyn. Oczy go piekły, czuł kryształki lodu na siatkówce, ale wzrok informował go, że się porusza. Zrobił krok pod górę, pochylając się do przodu, żeby się nie przewrócić i nie stoczyć.

Gdy tylko znów się poruszył, to coś w Unie zaczęło piszczeć i wrywać się *parnee*, jakby chciało uciec przed Teigiem. Una wiedziała, że się zbliża. To coś wiedziało.

Z jej otwartych ust wydobywał się mrok. Zacieniał jej twarz niczym maska, a Teig miał ochotę krzyczeć. Wrzeszczeć głośniejsze niż ten pasożyt w dziewczynce. Spojrzawszy w tę ciemność i zobaczywszy jej oczy – szaleństwo i złośliwość niepodobne do niczego, z czym kiedykolwiek miał do czynienia. Znał ludzi, którzy byli podli i lubowali się w okrucieństwie, ale nigdy wcześniej nie doświadczył prawdziwej złej woli. Te oczy były jak rany wyklute w materii świata i krwawiące trucizną niefiltrowaną przez ludzkość, żądną strachu i bólu, jakie mogła zadawać. Zła wola w czystej postaci. Nigdy nie rozumiał, skąd wywodzi się słowo „zło”, ale teraz to sobie uświadomił.

Pośliznął się i uderzył lewym kolaniem o wystający kamień, ale nie poczuł nic poza siłą pędu. Rozłożył ręce i podtrzymał się. Pagórek nie był aż taki stromy, żeby musiał wdrapywać się nań w ten sposób, ale nie miał dość siły ani równowagi, by iść inaczej. Dalej wspinał się na czworakach.

Czołgałby się w razie potrzeby.

Był wdzięczny, że nie musi znów patrzeć w te oczy. Na razie.

Ta trucizna, ta kotłująca się w Unie zła wola... Teig czuł, że wpuścić coś takiego do własnego wnętrza to jak prosić się o raka. A nawet gorzej. Ale zamknął oczy i wspinając się dalej, przywoływał wspomnienia o siostrze, chwile, kiedy ją podnosił i obracał, bawił się z nią na zjeżdżalni, robił mały wir w basenie. Chwile, w których doprowadzał ją niemal do wybuchów radości. Chwile, w których wiedziała, że brat ją kocha.

Teig wspinał się coraz wyżej.

Przez całe życie miał emocjonalne długi wobec przyjaciół i rodziny, długi, które zawsze zamierzał spłacić, co jednak nigdy mu się nie udało. I mimo wszystko on i *parnee* zawarli umowę. Teig złożył obietnicę i nie planował jej złamania.

Na szczycie wzniesienia jakoś udało mu się wstać.

Mrok we wnętrzu Uny wpatrywał się w niego z nienawiścią tak czystą, że niemal przypominała miłość.

Parnee skinął głową, po czym odrzucił ją do tyłu i zawył w nocne niebo. Wokół podstawy pagórka, na obrzeżach tego kamiennego kręgu, wilki, które nie były wilkami, zawtórowały mu, wznosząc pyski ku

spowitemu w szary całun księżycowi, a rogate istoty opadły na czworaki i znów były zwykłymi reniferami.

Ziemia zadrżała.

Zakołysały się drzewa za kamiennym kręgiem. Niektóre z nich, na północy, rozstały się i na tle nieba Teig ujrzał znajomy kształt migoczącego powietrza, który świadczył o tym, że wysoka obserwatorka wróciła, a może była tam z nimi przez cały czas. Widział drzewa w powietrzu, gdzie nie powinno ich być.

Teig zachwiał się i prawie upadł. Przymknął oczy, na chwilę jego myśli zasnęła mgła, ale otrząsnął się i odzyskał przytomność umysłu. Nie chciał jeszcze umierać. Tym razem nie chciał zawieść.

Kiedy znów podniósł wzrok, na jeden moment ujrzał prawdziwą twarz górującą nad nimi wszystkimi postaciami. To był dar: ta kobieta-renifer, wysoka na piętnaście metrów, o porożu sięgającym chmur, odsłoniła przed nim swoje oblicze.

A potem zniknęła.

Parnee wykrzykiwał modlitwę, wznosząc nad głowę szarpiącą się Unę, jakby składał ją w ofierze tej, która ich wszystkich obserwowała. Recytując śpiewnie w swej starożytnej mowie, języku lasu, położył Unę na ziemi.

Kiedy to zrobił, zaczął się rozmywać. Nie składał się już z ciała i kości, był duchem, zjawą w kształcie szamana, który stał tam za ledwie przed chwilą. Dłonie *parnee* nacisnęły ciało Uny, wniknęły w nie, a wówczas krzyk, który wyrwał się z ust dziewczynki, zabrzmiał tak, jakby pochodził od prawdziwej Uny. Z jakiegoś powodu to jeszcze pogorszyło sytuację.

Parnee wyrwał z niej ten skrzeczący, wijący się mrok, który niczym wąż owinał się wokół jego półprzezroczystych ramion, plując i szczerząc kły czarne jak smoła. Szaman odwrócił się do Teiga i wyciągnął przed siebie tę wrzeszczącą ciemność, która skierowała ku niemu nienawistny wzrok.

Teig widział, jak zbliża się do niego, i nie mógł się powstrzymać od krzyku. Cała jego determinacja uleciała. Jak mógł się do tego zmusić? Boże, nie. Nie, nie. Nic nie było tego warte. A jednak stało się.

Nagle kątem oka dostrzegł jakiś ruch, spuścił wzrok, spojrzał za *parnee* i ten mrok, na Unę – prawdziwą Unę – leżącą na skalistym, zamrożonym pagórku, zwiniętą w pozycji embrionalnej. Przez chwilę zdawało mu się, że obok niej siedzi druga dziewczynka i jedną ręką gładzi Unę po głowie, szeptem podnosząc ją na duchu. Widmowe usta wypowiadały bezgłośnie trzy słowa. „Wszystko będzie dobrze”.

Składała tę obietnicę Unie czy Teigowi?

Nie wiedział.

Teig wyciągnął rękę w stronę mroku.

Nari patrzyła, jak *parnee* chwytą Teiga, a istota w jego wnętrzu miota się i pluje. Renifery znów stanęły na dwóch nogach i popędziły na szczyt pagórka. Zaczęły bić i kopać Teiga, aż upadł, zalany krwią, i zastygł w bezruchu.

Ziemia zatrzęsała się od kroków Bugady Musun, która odwróciła się i ruszyła na północ, gdzie las jest tak dziki, a zima tak sroga, że żaden człowiek nigdy nie odnalazłby prowadzących tam śladów.

Rogate istoty podążały za nią, ciągnąc za sobą Felixa Teiglanda, ale Teiga już tam nie było. A jeśli był, to stał się tylko klatką, więzieniem dla czegoś, co nigdy nie powinno było uciec. Czegoś, co już nigdy nie zostanie wypuszczone z mrocznych ostępów.

Polana opustoszała w niespełna minutę. *Parnee* poszedł za rogatymi, a zwierzęta za nim i teraz jedynymi żywymi istotami pozostałymi w kręgu kamiennych słupów były Nari i dziewczynka.

Nari weszła na pagórek. Gdy znalazła się na jego szczycie, Una zaczęła się budzić. Usiadła, pocierając oczy i drżąc z zimna, odzyskawszy świadomość chyba pierwszy raz od chwili, kiedy mrok wniknął w jej ciało i próbował je wykorzystać, aby uciec tym, którzy go więzili.

Una usłyszała oddech Nari i chrząst źle dopasowanych butów na powierzchni wiecznej zmarzliny. Odwróciła się w momencie, gdy Nari wyciągała ku niej ręce. Una cofnęła się na jej widok z grymasem przerażenia na twarzy, a Nari nie mogła jej za to winić.

Dziewczynka nie przestawała krzyczeć, kiedy Nari zwlekała ją z pagórka i niosła do lasu. Jej wrzaski odbijały się za nimi echem, choć wiatr porywał je i rozpraszał, a potem – wreszcie – las ucichł.

Tylko drzewa szeptały między sobą.

Mrok zniknął.

Tuskulaana za dużo paliła. Ten nałóg pozbawił ją wężu, przynajmniej jeśli chodziło o smród jej papierosów. Kiedy jeszcze miała męża, dbała o takie rzeczy, ale on dawno temu zostawił ją samą z tą małą stacją benzynową i sklepikiem. To miejsce wymagało sporego nakładu pracy, ale ona była stara i niezbyt zależało jej na świeżej warstwie farby na ścianach albo ładniejszych półkach. Tuskulaana wiedziała, że w swoim braku zainteresowania nie jest odosobniona. Klienci, którzy zaglądali do jej sklepiku, potrzebowali paliwa, przekąsek albo nowych wycieraczek i nie oczekiwali zbyt wiele po stacyjce w jednym z najsamotniejszych zakątków świata. Może i podłogi lepiły się od brudu, ale kogo to obchodziło? Ani klientów, ani jej suki Saszy, a już na pewno nie jej samej. Jediną osobą, która kiedykolwiek besztowała ją z tego powodu, był jej wnuk. Kaskił chciał dla niej czegoś lepszego, chciał, żeby miała coś, z czego mogłaby być dumna. Tuskulaana powtarzała mu ze sto razy, że jest z niego dumna i to jej wystarczy. Kochała tego chłopca, nawet jeśli nie był już chłopcem.

Natomiast jej domek... to było co innego. Co dwa lata odmalowywała wszystkie cztery pokoje, każdy na inny, jasny, wesoły kolor. Dbała o porządek i czystość, hodowała zioła w małych doniczkach na półkach kuchennych, a kiedy nie było aż tak zimno, żeby mogła zamarznąć, wychodziła na papierosa przed dom. Nawet jej suka sprzątała po sobie.

Ścieżka za sklepikiem prowadziła do domu. Jeden z klientów zajmował się niewielkim parkingiem przed sklepem, a zimą dbał o to, żeby ścieżka do domu była odśnieżona. Był to mechanik, który pracował przy ciężarówkach. Miał szerokie bary, życzliwe oczy i gęste, krzaczaste brwi. Dużo się śmiał, a mówił głosem ochrypłym od papierosów, które palił od ładnych kilkadziesiąt lat. Często palili razem. Przy ładnej pogodzie spotykali się przed sklepem na dymka i ploty. Sasza go lubiła, a on bez narzekań godzinami drapał ją za uchem. Ale facet miał tylko czterdzieści siedem lat, a Tuskulaana skończyła siedemdziesiąt dziewięć, więc chociaż czasem zdawało jej się, że widzi jakiś szczególny błysk w jego oku, gdy ją rozśmieszał, nigdy niczego się w tym nie dopatrywała. Ot, fantazja starej kobiety lubiącej własne towarzystwo i mającej gdzieś, co inni myślą o niej i jej życiu.

Mimo to przyjemnie byłoby mieć mężczyznę w łóżku.

Nie żeby jakiegoś potrzebowała. Oni zawsze przynoszą kłopoty. Nie, chodziło o to, że nie mogła spać. Tuskulaana walczyła z bezsennością od trzydziestu lat, może nawet dłużej, i od samego początku przegrywała. Zasypiała normalnie, spała przez kilka godzin, a potem budziła się w cichej ciemności, niezdolna do ponownego zaśnięcia. O trzeciej lub czwartej nad ranem poddawała się i wstawała z łóżka, uważając, by nie obudzić Saszy, która pochrapywała gardłowo w swoim pluszowym, puszystym psim legowisku.

Piła herbatę i paliła papierosy aż do śniadania, a czasem herbata i papierosy były jej jedynym śniadaniem. Następnie otwierała sklepik i stację benzynową i czekała, czy ktoś się pojawi.

Niekiedy przez parę dni nie widywała nikogo. Pewnego razu, gdy zepsuł się dostawczak, który przyjeżdżał z zaopatrzeniem do sklepu, spędziła dziewięć dni, nie rozmawiając z drugim człowiekiem. Często powtarzała sobie – i ludziom, jeśli ją o to pytali – że rozkoszuje się tymi dłuższymi chwilami, że ona i Sasza nigdy nie czują się samotne, nie w otoczeniu natury i duchów na drodze.

Jednak w takich momentach jak ten, o piątej nad ranem, kiedy do wschodu słońca zostało jeszcze parę godzin, a Tuskulaana paliła ostatniego papierosa, musiała wyznać sobie prawdę.

Choć może jeszcze nie teraz.

Dopóki nie wypali tej ostatniej fajki i nie będzie musiała pójść do sklepiku po następny karton.

Nie, jeszcze nie.

Sączyła herbatę. Lubiała dodać do niej trochę cukru. A czasem dużo. Starość miała swoje przywileje. Pomyślała o powieści Wiktora Pielewina, którą czytała, ale nie mogła się zmusić, żeby po nią iść.

W małym domku było cicho, jeśli nie liczyć postukiwania drżących od wiatru okien i skrzypienia przesuwających się na mrozie belek.

Kubek właśnie dotknął ust, kiedy zaczęło się walenie. Jakimś cudem Tuskulaana nie rozlała herbaty. Upiła łyk, rozkoszując się słodyczą – znowu przesłodziła – po czym odstawiła kubek i odwróciła się, by spojrzeć na drzwi. Walenie przeszło w łomot. Zupełnie jakby ktoś uderzał kamieniem. Sasza uniosła zaspany

łeb w swoim legowisku i wydała z siebie zmęczony, półprzytomny warkot.

Tuskulaana powinna być przerażona. Ten nagły hałas na kilka godzin przed wschodem słońca powinien był śmiertelnie ją wystraszyć. A jednak poczuła jedynie okropny, powoli rozlewający się w jej wnętrzu smutek. Tylko tragedie dobiwały się tak natarczywie tuż przed świtem.

Sasza wstała, szczerknęła dwa razy i podreptała do drzwi. Patrzyła podejrzliwie, przekrzywiając głowę i słuchając łomotania, po czym opuściła pysk, żeby obwąchać dobrze uszczelniony próg. Jeszcze raz szczerknęła, ale teraz inaczej, a potem zaczęła cofać się od drzwi.

Gdy Tuskulaana podniosła się z krzesła, ktoś załomotał z taką siłą, że drzwi pękły, i tego już było dla niej za wiele. Krzyknęła na tego, kto ośmielił się zakłócić jej bezsenność, przerwał chwilę samotności przy herbacie i przestraszył psa. Tuskulaana ruszyła z impetem do drzwi – o tyle, o ile ruchy kobiety w jej wieku i jej postury mają jakikolwiek impet. Schowana za krzesłem Tuskulaany Sasza zaczęła skomleć.

Gość za drzwiami musiał usłyszeć jej okrzyk, bo łomotanie ustało.

Tuskulaana zakłęła, że zmuszono ją do podejścia do drzwi, bez włożenia kurtki ani okrycia się kocem, gdy na dworze było tak nieznośnie zimno. Straszliwie zimno. Niemniej przekręciła klucz w zamku i otworzyła drzwi, by ujrzeć czekającą tuż za progiem dziewczynkę. Mała – na wpół zamarznięta, z oszronionymi włosami i rzęsami – drżała i wpatrywała się w nią wzrokiem jednocześnie błagalnym i przerażonym.

To ona łomotała w drzwi? Ta dziewczynka o małych dłoniach, z zamarzniętymi na policzkach łzami, z butem na jednej nodze i tylko grubą, wełnianą skarpetą na drugiej?

Nie.

Tuskulaana dostrzegła ślady kopyt prowadzących do drzwi i z powrotem. Wychyliła się, spojrzała w ciemność i zobaczyła kobietę-renifera znikającą wśród drzew obok domku i kierującą się na północ.

– Wejdz, biedulko – powiedziała. – Wejdz i ogrzej się. Mam herbatę i cukier.

Wprowadziła dziewczynkę do środka i zamknęła drzwi, a Sasza przyglądała się małej nieufnie, wciąż kryjąc się za krzesłem. Dziewczynka milczała, ale łapczywie wypila herbatę i wyciągnęła kubek po więcej. Błagalnym wzrokiem prosiła nie o jedzenie, lecz o pocieszenie. O coś, dzięki czemu mogłaby się poczuć mniej zagubiona.

I w tym momencie Tuskulaana dostrzegła podobieństwo. Ta dziewczynka wcale się nie zgubiła ani nie była obca. Minął prawie rok, odkąd Tuskulaana widziała swoją prawnuczkę, ale teraz, gdy ujrzała ją w świetle i z odgarniętymi z buzi włosami, dostrzegła prawdę.

– Ariuna? – spytała.

Na dźwięk swego imienia, w końcu rozpoznana, dziewczynka wybuchnęła płaczem.

Zdawszy sobie sprawę, co musi oznaczać jej obecność, Tuskulaana również załkała.

Ale przynajmniej żadna z nich nie płakała samotnie.

Na początku Nari sądziła, że stała się potworem. Już raz widziała, jak przytrafiło się to kobiecie, którą uważała za jedną ze swoich najlepszych przyjaciółek, a teraz pomyślała, że te rogate istoty mogły być kiedyś mieszkańcami Akucka i innych osad – ludźmi, którzy zostali namaszczeni przez boginię, by stać się jej oczami i uszami na świecie. Nari zastanawiała się, ilu ich było, we wszystkich mroźnych lasach, w miejscach, gdzie ludzki świat czasem wdzierał się w dzicz i gdzie ta dzicz czasem odpierała atak.

Biegła teraz przez chłód i ciemność, śmigając między drzewami, torując sobie własną ścieżkę. Być może zima była tu mroźna, ale dla nowej Nari, otoczonej lasem i skrzypiącym śniegiem, prawdziwą chwałą natury, liczyła się tylko ta nowa wolność. Całe życie zależało od ochrony pozostałej dziczy przed zalewem ludzkości, istniały jednak rzeczy groźniejsze niż człowiek. Czasami duchy lasu musiały chronić ludzi przed znacznie starszym złem i w ten sposób utrzymywać równowagę na świecie.

Biegnąc i przebijając kopytami zamarznięty śnieg, Nari poczuła wielki cel. Zawsze uciekała przed zobowiązaniami, szukając wolności, a jednak w końcu znalazła ją w zobowiązaniu większym, niż mogła to sobie wyobrazić.

Wolna, pełna determinacji, wyskoczyła spomiędzy drzew i pognęła przez otwartą przestrzeń dzielącą las od Drogi Kości. Słońce jeszcze nie wypetziło nad linię horyzontu, ale w tej części świata ranek nadchodził na długo przed ustąpieniem nocy. Ludzie wstawali i jechali do pracy, a myśliwi wychodzili na łowy, choć o tej porze roku nawet w najruchliwszych godzinach było na drodze niewiele samochodów.

Niebo się przejaśniło, a gwiazdy błyszczały na tle bezkresnego kobierca w kolorze indygo.

Postanowiła, że będzie biegać do świtu.

W sercu czuła radość, kiedy gnała przez pokrytą śniegiem wieczną zmarzlinę, zmierzając na północ. Po lewej stronie dostrzegła jakiś ruch na drodze. Samotną postać, kobietę.

Nari ją znała. Zwolniła i przechyliła głowę na bok, a od ciężkiego poroża napięły jej się mięśnie szyi. Wpatrując się w kobietę, postąpiła kilka kroków bliżej. Podkraśla się ostrożnie, głośno chrzęszcząc kopytami po lodzie, i przyjrzała się jej uważnie. Pamięć miała teraz inną, dziwną, zmysłową, bardziej dostrojona do węchu niż wzroku, a umysł zaczął tracić zdolność do przywoływania nazw rzeczy i ludzkich imion, ale po kilku sekundach zdołała wydobyć je z głowy.

Ludmiła.

Ogarnięci przerażeniem i desperacją, zostawili tę umierającą kobietę na drodze. Nie mogli jej uratować, ale na wspomnienie jej porzucenia Nari gnębiło poczucie winy. Teraz, gdy podeszła kilka kroków bliżej i wspięła się na przydrożną zaspę, zdała sobie sprawę, że widzi przez tę staruszkę na wyłot.

Zjawa szła wzdłuż drogi, śpiewając cichym, ochrypłym głosem i potrząsając pękiem dzwoneczków. Zatrzymała się, wypowiedziała kilka zdań modlitwy, przeżegnała się wolną ręką i ruszyła dalej. Martwa kobieta błogosławiła tych, którzy umarli wiele lat przed nią.

Nari zrobiła kolejny krok w zaspie. Jedno kopyto zachrząściło na śniegu, a ona parsknęła głośno, potrząsnęła głową i cofnęła się. Podniosła głowę i zobaczyła, że zjawa zatrzymała się, by na nią spojrzeć.

Ludmiła uśmiechnęła się życzliwie, uniosła drżącą, widmową rękę i pomachała do niej. Nari skłoniła głowę. Znowu parsknęła, odwróciła się i pognała w stronę drzew, gdzie czekał jej nowy cel.

Za nią duch starej kobiety podjął cichy śpiew, kontynuując realizację własnego celu.

Nari zastanawiała się, czy nowe życie Ludmiły było darem, czy przekleństwem. Czy była teraz wolna i mogła spełniać pragnienie swego serca, czy raczej utknęła na drodze, którą sama sobie wyznaczyła? Kiedy Nari dotarła na skraj lasu, zawahała się, rozmyślając o własnej ścieżce. To życie... było darem czy przekleństwem?

Przeszedł ją dreszcz, gdy zrozumiała, że to samo pytanie stawiała sobie w swoim dawnym życiu. Niezależnie jednak od tego, czy było darem, czy przekleństwem, jedynym sposobem na odkrycie prawdy o życiu było jego przeżywanie.

Tupnęła przednimi kopytami, otrząsnęła się z zimna i weszła do lasu.

Podziękowania

Im dłużej zajmuję się tą pisaniną, tym trudniej przychodzi mi pisanie podziękowań. Tworzenie powieści to długi proces, a autor otrzymuje pomoc najróżniejszego typu: istotną informację, liścik z wyrazami wsparcia albo dobre słowo, gdy go najbardziej potrzebuje. *Droga Kości* żyje własnym życiem, wykroiła sobie kawałek z mojego, ale tak naprawdę każda książka stanowi zwieńczenie wszystkiego, co było wcześniej. Dlatego w pierwszej kolejności dziękuję tym, których tu nie wymienię, a którzy użyczyli mi swojej wiedzy lub miłości.

Jak zwykle jestem wdzięczny Connie, która jest moją najlepszą przyjaciółką na zawsze, moim światłem i śmiechem, a także naszym dzieciom: Nicholasowi, Danielowi i Lily, którzy są już dorośli i napawają mnie radością każdego dnia. Dziękuję mojemu agentowi literackiemu, Howardowi Morhaimowi, za jego wiarę i bystre oko oraz mojemu menedżerowi, niestrudzonemu Pete'owi Donaldsonowi. Jestem wdzięczny zespołowi St. Martin's, zwłaszcza Sarah Bonamino, Allison Ziegler i Cassidy Graham, a nade wszystko mojemu wydawcy, Michaelowi Homlerowi. Wasza pasja do historii, które chcę opowiedzieć, to wielki dar. Wdzięczność należy się mojej rodzinie, krewnym i powinowatym, a w szczególności siostrze, Erin Golden, i bratu, Jamiemu Goldenowi. Dziękuję wszystkim przyjaciołom, którzy są przy mnie, kiedy potrzebuję powiernika, kopniaka w tyłek albo porządnej porcji śmiechu, i dzięki którym wciąż jestem przy zdrowych zmysłach: Timowi Lebbonowi, Tomowi Sniegoskiemu, Amber Benson, Jimowi Moore'owi, Johnowi McIlveenowi, Brianowi Keene'owi, Brackenowi MacLeodowi, Rio Youersowi i Mike'owi Mignoli. Wiem, że mam niewiarygodne szczęście, bo jest wiele innych osób, które mógłbym dopisać do tej listy, więc jeśli to czytasz i myślisz: „A gdzie moje nazwisko, draniu?”, to prawdopodobnie znajduje się na tej dłuższej liście. (Tak, Tony, Twoje też tam jest). Chciałbym też podziękować Bruce'owi Springsteenowi za to, że towarzyszył mi podczas wyprawy *Drogą Kości*. To znaczy chętnie bym mu podziękował, ale go nie znam, więc jeśli gdzieś na niego wpadniecie, to dajcie mu znać, okej? I oczywiście jestem niezwykle wdzięczny wszystkim autorom i autorkom, którzy zgodzili się przeczytać tę powieść jako pierwsi, a zwłaszcza Stephenowi Kingowi. Przypuszczam, że do wybrania tej właśnie powieści z jego zapewne imponującego stosu książek z cyklu „nie prosiłem o nie, ale może przeczytam” skłonił go szczęśliwy zbieg okoliczności w postaci pewnego artykułu w „New York Timesie” o prawdziwej Drodze Kości, dlatego dziękuję też jego autorowi oraz redaktorowi „New York Timesa”, który zatwierdził tekst do druku. Pokornie dziękuję za życzliwe słowa Stephena Kinga, a także Paula Tremblaya, Catherynne Valente, Stephena Grahama Jonesa, Catriony Ward i Josha Malermana.

I wreszcie dziękuję Wam, drodzy czytelnicy i drogie czytelniczki. Bez Was nie dałbym rady.